

ANNA
RYCHTER



ŁZY
NOCY

NOVAE RES

ANNA RYCHTER

ŁZY
NOCY



NOVAE RES

Weronice, Marii i Marii Weronice

z miłością poświęcam –

Autorka

Przedstawiona w książce historia jest wytworem fantazji Autorki, a wszelkie skojarzenia z autentycznymi postaciami mogą powstać jedynie na osobistą odpowiedzialność i ryzyko Czytelnika.



PROLOG

Autobus włókł się niemiłosiernie, podrygując pękatym cielskiem na nierównej drodze. Na każdym przystanku ludzie mozolnie wsiadali i wysiadali, targając przed sobą opasłe bagaże. Powolna rotacja pasażerów dokonywała się cyklicznie, co kilka kilometrów. Zabłocony niebieski jelicz, zwany swojsko ogórkiem, był wypchany niemal po brzegi.

U sufitu, uczezione na metalowych pinezkach, dyndały na wszystkie strony proporczyki, siermiężnie reklamujące Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, Ligę Obrony Kraju, Ligę Ochrony Przyrody, Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i drużynę piłkarską Motor Lublin.

Tuż pod wąskim lusterkiem wstecznym kusiła jędrnymi piersiami rozneglizowana dziewczyna o skośnych oczach. Wycięte z kolorowego magazynu zdjęcie, odbite na miałym papierze z makulatury, było zagięte na linii jej sterczących sutków, co dawało trójwymiarowe wrażenie, jakby dwie ciemne, pomarszczone rodzyнки wystawały lubieżnie poza planszę fotosu, gotowe w każdej chwili, by ich skosztować.

Wzdłuż podstawy przedniej szyby wiła się zakurzona girlanda wypłowiałej, sztucznej winorośli, przetykana tu i ówdzie kępką zrudziałych, plastikowych borowików.

Grubawy kierowca w trudnym do określenia wieku, odgrodzony od podróżnych mocno przybrudzoną tekstylną ścianką z firmowym nadrukiem monopolisty transportowego, bez przerwy palił papierosa bez filtra, a jego łysiejąca głowa, z rozszerzającymi się aż na policzki „pekaesami”, kiwała się w rytm głośnego warkotu silnika. Kręcąc zamasyście dużym kołem beżowej kierownicy, posłusznie zatrzymywał pojazd na każdym przystanku „na żądanie”. Beznamiętnym wzrokiem obrzucał tłoczących się przy drzwiach ludzi i zaraz potem, pełen groteskowej powagi, godnej kapitana radzieckiej rakiety kosmicznej, sprzedawał wąskie, podłużne bilety, z pietyzmem dziurkując je małymi metalowymi szczypczykami, które wyglądem przypominały dziadka do orzechów.

Po obsłużeniu kolejnej partii podróżnych, być może zgodnie z jakimś tajemniczym rytuałem najspokojniej w świecie dłubał w wielkim jak sina truskawka nosie, na zmianę zagłębiając szponiasty pazur małego palca u lewej ręki to w jednej, to w drugiej dziurce.

I nie przeszkadzało mu w tym ani gdakanie kur, wystających z ażurowych, sznurkowych siatek, ani gęganie gęsi, wysuwających na wszystkie strony syczące

łepki, ani ciężki zaduch stęchlizny wiejskich domów, wnoszony do autobusu przez każdego z wsiadających.

Padający za oknem majowy deszcz sprawił, że zbyt ciepłe ubrania, nasiąknięte wilgotną wiosną 1976 roku, dopiero tu, w zamkniętym wnętrzu autobusu oddawały pełnię ciężkiej, esencjonalnej woni.

Pomiędzy ściśniętymi pasażerami, w niewielkiej ilości zagęszczonego powietrza wirowała kwaśna chmura skiśniętej serwatki, przepleciona zaduchem rozparzonych otrąb z osypką i drażniącą nozdrza spalenizną skwarek, wysmażonych na wiór ze zbyt mocno przyrumienioną na patelni cebulą.

W tej falującej zbieraninie ludzkich i zwierzęcych ciał, w rzędzie po prawej stronie autobusu, na przedostatnim, podwójnym siedzeniu, przy zaparowanym oknie zajmował miejsce Edmund Jankowski.

Niemodny, jednorzędowy garnitur z czarnej gabardyny, niebieska koszula *non iron*, wąski krawat w białą-czarną pepitkę, lekko pognieciony płaszcz z grafitowego ortalionu i czarne, sznurowane pantofle „na zmartwychwstanie”, pieczołowicie pokryte pastą *erdal* o zapachu gorzkich migdałów – wszystko to wyróżniało go spośród całej reszty podróżujących.

Starannie ogolony, z jednym małym zacięciem po brzytwie tuż nad górną wargą, skropiony obficie mdłym płynem ogórkowym, już od pewnego czasu niecierpliwie wiercił się na spękany, twardym fotelu z granatowego skaju, co chwila wyglądając przez szybę, czy aby nie pora wstać i zacząć się przebijać przez tłum stojących ludzi, żeby nie przegapić celu podróży.

„Czego on ode mnie chce, ten Kornilczuk? Dlaczego tak mu zależało, żebym na pewno dzisiaj tam był? W dodatku wybrał sobie na spotkanie piątek – dzień targowy! Akurat wtedy każdy autobus pekaesu jest zapikowany ludźmi co do milimetra! – Jankowski odruchowo podciągnął pod szyję poluzowany węzeł szorstkiego krawata, głośno przełykając ciepłą ślinę. – Czemu sam nie chciał przyjechać do Zamościa, tylko zdecydował się na schadzkę w ruinach siedemnastowiecznego pałacu w Krupem, które straszą po drodze między Krasnymstawem a Chełmem? Co to za pieprzona konspiracja? Mam nadzieję, że coś ekstra, bo inaczej nie chcę go więcej widzieć! Ciekawe, czym się zajmuje teraz. Dolary? Bony? Złoto? Cholera... żeby nie było z tego jakichś kłopotów!”

Edmund nie utrzymywał praktycznie żadnych kontaktów z Kornilczukiem, od kiedy szesnaście lat temu ożenił się i przeprowadził do Zamościa, a Czesiek pozostał w Chełmie. Gdy milicja zaczęła rozpytywać Jankowskiego o ich wspólne interesy, ten wolał zerwać zbyt śliską znajomość, w obawie, żeby nie zaczęły się jeszcze większe problemy niż te, których i tak jak dotąd mu nie brakowało.

Mimo tego przez pewien czas jego malutki sklepik ze starociami, wciśnięty głęboko w podwórze przy Zamenhoffa 30 w Zamościu, przynajmniej raz w tygodniu odwiedzali wścibscy faceci w przydługich płaszczach, zadający

mnóstwo idiotycznych pytań.

To wystarczyło, żeby Jankowskiemu z tyłu głowy zapaliła się lampka ostrzegawcza: nie mógł pozwolić sobie na zwinięcie interesu, bo po śmierci żony było to dla niego i jego jedynej córki Justyny wyłączne źródło utrzymania.

Przecież raz już podpadł politycznie i to całkiem niedawno, gdy ucząc historii w niedalekiej zbiorczej szkole gminnej, mówił uczniom bez ogródek o sowieckiej agresji na Polskę 17 września 1939 roku, politycznym przesiedlaniu „zabuźniaków”, syberyjskich łagrach dla „piłsudczyków” i wielu innych, według ówczesnych władz „jednostronnie pojmowanych przez niego wydarzeniach”. Mimo nagabywań kuratora z wojewódzkiego Wydziału Oświaty, nie zgodził się podpisać „lojalki” i wstąpić do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, ucinając półgodzinną, partyjną agitację nadętego aparaczyka jednym dobitnym zdaniem: „Wiary nie zmieniam nigdy!”.

Wtedy został po prostu wyrzucony z pracy, z wilczym biletem w jedną stronę.

A żyć przecież jakoś trzeba – był odpowiedzialny za swoje dziecko.

„Nie nakarmię mojej Justynki poglądami politycznymi, nie mogę się niepotrzebnie narażać...”. Jeszcze do wczoraj wydawało mu się, że nieodwołalnie zmądrzał, ale ta enigmatyczna depesza: „*Najbliższy piątek o 11.00. Stary dom Pawła Orzechowskiego. Kierunek północ. Bądź na pewno. Ważne. Czesiek...*” nadana z Chełma przez Kornilczuka była zapowiedzią jakichś niesamowitych wydarzeń. Tego właśnie Jankowski był najzupełniej pewien. Dlatego siedział teraz skurczony w tym cholernym autobusie jak marynowany śledź w śmierdzącej beczce.

Nigdy nie podobała mu się przebiegłość Czeška, jego brak skrupułów, drapieżna pazerność. Nielegalny handel dewizami, złotem i biżuterią nakręcał go jak sprężynę. Kiedy zwietrzył dobry interes, był skłonny układać się z samym diabłem, byle tylko zarobić: kupić, sprzedać, wymienić, potargować się, wcisnąć każdemu naiwnemu swoje racje.

Jankowski zawsze patrzył z niepokojem, jak na widok obcej waluty Kornilczukowi błyszczą niezdrowo jego rybie, wyblakłe oczy, jak celnie opluwa opuszki piegowatych palców u rąk, żeby dokładnie, bez żadnej pomyłki rozdzielić banknoty. Dolary oglądał uważnie pod światło, taksując zielonkawe banknoty pożądlivym wzrokiem, a monety wkładał do mięsistych ust, pomiędzy nadłamane prawe kły, i lubieżnie gryzł, przymykając jedno, prawie pozbawione rzęs oko. Cmokał przy tym z rozkoszą, jakby ssał mleczny sutek obfitości. Rzeczowy, zachłanny do bólu Czesław Kornilczuk bez sentymentów kręcił w Peerelu swój nielegalny biznes z każdym, kto tylko mógł mu coś zaoferować.

Edmund Jankowski był przy nim niepoprawnym idealistą, ostatnim nędznym romantykiem, parweniuszem prywatnego biznesu, który w zaciszu swojej

odrapanej klitki w zabytkowej zamojskiej kamienicy całe dnie wpatrywał się z nabożną czułością w pojedyncze naczynia z przedwojennej porcelany, słuchał strzelistego requiem korników, zajadle drążących stare meble, dziurawą irchą delikatnie szlifował ostrza stępiałych bezczynnością szabel, wstydliwie przeglądał się w polerowanych zmechaconą flanelą sztućcach, często bezpowrotnie zdekompletowanych.

Jakże ciężko było mu pozbywać się tych eksponatów! Szybko nawiązywał z nimi jakąś niewytłumaczalną łączność; dotykał ich z namaszczeniem, wciągał w nozdrza woń przeszłości, pieścił uważnym wzrokiem, a kiedy już musiał któryś sprzedać, wierzył, że oto znalazł się godny kupiec, który na pewno stworzy mu dobry, bezpieczny dom, przedłużając sterany historią żywot.

Autobus sapnął i znowu się zatrzymał.

– Co to za miejscowość? – Zdezorientowany Edmund przerwał męczące rozmyślenia, zwracając się z głośnym pytaniem do siedzącej obok kobiety we wzorzystej chustce na głowie.

– A, dzięki Bogu, będzie już Krupe... – Babina z pokaźną gradówką na powiece, zachłannymi kęsami pogryzająca długą bułkę-parówkę, upstrzoną po wierzchu sinawym makiem, była wyraźnie zdziwiona, że ktoś może nie rozpoznawać charakterystycznych dla tej okolicy ruin renesansowego pałacu Orzechowskich, którego rozpadające się ściany po lewej stronie jezdni upiornie wyzierały spomiędzy dziko rosnących drzew samosiejek.

Jankowski natychmiast zerwał się z miejsca i potrącając po kolei wszystkich stojących w przejściu ludzi, ruszył zdecydowanie ku przednim drzwiom autobusu. Musiał się spieszyć, bo ci, którzy jechali do Krupego, zdążyli już wysiąść, a rozgadany tłumek wsiadających napierał bezpardonowo do środka pojazdu.

Starsza, mocno otyła kobieta z westchnieniem niewysłowionej ulgi postawiła wiklinowy kosz pełen bieluteńkich jajek na przykrytej kraciastym kocem pagórkowatej obudowie silnika, wyrastającej pośrodku jelicza jak prehistoryczny kurhan, skutecznie uniemożliwiając Jankowskiemu wyjście z dusznego wnętrza.

– Przepraszam! Przepraszam! Jeszcze ja wysiadam! Przeprraszam!!! – ocierał się szeleszczącym ortalionem o gęsi, kury, torby, kosze i siatki, uparcie sunąc w kierunku wyjścia.

– To gdzieś pan był, jak ludzie wysiadali? – Żyłasty, bezzębny dziadek w przepoconej maciejówce na głowie, z dwiema sflaczałymi dętkami do roweru, zwisającymi smutno z prawego ramienia, bojowo tarasował przednie drzwi.

– Nie zdążyłem wyjść z końca autobusu... zagapiłem się... przepraszam... – Jankowski sam był zdziwiony, że bez cienia irytacji próbuje się usprawiedliwiać z faktu, iż przez ponad czterdzieści kilometrów zajmował miejsce siedzące w zatłoczonym pekaesie. – Uff! Wreszcie! – Pod metalowymi żabkami wyglansowanych na błysk pantofli zadudniły śliskie autobusowe schodki, okute na

brzegach srebrzystą listwą, postrzępioną przez nogi przepływających w obie strony pasażerów. Powiew surowego chłodu targnął zmiętą połą skrzeczącego płaszcza i majowy deszcz, niczym prysznic, zbawiennie spadł na jego łysiejącą blond głowę i szczupłe ramiona.

Głucho klapnęły drzwi i autobus odjechał, pozostawiając za sobą czarną chmurę gryzących spalin.

Jankowski został zupełnie sam na poboczu jezdni. Z kieszeni prochowca wyjął paczkę sportów i zapalki. Mimo zziębniętych palców z wprawą uformował zbity pod papierkiem tytoń i włożył papierosa do ust. Pewnym ruchem czerknął zapalką o draskę, ale przy tej żabiej pogodzie nawet tak małe pudełko było wilgotne i nieprzyjemnie chłodne. Dwie zapalki złamał, dwie kolejne zgasły tuż po przeskoczeniu iskry. Dopiero piąta zajaśniała ciepło.

Zapalił papierosa i zaciągnął się smakiem ulubionego dymu.

„Gdzie ten cholerny Czesiek?”. Ciekawie rozejrzał się dookoła, z powrotem chowając do pudełka spaloną zapalkę.

Nigdzie nie było widać żywego ducha. Rzęsisty deszcz padał coraz mocniej, splukując bujną zieleń drzew, szczelnie skrywających owiane mroczną sławą ruiny, które zdawały się niemo przywoływać go na drugą stronę jezdni.

Właściwie powinien przewidzieć, że kolejny dzień będzie lało tak wściekle, a tu na domiar złego akurat ostatnio gdzieś zgubiła się dziurawa czarna parasolka! Przypuszczalnie ostatniej niedzieli, po wieczornej mszy zostawił ją pod ławką w zamojskim kościele św. Katarzyny albo posiał ją jeszcze wcześniej, w sobotę, kiedy niebo zasnute było ołowianymi chmurami, a on rano wyszedł do kiosku Ruchu po papierosy i zagadał się na starówce ze znajomym nauczycielem historii z pierwszego ogólniaka. Mniejsza z tym, i tak nigdy nie lubił nosić parasola.

„A teraz szukaj wiatru w polu! – Całkiem niepotrzebnie robił sobie idiotyczne wyrzuty, przebiegając na ukos przez migoczący kałużami asfalt. – Czy on naprawdę nie mógł znaleźć jakiegoś bardziej cywilizowanego miejsca na to spotkanie? Przecież to dzikie uroczyisko!”. Zaczynał trafiać go szlag, że w ogóle przystał na propozycję Kornilczuka.

Kiedy pod koniec XVI wieku zdeklarowany arianin Paweł Orzechowski, podkomorzy chełmski, wykupił wieś Krupę, wcześniej należącą do rodziny Krupskich, w jego głowie zakiełkował plan wybudowania tu obronnego dworu. Koncepcji tej, mającej na celu głównie obronę przed zapuszczającymi się coraz dalej zagonami tatarskimi, sprzyjało położenie geograficzne wsi: niedaleka odległość od Krasnegostawu i Chełma, fakt, że teren otoczony był wodą oraz bliskość możnego protektora w osobie hetmana Jana Zamoyskiego, budującego właśnie swoje miasto Zamość.

Już na początku XVII wieku stanął w Krupem okazały renesansowy zamek obronny, okolony pięknym parkiem, fosą i stawem. Systematycznie

rozbudowywany obiekt obejmował zamek właściwy z pomieszczeniami mieszkalnymi i mały dziedziniec, obwarowany murem z bramą i sześcioboczną basteją. Zwieńczeniem murów były attyki i ozdobne gzymsy, a ściany pokrywało sgraffito z poplątanym motywem roślinnym.

I choć pokojowo nastawiony do świata właściciel nie cieszył się długo swoim dziełem, bo zmarł w roku 1612, to zamek w Krupem jeszcze wiele lat tętnił życiem towarzyskim, goszcząc w swoich progach licznych notabli ówczesnej Ziemi Chełmskiej.

Niestety, w 1648 roku kozackie watahy Chmielnickiego, a siedem lat później rozlewający po Rzeczpospolitej potop szwedzki, rozpoczęły nieuchronne dzieło jego zniszczenia. Piękna budowla szybko zaczęła chylić się ku upadkowi. Kolejni właściciele posiadłości – Rejowie – podjęli próbę wyremontowania pałacu, ale ich wysiłki nie dały oczekiwanego rezultatu. Przez następne wieki pozostałości zamku były częściowo rozbierane, a pozyskany materiał, rozwlekany po okolicy, służył do wznoszenia innych obiektów.

Ciężkie lata dwóch wojen światowych oraz niszczące działania samej natury doprowadziły pałac w Krupem do kompletnej ruiny. Dopiero całkiem niedawno, w latach sześćdziesiątych, udało się dokonać częściowej konserwacji murów i rekonstrukcji niektórych ubytków, czyniąc je bezpieczniejszymi dla zaglądających tu ciekawskich. A było ich wielu: zapuszczali się tutaj zarówno poszukiwacze skarbów, łowcy duchów, romantyczne pary zakochanych, jak i okoliczni mieszkańcy, którzy przychodzili, by pozbyć się niepotrzebnych rupieci.

Jak każdy zamek, ten w Krupem też słynął ze swoich duchów i legend. Jedna z nich mówiła, że w murach krupskiego zamku miał się ukrywać przed wymiarem sprawiedliwości największy ówczesny banita Samuel Zborowski. Wciąż znajdowali się tacy, co – chcąc uwiarygodnić tę historię – twierdzili, że rzekomo widzieli, jak ten największy w dziejach Polski renegat bezksiężycową nocą powracał z dna piekieł, próbując odkupić swoje winy.

Wśród oparów mgły unoszącej się nad pobliską rzeką, niedaleko murów zamkowych pojawiała się postać szlachcica w kontuszu. Zjawa w upiornym tańcu krążyła wokół ruin, jakby szukała drogi do podziemnego przejścia łączącego Krupę z nieistniejącym już zamkiem w Krasnymstawie. Mara bezszelestnie prześlizgiwała się pod ścianami, by wreszcie rozpląnąć się na ich tle...

„Od północnej strony? To chyba będzie ta ściana po prawej... albo nie... ta na wprost? – Zdezorientowany spojrział błagalnie w niebo. – No, cholera, mógłby już ten Czesiek czekać na mnie, bo skoro wybrał takie miejsce, to musi dobrze je znać!”. Pod błyszczącymi butami Jankowskiego trzasnęły poczerniałe gałęzie.

Wokół pełno było mchu, który całymi płatami rozpościarał się w miejscu dawnego pałacowego dziedzińca. Wszędzie poniewierały się ułamki naczyń, resztki garnków, kawałki cegieł i jakieś papiery, zupełnie jakby miejscowa ludność

chciała udowodnić tym ruinom, że czasy ich świetności minęły bezpowrotnie, a teraz, w Peerelu, można tu bezkarnie wyrzucać wszystkie śmieci.

Edmund nerwowo zerknął na zegarek. Na jego masywnym, niezawodnym poliocie dochodziła jedenasta. A więc był na miejscu spotkania nawet przed czasem!

„Może pekaes z Chełma spóźni się?”. Przemoczony i zziębnięty do szpiku kości był na siebie coraz bardziej wściekły, że dał się w to wszystko wciągnąć.

Lecz po chwili w głowie zaświtała uspokajająca myśl:

„Zaraz, zaraz! Kto jak kto, ale Kornilczuk – cinkciarz i podstarzały bananowy młodzieniec – na pewno ma już własny samochód, niekoniecznie na talony, jak reszta obywateli, i pewnie nie tłucze się po drogach zatłoczonymi środkami masowej komunikacji...”. Z lubością wciągnął ostatni, głęboki mach dymu i pstryknął doszczętnie wypalonym petem w bombardowane deszczem zarośla.

Postawił na sztorc wąski kołnierz nieprzemakalnego płaszcza, jakby kilkucentymetrowy pasek materiału miał uchronić go przed zmoknięciem i uważnie spojrzął pod nogi.

„A to co? Ktoś wyrzucił takie dobre buty? – Tanecznym krokiem zgrabnie przeskoczył kupkę potłuczonej cegły. – Przecież to nowe, modne, zamszowe mokasyny... czyżby enerdowskie?”. Spojrzął zdziwiony na stojące prawie symetrycznie obok siebie wsuwane, ciemnobrązowe buty. Mechanicznie ruszył dalej, pchany niewidzialną siłą w kierunku rozsypującego się muru. Coś dużego, białego, pokrytego rozbryzganymi, czerwonymi cętkami przyciągnęło jego uwagę.

„Papier? Nie... to szmata jakaś... Czego ten deszcz tak ciągle pada?”. Jednym susem doskoczył do znaleziska.

„Jezus, Maria, Józefie Święty! To nie może być prawda!”. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, bo właśnie znalazł właściciela brunatnych mokasynów.

Pod zrujnowaną ścianą pałacu, wśród kłębiących się pędów dzikich malin, zaczepnych jeżyn i pogniecionych liści skórzastego łopianu leżał na wznak... Czesław Kornilczuk.

Miał szeroko otwarte, zmętnione niedawną śmiercią oczy i wyszczerzone w przeraźliwym grymasie zęby, którymi zwykł badać oryginalność kupowanych pokątnie monet. Dwurzędowy płaszcz z białej popeliny był rozpięty na całej długości, a na zielonym elastiku koszuli polo błyszcząca krew utworzyła w okolicy serca oślizłą, rdzawą plamę. Na widok nadchodzącej śmierci przerażony Czesiek musiał w panice uciekać od swego przeznaczenia i zahaczył o pień zwałonego drzewa, gubiąc nowiuteńkie buty.

Jankowski uklęknął przy leżącym Kornilczuku, łudząc się, że wyczuje jeszcze choć słaby puls albo jakieś inne oznaki życia. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wysuwał małe, okrągłe lusterko i przysunął je do grubych, posiniałych

warg Czeška.

Mało znana amerykańska aktorka, starannie uczesana w niebotyczny kok z dopiętych włosów, frywolnie zerkała na niego z tylnej strony kieszonkowego zwierciadła, pod naporem sztucznych rzęs mrużąc oczy egipskiej bogini Izydy, obrysowane grubą, diaboliczną kreską.

Niestety, po trwającej całą wieczność chwili na lustrzanym szkłe wielkości plastra dużej pomarańczy oprócz kilku rozmytych kropli deszczu nie pojawił się żaden ślad oddechu.

„Nie... on na pewno nie żyje, nie będę go dotykał, mogę mieć tylko problemy... – Edmund cofnął rozdygotaną dłoń i szybko podniósł się z kolan. Powoli zaczynała mu wracać jasność myślenia. – Czyżby to był pospolity napad rabunkowy? Może ktoś go śledził od samego Chełma, a potem dopadł tu, w tej głuszy, i bez świadków załatwił?”. Spłoszonym wzrokiem obrzucił martwe ciało. Szybko jednak zmienił zdanie. Na prawej ręce Kornilczuka złociła się wielka omega z solidną bransoletą, natomiast przegub lewej ręki był od nadgarstka aż po palce brutalnie obdarty ze skóry.

„Zwykły rabuś wziąłby chyba ten zegarek, bo jest cholernie wiele wart, ale co wobec tego Kornilczuk miał na drugiej ręce? To było coś, co mu zabrano razem ze skórą...”. Jankowski drżącą ręką przeżegnał się nad zwłokami.

– Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie... Wybacz, Czesiu, nic nie mogę już dla ciebie zrobić, teraz muszę po prostu uciekać. Może jednak kiedyś wyjaśni się zagadka twojej śmierci? – powiedział na głos, pewien, że i tak nikt inny go tu nie usłyszy.

Potem zrobił błyskawiczny zwrot w tył i biegiem, potykając się o śmieci, gałęzie i czerepy naczyń, wypadł zdyszany wprost na srebrzącą się jezdnię.

Rzęsisty deszcz lał jak z cebra, dokładnie zacierając wszystkie ślady.



ROZDZIAŁ I

Justyna Jankowska-Meyer jest wyjątkowo zmęczona prowadzeniem auta. Chociaż bardzo lubi jeździć swoją kilkuletnią srebrną toyotą yaris i, jak na blondynkę za kółkiem, nawet całkiem nieźle jej to idzie, dzisiaj czuje dziwne rozkojarzenie i niepokój. Może to widok zaniedbanego grobu rodziców na zamojskim cmentarzu parafialnym wywarł na niej to przygnębiające wrażenie? Może ten okropny upał tak się daje we znaki? A może po prostu wiek robi swoje i jako kobieta po czterdziestce z długim ogonkiem powinna już trochę uważniej wsłuchiwać się w sygnały, które wysyła jej organizm?

Mimo wszystko jednak trzeba przyznać sprawiedliwie – na przekór upływającemu czasowi Justyna ma się świetnie: doskonała, wysportowana sylwetka, piękne półdługie blond włosy, modna biała bluzeczka, obcisłe liliowe dzinsy, delikatny makijaż i pogodne usposobienie składają się na silne zaprzeczenie jej metryki.

Wprawdzie za szpanerskimi okularami przeciwsłonecznymi już od dość dawna skrzętnie skrywa pierwsze kurze łapki rozsiane wokół niebiańsko błękitnych oczu, ale ona, w pełni świadoma swojego wdzięku i dojrzałej urody, bez kompleksów odwzajemnia ciepłym uśmiechem wszystkie komplementy i zaloty, nawet tych najmłodszych podrywaczy, spoglądających za nią tęsknym, samczym wzrokiem.

Bo Justyna może śmiało o sobie powiedzieć: szczęściara. Wzorowe małżeństwo z Jackiem Meyerem – lekarzem neurologiem z Warszawy, wspaniały jedynak Maciek – student informatyki i wreszcie ona sama – profesor archeologii średniowiecznej, z pasją realizująca się na warszawskiej uczelni.

Szczęście, miłość, zdrowie, rodzina, pieniądze, spełnienie zawodowe – wszystko to Justyna dostała niczym dar z nieba. Jakby Pan Bóg chciał jej wynagrodzić smutne dzieciństwo bez matki, która zmarła z powodu ukrytej wady serca, pozostawiając nagle dwuletnią Justynę i jej ojca na łasce zimnego kwietniowego poranka.

Młody mężczyzna opiekował się córką najlepiej, jak umiał, ale wkrótce okazało się, że po prostu nie jest w stanie sam poradzić sobie z domem, dzieckiem i prowadzeniem sklepiku ze starociami, który odziedziczył po zmarłych przed paroma laty teściach. Wtedy z pomocą przysłała mu Zofia, starsza siostra z Chełma, na którą zawsze mógł liczyć.

Dwa miesiące po śmierci żony Edmund Jankowski zawiózł jedynaczkę do Chełma, wierząc, że tam w tych trudnych chwilach będzie jej najlepiej. Sam został

w Zamościu, żeby uporządkować osobiste sprawy, przegryźć ból po stracie uwielbianej kobiety, poukładać jakoś życie młodego wdowca.

Malutka Justyna bardzo tęskniła za rodzicami i domem, toteż ciotkę Zofię od razu pokochała głodną miłością osieroconego dziecka.

Zofia Czepielewska była bezdzietną wdową po kolejarzu, który zginął niespodziewanie zmiądzony stalowymi buforami pociągu towarowego podczas przetaczania po szerokim torze składu radzieckich wagonów z polskim węglem. Wypadek zdarzył się na boczniczy dworca PKP Chełm Główny w mroźną noc poprzedzającą Wigilię roku 1965. Kończący swoją zmianę Władysław Czepielewski pośliznął się na oblodzonej szynie i wpadł w wąski prześwit, oddzielający zasapany parowóz od pierwszego wagonu wyładowanej po brzegi węglarki.

W tej samej chwili ogromnym transportem szarpnęła tajemnicza, nadprzyrodzona siła odśrodkowa i prowadzący pociąg przyjaciel Władysława maszynista Jan Kociuba poczuł, że stało się coś strasznego. Wpadł jak szalony z piekielnie gorącego wnętrza diabelskiej maszyny, po czym, omijając wąskie, żelazne schodki, karkołomnym zeskokiem pokonał dzielącą go od ziemi niebotyczną wysokość parowozu i w ułamku chwili znalazł się na dziewiczo zaśnieżonej połąci torowiska. Kilkoma susami doskoczył do pary nóg sztywno wystających poza linię wagonu i w tym momencie, powalony makabrycznym widokiem, upadł na kolana tuż obok szczątków kolegi, zachłystując się ryczącą fontanną pstrokatych wymiocin.

Dla nastawniczego Władysława Czepielewskiego nic nie można już było zrobić. Miażdżący nacisk stalowego kolosa był tak wielki, że jedynym w całości zachowanym elementem identyfikującym pozostałości tego przystojnego mężczyzny były długie nogi obute w solidne kolejarskie buty na protektorze. Reszta ciała, od pasa w górę, zniknęła, sprasowana w czerwoną miazgę, skapującą krwią wprost na świeży, nieskazitelnie biały śnieg, rozścielony pomiędzy srebrzyście błyszczącymi szynami jak wigilijny obrus.

Owdowiała nagle Zofia przez wiele lat pracowała jako księgowa w biurze wielkiej peerelowskiej firmy spedycyjno-transportowej. Po tragicznej śmierci kochającego męża nie związała się nigdy z żadnym mężczyzną, mimo że w pracy była otoczona wianuszkiem wielbicieli, gotowych w każdej chwili uszczęśliwić małżeństwem tę piękną i pełną anielskiej łagodności kobietę.

Na co dzień mała Justyna zostawała w domu pod opieką pani Józki – emerytowanej sąsiadki o pulchnych, macierzyńskich kształtach, która zajmowała się także dwójką swoich kilkuletnich wnuków bliźniaków: Wiktorem i Andrzejkiem. Chłopcy byli rówieśnikami Justyny i robili wszystko, żeby zarówno ich babka Józka, jak i Justyna nie mogły narzekać na brak wrażeń.

Położony prawie w centrum Chełma wielki, drewniany, ponad stuletni dom

z podwórzem, studnią i dzikim ogrodem był źródłem niewyczerpanej inspiracji dziecięcych zabaw, a dobrodusznym i pełnym wyrozumiałości pani Józia gwarantowała całej trójce bez troski dzieciństwo.

Justyna, która stanowiła w tym rozbrykanym trójkącie dziewczynską mniejszość, bardzo szybko zasymilowała się z męskim towarzystwem: krótko obcięte blond włosy, wygodne dresy, dziurawe tenisówki, perfekcyjna umiejętność strzelania z łuku i procy, wzorowo opanowana gra w piłkę nożną, zwariowana jazda na ramie zbyt dużego roweru, bezszelestne chodzenie po krytych papą dachach komórek, których niezliczona ilość zdobiła brukowaną kocimi łbami pobliską ulicę Nadrzeczną – to wszystko było jej niezaprzeczalnym atutem.

Umorusana, podrapana, ze zdartymi kolanami i niezbyt sterylnym opatrunkiem na łokciach, na pierwszy rzut oka wyglądała jak biały brat dwóch czarnowłosych łobuziaków.

W każdą sobotę wieczorem Edmund Jankowski przyjeżdżał ostatnim autobusem pekaesu z Zamościa do Chełma w odwiedziny do siostry i córki.

Justyna zasiadała wtedy wygodnie na jego kolanach i bawiąc się owalnymi, srebrnymi spinkami przy mankietach „niemnącej” się koszuli, chłonęła opowieści o tym, jakie to „nowe” starocie udało mu się ściągnąć do swojego sklepika.

Z otwartymi ustami przysłuchiwała się wielu historiom, których wówczas w ogóle nie rozumiała. Ojciec z nabożnym wzruszeniem mówił o szabli paradnej, przyniesionej *incognito* przez siwą wdowę po oficerze polskim, który zginął w tajemniczym Katyniu, o srebrach rodowych z monogramem arystokratycznej rodziny, znalezionych przypadkowo pod podłogą wiejskiej chałupy, o zdewastowanych stylowych krzesłach z kresowego dworku, którym bolszewicy rozpruli tapicerowane siedziska, aby ich wygłodniałe konie mogły jeść siano ze środka.

W spokojnym, niskim tembrze płynącego przekonująco głosu Edmunda magicznie ożywał każdy z osieroconych przedmiotów, skrywający w sobie losy nieszczęsnego właściciela.

Ciotka Zofia kiwała ze smutkiem głową, chłonąc z uwagą te opowieści, będące przedsmakiem do snucia własnej sagi rodziny Jankowskich, która do roku 1945 mieszkała „za Bugiem”.

Przy późnej kolacji brat i siostra przywoływali z zakamarków pamięci strzępy kresowego dzieciństwa, nasycone po brzegi życiem dawno zapomnianych ludzi, okropieństwami wojny, paraliżującym strachem, codzienną niepewnością, zarosłymi zielskim grobami przodków.

Justyna w milczeniu wtapiała się w te wspomnienia sentymentalne, wijące się niczym rzeka czasu wśród dziejowych meandrów, niebezpieczeństw i wirów. Od dziecka potrafiła tak się wczuć w klimat tamtych dni, że niemal słyszała wycie nadlatujących niemieckich samolotów, które bezkarnie bombardowały zatłoczone

drogi pełne bezbronnych uciekinierów, objuczonych pochwyconym w trwodze skromnym dobytkiem. Strasznie żal było Justynie, że jej najbliżsi tyle wycierpieli. Czuła ich strach, beznadzieję, sieroctwo, udrękę wygnania donikąd. Tulila się wtedy ze łzami w oczach do ojca i ciotki Zofii, a oni mówili: „Nie płacz, nie płacz, to już na pewno nie powtórzy się, teraz jesteśmy bezpieczni, ale musisz wiedzieć, że my nie mieliśmy dzieciństwa, rozdarci przez hitlerowców, bolszewików i bandy UPA”.

Mała dziewczynka nie mogła pojąć, dlaczego jacyś źli ludzie decydowali o życiu, śmierci i losach nie tylko pojedynczego człowieka, ale i całych narodów, kilkoma podpisami butnych zwycięzców, złożonymi na kawałku papieru sygnując nowy porządek w Europie.

Po zmianie granic w 1945 roku dziadkowie Justyny – rodzice Zofii i Edmunda – zdecydowali się porzucić dorobek całego dotychczasowego życia i wraz z dziećmi wrócili do kształtującej się po nowemu Polski.

Wygnani z własnych domów, stłoczeni całymi rodzinami w odkrytych wagonach towarowych, zawieszeni w złowrogim czasie pomiędzy łaciatym zadem wychudzonej krowy a kłębowiskiem puchowych kołder i nieforemnych tobołów, skrywających w środku brutalnie urwane dzieje, podążali w bolesnej niepewności na Ziemię Odzyskaną, żegnając rodzinne strony stukotem żelaznych kół.

Kiedy tak bardzo zawiedli ludzie, pozostała im już tylko głęboka wiara w Opatrzność Boską. Kto mógł ich bowiem jeszcze wysłuchać, ukoić, pocieszyć? Tylko niezawodna, cudowna Matka Boska z Jasnej Góry. W czasie nocnego przejazdu przez Częstochowę polscy kolejarze, naoczni świadkowie tej rozpaczliwej tułaczki, słysząc niosący się z wagonów rozdzierający szloch tysięcy rodaków, tak wolno przetoczyli transport przez miasto, by pod samo niebo mogła wybrzmieć w całości pieśń repatriantów *Serdeczna Matko*.

O mury dumnego jasnogórskiego klasztoru, który oparł się tyłu dziejowym burzom, uderzyły błagalne prośby, nadające słowom starej modlitwy zupełnie nowe znaczenie:

...Wygnańcy Ewy... do Ciebie wołamy... zlituj się, zlituj, niech się nie tułamy...

Tamtej lipcowej nocy, u stóp najbardziej uświęconego dla Polaków miejsca Stanisław Jankowski odważnie zdecydował za całą rodzinę:

„Nie będziemy jechać na Ziemię Zachodnią! Nie weźmiemy domu ani młyna po Niemcach! Nie możemy osiąść na cudzym! Po co nam czyjaś własność? Toż to zwyczajne złodziejstwo! Przecież cały ten układ jałtański to jedna wielka prowizorka i nie wytrzyma długo! A jak się coś zakręci i znowu będzie wojenna zawierucha? Wtedy Sowieci cofną się z Wołynia, a Niemiec szybko przekroczy Odrę i każdy zabierze, co swoje... no, a przecież za Bugiem, w ogródku przy starym domu czeka zakopana w becze posolona świnia. Jak wrócimy, będzie na

pierwszy obiad. W domu. W naszym domu”. Nawet nie szukał u nikogo akceptacji dla tych słów, przekonany o swojej racji.

Smagani upalnym latem jeszcze przez ponad dwa miesiące peregrynowali po resztkach ocalałych z wojennej pożogi torowisk, aby w końcu na stałe osiąść w Chełmie, tuż przy granicy z ZSRR. Tak na wszelki wypadek chcieli być jak najbliższej granicznej rzeki, żeby w razie czego, jakby coś zmieniło się w polityce wielkich mocarstw, choćby wpływ w ciągu paru godzin wrócić na stare śmieci.

Bo jakim prawem kazano im się wynosić z ukochanego Wołynia? Przecież nic złego nikomu nie zrobili. To od lat były polskie ziemie, więc jak to możliwe, że teraz muszą zostawić wszystko i iść w nieznane, a na nową drogę życia na Ziemiach Odzyskanych brać pozostawiony przez obcych ludzi dobytek? Dlaczego, dlaczego, dlaczego... skoro ich dom, serca, dusze i wspomnienia już na zawsze ugrzęzły tam, „za Bugiem”?

Ale „tam” zostawili o wiele więcej. Życie na obczyźnie wybrała także ich najstarsza córka Antonina. Została, bo po prostu zakochała się w radzieckim żołnierzu – wyzwolicielu Iwanie Fiodorowiczu Karpowie. I nie pomogły prośby, groźby, płacze, perswazje ani nawet próby siłowe – Antonina powierzyła swoje osiemnastoletnie wówczas życie w ręce „sowieckiego żołdaka”, jak do końca życia mówił o zięciu czerwonarmiście dziadek Justyny, który nigdy nie zaakceptował decyzji najstarszej córki, uważając, że dla Polski i rodziny Jankowskich została bezpowrotnie stracona.

Sama Antonina drogo zapłaciła za pierwszą, młodzieńczą miłość. Nowa ojczyzna schowana przed światem za żelazną kurtyną szczelnie odizolowała ją od dawnych korzeni, narzucając swój język, obyczaje i poglądy, a monopartyjny system stalinowski zadbał o to, by jak najskuteczniej utrudnić jej kontakt z rodziną w Polsce. Ocenzurowane listy szły w obie strony całymi miesiącami, choć w linii prostej dzieliła je odległość zaledwie stu kilometrów. Antonina nie miała więc pojęcia, co naprawdę działo się z rodzicami i rodzeństwem. Im też nie mogła napisać, że cierpi głód, biedę, znosi indoktrynację, bo górę zawsze brał strach przed *tiurmq* i represjami, które mogłyby dotknąć ją i męża.

Iwan Fiodorowicz Karpow, choć był z przymusu komunistą, okazał się dobrym i poczciwym człowiekiem i naprawdę kochał swoją polską żonę. Jakby w odpowiedzi na nieludzki los, dopiero po dziesięciu latach małżeństwa Antonina urodziła kolejno dwóch synów, ale obaj, nie doczekawszy się antybiotyku, zmarli na dyfteryt, mając zaledwie cztery i pięć lat.

Rozpacz Antoniny po stracie dzieci była tak wielka, że przestało ją cokolwiek obchodzić. Pracowała wtedy w zakładzie przetwórstwa owoców i warzyw, wśród całej rzeszy młodych radzieckich kobiet. To właśnie one, żeby jakoś postawić ją na nogi, znalazły młodej Polce szybkiego pocieszyciela – samogon. Jeden „stakańczyk” wypijany przed pracą, drugi w czasie zmiany, trzeci

na rozchodnego stał się wkrótce normą dla obolałej młodej matki. Żyjąc z dala od najbliższych, Antonina nie miała komu się wyżalić, wypłakać swojego bólu, nie mogła nawet pójść po ukojenie do kościoła, bo teraz był w nim magazyn mebli.

Jej pociąg do alkoholu nie budził żadnych obaw w Iwanie, bo on sam codziennie też wychylał kilka głębszych, żeby móc jakoś funkcjonować w komunistycznej rzeczywistości. Wkrótce, tak jak dla milionów radzieckich obywateli, tak i dla polskiej Antoniny bimber stał się jedynym, najbardziej pożądanym powiernikiem i najprostszą formą psychoanalizy.

Mimo tego, jakimś cudem, w kilka lat po śmierci synków Antonina i Iwan, na przekór złemu losowi, doczekali się pocieszenia – urodziła się im córeczka Swietłana – rówieśniczka Justyny.

Wtedy w życiu Karpowów dokonał się niespodziewany zwrot: Antonina skończyła z alkoholem, córka rosła zdrowo, wybudowali mały domek z oszkloną werandą i spadzistym dachem i wreszcie, po raz pierwszy, udało się im przyjechać z dzieckiem na wakacje do Polski.

W Chełmie Antonina po prostu kwitła: cieszyła się ze spotkania z rodziną, kupowała modne ubrania, stroiła swoją córeczkę i – ku zaskoczeniu seniora Jankowskiego – wraz z Iwanem i Swietłaną poszła nawet do polskiego kościoła, bez obaw, że ktoś zadenukuje ich spontaniczną religijność. Swietłana bawiła się z Justyną i obie, z dziecięcą nieświadomością, uczyły się języków: Justyna – rosyjskiego, Swietłana – polskiego.

Dziwnym zrządzeniem losu dziewczynki wyglądały jak bliźniaczki – geny tak się niesamowicie ułożyły, że były ładząco podobne do swojej babki Stefanii Jankowskiej, matki Antoniny, Zofii i Edmunda: proste blond włosy, delikatne rysy, głęboko niebieskie oczy i śliczne, lekko wydęte usta, które dodawały ich filigranowym twarzyczkom wyrazistości.

Na niewielu zdjęciach stanowiących pamiątkę z tamtych lat są roześmiane i beztroskie, nie mają pojęcia o powikłanym świecie dorosłych, granicach, krzywdach, polityce. Żyją tylko zabawą.

Wszystko runęło jak domek z kart, kiedy Swietłana miała piętnaście lat. Niespodziewanie zmarł jej ojciec Iwan i matka szybko wróciła do swojego przyjaciela sprzed lat – samogonu. Piła coraz więcej i częściej, zapominając o jedynej córce, pracy, domu, Bożym świecie – z każdym dniem staczała się po równi pochyłej.

Przez kilka lat Swietłana walczyła z nałogiem matki: szukała jej po miejscowych melinach, obmywała rany po pijackich upadkach, prała ubrania, sprzątała dom, gotowała, czekała, płakała – dorastając w cieniu upadającej coraz niżej alkoholiczki. Aż któregoś dnia dziewczyna po prostu zniknęła. W małym miasteczku, gęsto naszpikowanym pomnikami Włodzimierza Iljicza Lenina, nikt nie był w stanie zrozumieć tej desperackiej decyzji. Ludzie mieli za złe córce, że

zostawiła matkę ot, tak po prostu, jak w drodze do pracy porzuca się na siedzeniu w podmiejskim pociągu nieprzeczytaną do końca codzienną gazetę. Swietłana odeszła tajemniczo, nie zostawiając po sobie adresu, pocałunku, listu – niczego, co mogłoby zasugerować miejsce jej pobytu.

Związek Radziecki był wtedy bardzo wielkim krajem i zdesperowana Swieta pewnie znalazła sobie jakieś spokojne miejsce, pozostawiając matkę na pastwę alkoholu.

Antonina potrzebowała aż dwóch tygodni, aby w alkoholowym widzie zorientować się, że córka ją opuściła. Z rozpaczy piła jeszcze przez miesiąc, aż w kompletnie delirycznym stanie została przez życzliwych sąsiadów umieszczona w zakładzie zamkniętym na przymusowym leczeniu alkoholików. Wprawdzie potem jeszcze kilka razy wracała do nałogu i na odwyk, lecz pozostałe lata swojego życia poświęciła oczekiwaniu na powrót Swiety, która jednak nigdy się nie odnalazła.

Dwanaście lat temu, zgięci pod naporem wielkiej śnieżycy Zofia i Edmund przyjechali z Polski na pogrzeb najstarszej siostry, ale Swietłana nawet wtedy nie pojawiła się przy trumnie matki. Kto wie, gdzie jest teraz? Jak potoczyły się jej losy? Czy jeszcze kiedyś zobaczy się z rodziną w Polsce?

Justyna odruchowo zdejmuje nogę z gazu. Małe rondo z daleka pulsuje makatką karminowych niecierpków. Dopiero w tym momencie zauważa, że w Krasnymstawie minęła już połowę drogi z Zamościa do Chełma.

Szosa prowadząca na Chełm łagodnym łukiem omija to stare miasteczko, a gruntownie odnowiona gładka nawierzchnia szerokim gestem zaprasza Justynę do sentymentalnej podróży.

Po obu stronach jezdni różnokolorowym patchworkiem rozciąga się kratownica pól, gorące powietrze drga gotującą się chmurą tuż nad asfaltem. Na elektronicznej tablicy zawieszanej nad drogą ledwie widoczny w ostrym słońcu pomiar temperatury uświadamia niemal tropikalną aurę: w powietrzu 36 stopni Celsjusza, a tuż nad czarną nawierzchnią aż 44!

„Dzięki Bogu, że jakiś geniusz wymyślił klimatyzację w samochodach! Dzisiaj strach wysiąść z auta, bo można ugrzęznąć na amen w asfalcie”. Justyna zerka z obawą na swoje zgrabne sandały ze skórzanych rzemyków, przeplecionych białymi koralikami.

W niedzielne późne popołudnie na trasie do Chełma jest praktycznie pusto. Pewnie w taki upał większość zdrowych na umyśle ludzi leży nad wodą albo pod gościnnie rozłożystą gruszą, chłodząc się zimnymi napojami. Zresztą to wschód Polski, a nie gęsto zabudowane przedmieścia Warszawy, gdzie od rana do wieczora każdy samochód – nie wiedzieć czemu – gna jak oszalały ku absurdalnemu przeznaczeniu, aby co chwila wytracać swój owczy pęd w kilometrowych korkach. Tu wszystko jest inne, wolne od pośpiechu, magiczne, wprost nie z tego świata.

Przed Justyną faluje wielka przestrzeń, na której zmęczony wzrok może zawisnąć bez ruchu niczym drapieżna kania, dostojnie unosząca się po prawej stronie jezdni nad storczykowo żółtym pasem rzepaku.

Od pewnego czasu droga właściwie sama prowadzi jej samochód – łagodny zjazd w dół i po lewej stronie ukazują się ruiny pałacu w Krupem. Wycięte w pień dzikie zarośla odsłaniają w całej okazałości dumne renesansowe ściany, starannie obmurowane szczyrbiny w murach, przyciętą nisko trawę, lazurową budkę TOI-TOI i szeroką ławkę z przepołowionego ciemnego pnia drzewa.

Na zielonym dziedzińcu, w tle zrujnowanego pałacu Orzechowskich tyczkowaty chłopak fotografuje ciemnowłosą dziewczynę w krótkiej kwiaciastej sukience, krygującą się przed okiem aparatu wygiętymi zalotnie biodrami. Trochę dalej, wśród porośniętych zielskiem ruin, gdzieś na wysokości drugiej kondygnacji pałacu starszy mężczyzna wypasa dwie dorodne łaciate kozy, spełniające rolę ekologicznych kosiarek do trawy.

Zza ściany drzew okalających pozostałości zamku wyłania się osiemnastowieczny dworek Rejów, suto opleciony rusztowaniami z bezwładnie zwisającą mleczną siatką, reklamującą wielkimi czerwonymi literami zalety produkującej cement firmy o niemiecko brzmiącej nazwie.

„Co za paradoks! Przecież pobliski Rejowiec i Chełm jeszcze całkiem niedawno znane były z ogromnych cementowni wytwarzających materiały budowlane słynne na cały świat! – Justyna nie ma teraz czasu na rozpamiętywanie problemów gospodarczych Polski B, bo w głowie powoli układa sobie już program pobytu na najbliższy czas. – Muszę tu zajrzeć, ale dopiero jak zelżeje upał, w końcu przede mną ponad dwa miesiące wakacji, a Krupę leży tak niedaleko od Chełma”.

Kiedyś często podróżowali tędy z ojcem, a on z namaszczeniem opowiadał Justynie dzieje mijanych miejscowości, od czasu do czasu głośno pukając palcem w zaparowaną szybę niebieskiego autobusu. To właśnie ukochany tata zaszczepił w Justynie to uwielbienie do historii, nauczył ją patrzeć z czułością na mijane ruiny i widzieć w nich zapomnianą potęgę i dawno zgasłe piękno.

Wspólne podróże między Zamościem a Chełmem skończyły się, gdy w polu widzenia ojca pojawiła się Danusia – rozwiedziona krawcowa z dwiema córkami i dwupokojowym mieszkaniem w bloku. Jak się szybko okazało, młodo owdowiały Jankowski desperacko spragniony obecności kobiety w swoim życiu, łóżku i kuchni, ślepo złożył samotny los w sprytnie krawieckie ręce.

Po skromnym ślubie cywilnym Danusia zgrabnie wykroiła z życia Edmunda wszystko to, co jej zdaniem było mu zbędne – wychowanie i utrzymanie Justyny całkowicie powierzyła ciotce Zofii, ograniczając do minimum wyjazdy Jankowskiego na spotkania z córką i siostrą w Chełmie oraz wydatki związane z edukacją Justyny. Dla niej liczyły się tylko potrzeby własne oraz jej córek, które

pobierały skromne alimenty od ojca, wijącego na Śląsku gniazdko dla drugiej rodziny. A Justyna właśnie kończyła naukę w liceum i Danusia miała nadzieję, że wkrótce rozpocznie dorosłe życie, usamodzielnia się finansowo i zapomni o studiowaniu, na które przecież nikogo nie było stać. Córki Danusi były dopiero w podstawówce, więc „młodzi państwo” Jankowscy mieli przed sobą jeszcze długą listę wydatków.

Edmund był zatwardziałym romantykiem, a jego druga żona zdeklarowaną realistką i Justynie trudno było pojąć, co naprawdę połączyło tych dwoje ludzi i dlaczego ojciec miał teraz być prawdziwym tatą dla dwóch obcych dziewczyn, a nie dla niej.

Prostacką stanowczością i wyrafinowanym egoizmem Danusia szybko zraziła do siebie zarówno Justynę, jak i Zofię Czepielewską, a kiedy Edmund całkowicie podporządkował się nowej żonie, dumne kobiety praktycznie zerwały z nim kontakt.

Wspomnienia...

Chwile dobre i złe. To pusta droga i znane na pamięć miejsca sprawiają, że jak w filmie biograficznym twarze ludzi i różne zdarzenia przewijają się przed oczami Justyny, zupełnie jakby wjeżdżała w inny wymiar, do tunelu przeszłości, a jej srebrzyste auto przeistaczało się w bezszelestny wehikuł czasu, wciągający ją coraz głębiej w zapomniany świat.

Do tego ta przepiękna pogoda i upragnione wakacje!

Justyna czuje się jak uczennica. Wprawdzie nie jedzie na urlop, tylko do pracy, którą wszakże uwielbia, ale cieszy się przede wszystkim z tego, że wraca do Chełma i będzie mogła nurzać się w klimatach z dzieciństwa. Podświadomie wierzy, że przez najbliższe miesiące odpocznie w swoim ukochanym mieście, złapie dystans do codzienności rozłożonej pomiędzy pracą na uczelni a domem, zakupami, obowiązkowym trwaniem na posterunku dla męża i syna.

Nareszcie! To będzie tylko jej czas!

Maciek, student informatyki, pojechał do sezonowej pracy w Niemczech, a Jacek, pracoholik, jak co roku masochistycznie pozostał w klinice, zastępując większość urlopowanych kolegów. Gdy upał lał się z nieba, on mówił, że woli siedzieć w Warszawie niż leżeć na gorącej afrykańskiej plaży w kłębówisku podsmażonych ciał i zastanawiać się, czy przypadkiem nie upadło biuro podróży, które zamiast zapewnić mu wakacje życia, beztrósco ogłasza bankructwo, pozostawiając oszalałych turystów na pastwę żaru tropików, spanikowanych rezydentów i skromnej pomocy polskich ambasad.

Profesor medycyny Jacek Meyer nie wyobrażał sobie, że po całym roku ciężkiej harówki w szpitalu on też mógłby paść ofiarą nieuczciwych firm turystycznych. No i do tego jeszcze wiszące jak miecz Damoklesa niebezpieczeństwo zamachów terrorystycznych czy wojny domowej, która przecież

od dłuższego czasu toczy się w wielu państwach północnej Afryki.

Od kilku lat sami z Justyną organizowali sobie wakacje: własnym samochodem jechali przed siebie na chybił trafił. Kiedy pod koniec sierpnia wszyscy koledzy i znajomi wracali do pracy, oni we dwoje wymykali się chytrze na jesienne, opustoszałe plaże południowej Europy. Właśnie w tym roku, na połowę września zaplanowali wyjazd na Kretę. Będą mieli czas tylko dla siebie – bez dzwoniących komórek, maili, tabletów, iPodów, wiadomości do natychmiastowego odebrania.

Jacek wychodził z założenia, że pełna stresów codzienność bez odpoczynku zabija ludzi jak średniowieczna zaraza. Taki wyjazd pomagał budować ich związek, dawał siłę do pracy na cały następny rok, był jak dobrze przeprowadzona terapia małżeńska.

Ale to wszystko dopiero za ponad dwa miesiące...

Przywołuje w pamięci twarz Jacka. Niemożliwe, czyżby już za nim tęskniła?... Szare, niezgłębione oczy – wyjątkowy kolor, zawieszony niezdecydowanie pomiędzy burością i błękitem, tak samo skomplikowany jak jego natura, praca i uczucia. Odpowiedzialny, mądry, przewidywalny, twardą ręką trzymał w ryzach oddział neurologii, ale Justyna w jego spojrzeniu bezbłędnie odnajdowała niepokój, gniew, żal, tęsknotę. Właśnie, o czym Jacek chciał powiedzieć wczoraj, kiedy zegnali się przed jej wyjazdem do Chełma? Czekał go nocny dyżur w szpitalu, więc musieli rozstać się wieczorem. Przy drzwiach objął ją mocno i miękkim basem poprosił:

– Uważaj na siebie, dobrze? Czy tam, na tej górze, będą głębokie wykopy? – spytał, po czym, nie czekając na odpowiedź, rzucił niemal z pretensją w głosie: – Że też akurat w wakacje musiał zachorować ten twój profesor! – Ujął jej drobne dłonie w nadgarstkach i ukrył niczym cenną zdobycz w swoich rękach. Miał gładkie palce pianisty, tak samo pewne i czułe przy każdym dotyku klawiatury, jak na sali operacyjnej, kiedy niejedno życie zależało od precyzji jego ruchu, nieprzeciętnego wyczucia i stanowczej delikatności.

– No to co ja poradzę, że profesor Kowalewski ma kłopoty z krążeniem i nadciśnienie? W jego wieku to raczej już norma, a do tego te zwrotnikowe upały! – Justyna, zdziwiona niespodziewaną wylewnością powściągliwego w okazywaniu uczuć męża, uważnie spojrzała mu w twarz. Szare oczy były tego wieczora dziwnie ciemne.

Dwa tygodnie temu, po miesiącu prowadzenia wykopalisk w Chełmie, wybitny znawca słowiańskiego średniowiecza, profesor archeologii Zbysław Kowalewski poczuł się na tyle źle, że trafił do szpitala. Diagnoza medyczna była bezdyskusyjna: lekarz zabronił mu przebywania na słońcu i jakiegokolwiek wysiłku fizycznego. Przygnębiony takim obrotem spraw profesor wrócił do Warszawy i poprosił o zastępstwo Justynę, mimo że miała ona na tegoroczne

wakacje zupełnie inne plany.

– Zgodziłam się na tę ekspedycję, bo szanuję dokonania naukowe profesora Kowalewskiego i wiem, że sytuacja jest podbramkowa. Chodzi przecież o to, aby tego lata dokończyć trwające kolejny sezon prace archeologiczne na Górze Chełmskiej. Teraz, gdy są dofinansowywane przez stronę ukraińską i trzeba będzie rygorystycznie przestrzegać terminów rozliczeń, jest to szczególnie ważne – rzeczowo wytłumaczyła Jackowi swoją decyzję. – A wykopy? No nie wiem... będą chyba takie jak zawsze. Pokłady kredowe trzeba trochę inaczej eksplorować, ale... Jacek, przecież ja już pracuję w tej branży tyle lat! Nie pytam się ciebie, czy masz na sali operacyjnej mocne nici albo ostry skalpel. – Justyna odsunęła się od męża na wyciągnięcie rąk.

Rzeczywiście, nigdy dotąd nie rozmawiali o szczegółach swoich profesji.

– Będiesz tęskniła za mną? Zadzwońisz czasem? – Znowu przyciągnął ją do siebie.

– Przecież zawsze dzwonię i zawsze tęsknię... – Zaczęła się śmiać, ale Jacek błyskawicznym pocałunkiem zamknął jej usta.

– Co cię tak śmieszy? Że się o ciebie martwię? – Wciąż nie zwalniał objęć.

– Ale oczywiście martwisz się o mnie tak neurologicznie, jako mój lekarz rodzinny, żebym przypadkiem nie nabawiła się problemów z kręgosłupem? Chcesz powiedzieć, że kobieta w wieku balzakowskim powinna raczej jechać do sanatorium albo SPA, a nie na wykopaliska? No, chyba że jako eksponat, prawda? – Była pewna, że dostanie z jego strony jakiś komplement. I nie pomyliła się.

– Dla mnie zawsze pozostaniesz odkryciem życia... – subtelnie podróżował dłońmi wzdłuż jej szczupłych, spadzistych ramion.

– Może przyjedziesz na któryś weekend do Chełma? – Mile zaskoczona nagłą potrzebą bliskości ze strony męża, głaskała go pożegnalnie po karku.

– Niczego nie obiecuję. Wiesz, że jak zostaję w osłabionym urlopie składzie, to nie mogę sobie pozwolić na to, żeby być z dala od kliniki. Wszystko może się zdarzyć, mogę być potrzebny w każdej chwili... – Raczej upewniał ją w tym, że rozstają się na długo.

Ich wieloletni związek był symbiozą dwojga biegunowo różnych osób, które zostawiają wokół siebie dużo wolnej przestrzeni na realizację własnych pragnień. Może dlatego tak trwale było to małżeństwo?

– No cóż, jakoś to wytrzymam! – Teraz ona pocałowała go w usta, lekko przywierając do znanych na pamięć, wąskich warg.

– Proszę, uważaj na siebie, dobrze? Obiecuj mi to! – Przytulił ją czule.

– Dobrze, dobrze, ty też... – Kątem oka zerknęła na owalny zegar wiszący w przedpokoju. – Spóźnisz się do pracy... – Nie chciała, żeby myślał, że męczy ją to przedłużające się pożegnanie.

– No to... wszystkiego dobrego... Będiesz dzwonić? – Uważnie popatrzył

na Justynę, naciskając klamkę.

– Oczywiście, ale ty też mógłbyś... – Wiedziała, że Jacek nienawidzi rozmów telefonicznych.

– Dobrze, dobrze, zadzwonię na pewno... Do widzenia! – Pocałował ją przelotnie we włosy, stając w otwartych na oścież drzwiach.

*

Ostry zakręt.

Po lewej stronie drogi wyrasta gęsta zasłona mieszanego lasu, a na prawo, dzięki wzniesieniu terenu i krystalicznej dziś widoczności, już z odległości piętnastu kilometrów widać Górkę Chełmską. Dumna wieża dzwonnicy i rozmyta korona chełmskiej bazyliki są niczym logo historii na tle bezchmurnego nieba.

Teraz szosa dosyć stromo opada w dół, samochód nabiera coraz większej prędkości i po chwili Justyna mijają senny, malutki Rejowiec, przypominający niską zabudową wszystkie miasteczka wschodniej Polski. Od celu podróży dzieli ją zaledwie kilkanaście kilometrów.

Rozgrzany upałem leniwy autobus PKS-Wschód zatrzymuje się na prawym poboczu drogi. Młoda blondynka wybiega wprost na pas spalonej słońcem trawy. Zręcznie zarzuca na ramię mały czerwony plecak i zaczyna wystukiwać esemesy na komórkę.

Pusty autobus rusza powoli, wypuszczając kłęb oleistego dymu. Wyraźnie widać, że kolejna nierentowna firma przewozowa bez wątpienia chyli się ku upadkowi.

Zapach palonego rzepaku na krótką chwilę wnika przez szybę toyoty, drażniącą smugą omiatając całe auto.

Błękitno-biały kadłub kanciastego jelcza szybko rozmywa się we wstecznym lusterku toyoty.

„Wieczorem na pewno będzie mnie bolała głowa”. Justyna zna dobrze swoje reakcje po tylu godzinach za kierownicą.

Mroczny las, rozpostarty równiutko niczym ściany solidnego parawanu, przez kilka kilometrów wypełnia obie strony drogi. Nagle leśną zieleń przerzedza skupisko jednorodzinnych domków i po chwili jezdni rozlewa się w szeroki wjazd do Chełma.

Z wielokierunkowego ronda Justyna wjeżdża w Lubelską. Długa ulica zapamiętana oczami dzieciństwa wydaje się teraz wąska i o wiele krótsza, ale osadzona na jej końcu biała bryła singielki – dzwonnicy na Wysokiej Górcie – jak zawsze wita znajomo.

Przejazd kolejowy Chełm-Miasto. Szlabany podniesione. Na peronie pustki.

Kiedyś pociągi kursowały tędy praktycznie bez przerwy, trudno było w tym miejscu przejść, żeby nie trafić na opuszczone zapory. Zielone składy pasażerskie

przywoziły i odwoziły setki ludzi do pracy, szkoły, na wakacje i wycieczki, a po szerokim torze odbywała się nierówna wymiana towarów i żołnierzy z bratnim Związkiem Radzieckim.

Dość dawno tędy przejeżdżała, więc łatwo jej wychwycić wszelkie różnice. W kilku miejscach poszerzono jezdnię, równolegle czerwienięją pasma dróg rowerowych, zmieniły się kierunki przejazdu przez miasto, wraz z mieszkańcami zniknęły bezpowrotnie niektóre stare budynki.

Oczodołami wybitych szyb przyciąga uwagę ogromny gmach nieczynnego od dłuższego czasu młyna Michalenki, straszący tuż za przejazdem kolejowym.

Po obu stronach Lubelskiej stoją zaniedbane drewniane domki i zawstydzone odrapane kamieniczki, ale tu i ówdzie między nimi pyszną się świeżo dobudowane pastelowe plomby.

Z prawej strony park miejski – skrawek zieleni upstrzony tablicami do nieskrępowanego mazania graffiti.

Justyna przypomina sobie chłodne kwietniowe wagary w mrocznej kasztanowej alei rozjarzonej świecami jaskrawych kwiatostanów. Wtedy, poczynając od niebieskiej paczki caro otworzonej na parkowej ławce, próbowały z dziewczynami z klasy nauczyć się palić papierosy. To miał być modny wyznacznik dorosłości, tak samo jak obowiązkowe noszenie małego opornika, przypiętego agrafką do szkolnej tarczy na znak sprzeciwu wobec reżimu generała Jaruzelskiego, narzuconego Polakom w mroźną niedzielę 13 grudnia 1981 roku.

Jakiś silny wewnętrzny przymus kieruje jej zmęczony wzrok w lewo. Za zniszczonym ogrodzeniem z porzewiałej rozciągniętej siatki przycupnął stary drewniany dom, w którym mieszkały z ciotką Zofią aż do chwili przeprowadzki na wyczekiwane latami miejsce na chełmskim blokowisku. Kiedyś ciekawy obiekt przedwojennej, drewnianej architektury, dzisiaj niebezpiecznie pochylony w stronę wschodu słońca koślawy budynek jest niemal wbity w ziemię.

Ciche łyzy wzruszenia same cisną się Justynie do oczu, dławiąc ściśnięte gardło.

Tak wiele zmieniło się wokół, tylko Chełmska Górka wciąż niezmiennie króluje nad całym krajobrazem, jakby nie obchodziły ją wcale koleje losu i upływający czas... Jej nazwa, wzięta od prasłowiańskiego określenia wzgórza *chełm*, *chołm*, dała miano obecnemu miastu.

Całe wieki koło historii toczyło się nieprzerwanie przez te tereny, pozostawiając po sobie ułamki broni, resztki ceramiki, fragmenty biżuterii i cmentarzyska pełne kości należących do ludności prasłowiańskiej, celtyckiej i germańskiej.

Przeprowadzone dotychczas badania archeologiczne dowodzą, że już ponad tysiąc lat temu stał w tym miejscu drewniano-kamienny gród, bo ziemie pogranicza Polski, Rusi i Litwy zawsze stanowiły dogodną lokalizację dla osadnictwa.

Zmienna przynależność Chełma i okolic do powstającego wtedy państwa polskiego i Rusi Kijowskiej jest do dzisiaj przedmiotem debaty historycznej, w której siłą rzeczy w te wakacje miała wziąć udział również Justyna.

Niezbyt czytelnie zarysowana linia zachodniej i wschodniej Słowiańszczyzny, rozbite dzielnicowe Polski w XII wieku i niszczycielskie wyprawy tatarskich zagonów – wszystko to sprawiło, że wczesnośredniowieczna rywalizacja między polskimi a ruskimi władcami zaowocowała częstym przechodzeniem tzw. Grodów Czerwieńskich – obszaru najczęściej łączonego z późniejszą ziemią chełmską – w ręce jednego bądź drugiego z ówczesnie panujących.

Najwybitniejszym z nich był prawosławny książę Daniel I Romanowicz Halicki z dynastii Rurykowiczów, który w XIII wieku uczynił Chełm stolicą Księstwa Halicko-Włodzimierskiego. Daniel – po babce Agnieszce prawnuk polskiego króla Bolesława Krzywoustego – w 1253 roku zawarł unię z Rzymem, zmienił wiarę na katolicką i z rąk legata papieskiego przyjął koronę wraz z tytułem króla Rusi. Ówczesny papież, Innocenty IV, miał nadzieję, że to Daniel Halicki będzie tym, któremu uda się połączyć kościół rzymski ze wschodnim.

Ale pograniczne księstwo, niczym meteor, tylko przez krótką chwilę błysnęło jasnym światłem w mrokach średniowiecznej Europy. Jako najpotężniejsza struktura władzy na tym terenie, stało się efemerycznym pomostem pomiędzy Wschodem i Zachodem, tak pod względem religijnym, jak architektonicznym.

Niestety, ówczesny świat zupełnie nie rozumiał intencji dumnego księcia. Prawosławna Ruś potraktowała Daniela jak apostatę, a katolicki zachód Europy wobec siejącej spustoszenie fali najazdów tatarskich zlekceważył możnowładcę. W tak trudnych czasach, przy braku solidnego wsparcia, promienna gwiazda Daniela Romanowicza szybko zgasła. Po jego śmierci w 1264 roku, Chełm utracił swoją strategiczną pozycję, a najstarszy z synów, Lew, przeniósł stolicę księstwa do Lwowa.

Nigdy więcej Chełm nie miał już takiego znaczenia jako miasto.

„No, może aż do 1944 roku?”. Justyna z gorzką ironią uśmiecha się do siebie, wspominając lata propagandy socjalistycznej, w której wzrastała.

Coroczne patriotyczne manifestacje w dniu 22 lipca, który został obwołany państwowym Świętem Odrodzenia, były wówczas obowiązującym rytuałem, podkreślającym niezłomną przyjaźń ze Związkiem Radzieckim. Jako pierwsze miasto wyzwolone w pochodzie zwycięskiej Armii Czerwonej, na długie lata Chełm stał się symbolem „niepodległej” Polski pod moskiewskim przewodnictwem. Slogan „Chełm – miasto PKWN” krótko i dobitnie określał wówczas rangę tego miejsca.

Lipcowe wizyty najwyższych władz w kraju: pierwszego sekretarza PZPR,

ministra obrony narodowej, marszałka Polski lub premiera rządu były okazją do urządzania w Chełmie wielkiego festynu. Oprócz lawiny socjalistycznej indoktrynacji można wtedy było zjeść niedostępną na co dzień pyszną kielbasę, wypić piwo lipcowe z lokalnego browaru, obejrzyć paradę wojskową i zobaczyć, jak na żywo wygląda centralna władza.

Huczna impreza kończyła się w upalną noc mistrzowskim pokazem fajerwerków, ogniście rozświetlających granatowe niebo nad gmachem PKWN.

Doprawdy, wydaje się, jakby to było jeszcze wczoraj!

Tuż przy rondzie w centrum miasta rozsiadł się hotel Kamena – czterdzieści lat temu perła małomiasteczkowego luksusu, a dziś najwyższy w okolicy słup ogłoszeniowy, obwieszony różnego rodzaju reklamami.

Zaraz za nim, przy łuku drogi, stoi długi blok mieszkalny – pozostałość po nagłośnionej propagandowo Studenckiej Akcji CHEŁM 80. W kulminacyjnym roku wieńczącym głośne przedsięwzięcie wybuchły pamiętne strajki, które wraz z wprowadzeniem stanu wojennego miały na zawsze odmienić historię Polski.

Dwupasmowa, prawie pusta jezdnia gładko unosi Justynę w kierunku osiedla, gdzie od ponad trzydziestu lat mieszka ciotka Zofia.

Wzdłuż ulicy Lwowskiej ciągnie się szare ogrodzenie starego cmentarza parafialnego. Na burym murze w kilku miejscach bieleją płachty świeżo naklejonych nekrologów, ale Justyna nie zdąża przeczytać żadnego nazwiska, bo zielone światło pozwala wykonać szybki manewr skrętu w prawo. Ponad grobami wznosi się klasycystyczny grób rodziny Bielskich, brudną czerwienią cegieł migają zarysy cmentarnej kaplicy Zajdlerów, w której tyle razy żegnała na zawsze wielu bliskich i znajomych.

Jak w tygłu czarownicy stare miesza się z nowym.

Fosforyzują w słońcu coraz wyższe ceny paliwa na stacji benzynowej.

Dach myjni samochodowej płynnie przechodzi w skupisko sieciowych hipermarketów. Wokół nich ciągną się parkingi zastawione rozgrzаныmi autami. Do niedawna były to zupełne peryferie miasta. Stąd zawracały już nawet przysłowiowe wrony.

Długa, nieproporcjonalnie wąska ulica, połatany asfaltem wrzyna się ciasno pomiędzy dwa rzędy największego wielkopłytkowego blokowiska z epoki schyłkowego Gierka, zbudowanego ostatnim tchnieniem propagandy sukcesu, na przekór ponurej historii tego miejsca.

W latach 1941–1944 hitlerowcy zlokalizowali tu Stalag 319 B – jeden z największych podczas II wojny światowej obozów jenieckich w Europie.

Na prawie sześćdziesięciu trzech hektarach trapezowatej powierzchni, którą teraz zajmuje w całości osiedle Kościuszki, w straszliwych warunkach, z pogwałceniem wszystkich konwencji europejskich, cierpiąc głód i epidemie chorób zakaźnych, w wygrzebanych własnoręcznie ziemiankach koczowało tu

blisko osiemdziesiąt tysięcy jeńców radzieckich, wziętych do niemieckiej niewoli jako żołnierze regularnej sowieckiej armii, po inwazji na Związek Radziecki w czerwcu 1941 roku.

Niemcy, prowadzący na przełomie 1942–1943 roku działania wojenne na wielu frontach, uzupełniali Stalag 319 B wciąż nowymi transportami żołnierzy różnych narodowości. Przejściowo przebywali w nim także jeńcy francuscy, belgijscy, brytyjscy i włoscy.

Całkowicie ostrzyżone włosy, widoczne z daleka mundury oznakowane farbą olejną, wydrążone z drewna buty uniemożliwiające ucieczkę – znacznie ułatwiały dozór więźniów, dopełniając listę niewyobrażalnych upokorzeń.

Dla większości z nich hitlerowcy i tak przewidzieli jednakowy koniec, ale najwyższą, bo podwójną cenę za swoje życie zapłacili Rosjanie. Poniżeni przez Hitlera, niedawnego sojusznika, który odmówił im nawet podstawowych praw należnych jeńcom wojennym, także przez swojego wodza Stalina zostali zepchnięci w otchłań zapomnienia. Zgodnie z wykładnią stalinowskiej polityki wojskowej – podważoną dopiero pół wieku po wojnie przez prezydenta Rosji Borysa Jelcyna – radziecki żołnierz, który dostał się do niewoli niemieckiej, był traktowany... jak zdrajca komunistycznej ojczyzny! Znamienną sprawą jest fakt, potwierdzany przez wciąż żyjących świadków tamtych wydarzeń, iż czerwonoarmiści masowo poddawali się wkraczającym do ZSRR Niemcom, łudząc się nadzieją, że tyran spod znaku swastyki okaże się bardziej ludzki niż ten własny, od Rewolucji Październikowej roku 1917 miażdżący naród rosyjski sierpem i młotem.

Tuż przed likwidacją obozu jego dokumentacja została w znacznej mierze zniszczona przez samych hitlerowców, ale Armia Czerwona już w roku 1945 odnalazła na terenie Niemiec około tysiąc kart personalnych jeńców zmarłych w Stalagu 319 B. Dokumenty zawierały wszystkie dane niezbędne do identyfikacji pojedynczego człowieka: fotografię, nazwisko i imię, datę i miejsce urodzenia, odcisk kciuka, wzrost i kolor włosów, dane rodziców, wyznanie, obywatelstwo, zawód, stopień wojskowy, jednostkę wojskową, numer obozu i jeniecki, datę i miejsce pojmania do niewoli, stan zdrowia, odniesione rany, adres rodziny, datę, miejsce i przyczynę śmierci.

Paradoksalnie, dopiero dzięki rozpadowi ZSRR, po kilkudziesięciu latach od zakończenia wojny jedynie ta zbrodnicza niemiecka skrupulatność dała okłamywanym obywatelom dawnego komunistycznego imperium możliwość ustalenia tragicznych losów ich bliskich.

Upiornym przypomnieniem tamtych czasów są wznoszące się na niewidzialnych skrzydłach wirujące przeciągi, które powstają nagle, nawet przy bezwietrznej pogodzie. Najstarsi mieszkańcy Chełma do dzisiaj utożsamiają je z tajemniczą energią krążącą w tym miejscu po bestialsko zgładzonych ludziach.

Mimo gorąca, zimny dreszcz przeszywa ciało Justyny. W kolorowych blokach mieszkają teraz tysiące ludzi. Siedemdziesiąt lat temu dokładnie w tym miejscu głodzeni jeńcy jak zwierzęta zjadali każde źdźbło trawy i... zmarłych współwięźniów.

– „Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie, niech spoczywają w pokoju”. – Pokorne usta same układają się do bezgłośniei, katolickiej modlitwy.

Aż trudno uwierzyć, że to miejsce jest świadkiem tylu okropności...

Jakby dla zadośćuczynienia duszom wszystkich zmarłych, na końcu osiedla, w rozległej niecce króluje ogromny cmentarz komunalny, z każdym rokiem coraz drapieżniej konkurujący nowo wykopanymi grobami z wycinką drzew w pobliskim lesie Borek.

Posłuszne auto powoli sunie szczerbatą osiedlową drogą.

„Nareszcie w domu...”, Justyna wzdycha z ulgą, bo widoczny z oddali, ukwiecony amarantowymi pelargoniami, jaskrawo pyszni się długi seledynowy balkon – duma ciotki Zofii. Zasunięte troskliwą ręką żaluzje szczelnie chronią przed upałem wewnątrz mieszkania, morelową taflą odbijając od szyb niechętnie zachodzące słońce.

„Muszę kupić wodę mineralną, pieczywo chrupkie, naturalny jogurt i twaróg z ulubionej, chełmskiej mleczarni... – Justyna wylicza w myślach produkty, które mogą być potrzebne na kolację, jednocześnie parkując samochód pod wielkim dyskontem spożywczym. – Ciekawe, co jest dzisiaj na obiad?”. Już czuje w ustach niepowtarzalny smak rosółu, szczerze doprawianego gałązkami świeżego lubczyku. Oczyma wyobraźni widzi, jak ciotka Zofia, która uwielbia piec i gotować, czeka z otwartymi ramionami kresowiaka na każdego, kto przekroczy próg jej gościnnego domu.

Na kolację obowiązkowo usmażą naleśniki z serem i będzie jak w dzieciństwie Justyny: gorąca herbata popłynie ze starego porcelanowego imbryka w drobne czerwone kwiatki rozrzucone nierównomiernie na białym tle pękatego naczynia. Ciotka Zofia, szurając zawsze zmarzniętymi nogami, napelni aromatycznym napojem proste przezroczyste szklanki, osadzone w głębokich uchwytych z cienkiego złotawego metalu, tłoczonego w wypukłe wzory. Siądą wygodnie za starym stołem i będą delektować się pysznymi naleśnikami z rodzynkami i kandyzowaną skórką pomarańczową. Przesiedlone „zza Buga” dwa pożółkłe talerze z porcelanowego serwisu ślubnego babci Stefanii, cudem ocalone z wojennej katastrofy, zastąpią nieubłagane wykruszającą się rodzinę Jankowskich. Wytarte przez dziejowe zawieruchy złote paski, rozmyte wokół łagodnie falowanych brzegów niemodnej dzisiaj zastawy, na chwilę przywołają milczące duchy zmarłych.

Sztywno wykrochmalony lniany obrus zapachnie wytworną świeżością, której tak brakuje niegniotałym się chińskim serwetom ze sklepowych sieciówek.

Przypłyną wspomnienia popijane mocną herbatą z cytryną.

Kochana ciotka Zofia! Niecierpliwie czeka w swoim małym mieszkaniu na przyjazd uwielbianej Justysi. Nigdy sobie tego nie mówiły, ale jest między nimi tak silna więź, jaka może łączyć tylko matkę, którą Justyna tak wcześnie straciła, i córkę, której Zofia nigdy nie miała.

Na myśl o tym aksamitne ciepło spływa w okolice jej serca. Jeszcze tylko drobne zakupy i już stęsknione serdecznie padną sobie w ramiona.

Tymczasem Justyna niepewnie rozgląda się po klimatyzowanym wnętrzu ogromnego sklepu. Latem ubiegłego roku, gdy była w Chełmie, w tym miejscu stał mały osiedlowy sklepik, w którym rano można było kupić przepyszny chleb na naturalnym zakwasie, pieczony w małej rodzinnej piekarni, i okrągłe chrupiące bułeczki grahamki, po które każdego ranka przychodzili klienci nawet z drugiego końca osiedla. Dzisiaj nie ma śladu po tamtym rodzinnym biznesie, którego właściciel był jednocześnie zaopatrzeniowcem, a jego żona zawsze uśmiechniętą i miłą sprzedawczynią.

Za to teraz, w środku dawnego peerelowskiego osiedla, panoszy się ogromny hangar, który siedem dni w tygodniu, przez szesnaście godzin na dobę oferuje wszystkim mieszkańcom osiedla tanie, sieciowe produkty.

Justyna z trudem wyciąga druciany kosz na kółkach, szarpiąc się z całym rzędem pojemników zakleszczonych jeden w drugim jak paszcze gigantycznych piranii. Przejeżdża przez srebrzystą obrotową zaporę i rozbieganym wzrokiem szuka potrzebnych produktów. Zewsząd bombardują oczy żółto-czerwone tablice, agresywnie wieszczące promocyjne ceny przeróżnych towarów. Gra głośna muzyka, ludzie przemieszczają się z koszami, pokonując spacerowym krokiem całe hektary sklepowej powierzchni, leniwie oglądają stosy puszek, butelek, paczek, rolek i pudełek, wypatrując okazji na tanie. Wyraźnie widać, jak utrzymujące się całymi latami bezrobocie i pauperyzacja polskiej ściany wschodniej przekładają się na zachowania konsumenckie jej mieszkańców.

Znużona wyszukiwaniem poszczególnych artykułów, w końcu zbiera wszystkie potrzebne produkty i właśnie kieruje się do najkrótszego ogonka przy jednej z kas, kiedy gorącym wodospadem spływa na nią przenikliwy ciężar czyjegoś wzroku. Odwrócony tyłem do kierunku kolejki szpakowaty mężczyzna w lnianej marynarce safari uważnie przypatruje się zmierzającej w jego kierunku Justynie. Wystarczy kilka chwil na odgrzebanie utrwalonej w zakamarkach pamięci twarzy.

Kiedy ostatnio go widziała? Wtedy na pewno nie był jeszcze taki srebrzysty. A jak zmężniał!

Oliwkowa cera, niemal koszykarski wzrost, kilka zmarszczek na czole, siwiejąca broda, ale wciąż tak samo piękne zęby, błyszczące między mięsistymi wargami w uśmiechu, który zniewala kobiety i wywołuje zazdrość u mężczyzn,

panicznie bojących się dentysty. A do tego te oczy w kolorze brandy... Nie, nie, raczej o barwie piwa porter, które dawno temu przez całą noc lało się strumieniami na molo nad brzegiem Jeziora Białego.

Justyna niczego nie zapomniała: wścibskie, niecierpliwe dłonie, miedziana pełnia sierpniowego księżyca i niepowtarzalna, beztroska atmosfera studenckich wakacji, kiedy nie była jeszcze pewna, czy ma zostać na zawsze w Warszawie z obiecującym spokojne życie introwertycznym lekarzem Jackiem Meyerem, czy też rzucić się na oślep w te opalone, silne ramiona, gwarantujące wtedy tylko szaloną fizyczną rozkosz, budzące niecierpliwe pożądanie i niespełnione westchnienia koleżanek, ale wróżące jedynie niepewną przyszłość u boku niepokornego archeologa awanturnika Marka Bednarczyka.

– Justyna?!... Justyna?!... Ty tutaj?! Nie mogę uwierzyć! – Tak! To właśnie on idzie w jej kierunku, rozpościerając opiekuńcze bary. – Mówią, że góra z górą się nie zejdzie, ale ja z tobą... – Ochryply, głęboki bas zdaje się wypełniać przepastną kubaturę ogromnego sklepu.

– Marek?! A to niespodzianka! – Justyna odsuwa na bok swój kosz z zakupami i rzuca się Markowi na szyję.

– Co słyhać? Przyjechałaś do Chełma na urlop? – Marek unosi ją do góry jak małą dziewczynkę i z powrotem stawia na ziemi, a ona bezwiednie wciąga piżmowy zapach jego wody po goleniu – zbyt ciężki jak na tak gorący, lipcowy dzień.

Przyglądają się sobie ciekawie przez krótką chwilę, mierząc lata rozłąki rozbieganym, stęsknionym wzrokiem.

„Nic się nie zmieniła!”. Może tylko ma większy biust i szersze biodra, bo oczy są jeszcze bardziej błękitne niż wtedy, gdy całował je zachłannie w łódce, którą umyślnie wpakował w szuwary na drugim brzegu Białego Jeziora. Wszystko po to, żeby tylko być z nią sam na sam, smakować jej opalone ciało, tak samo kuszące jak dzisiaj, w tej cienkiej bluzeczce i obcisłych džinsach – przypomina sobie jej prowokujący śmiech niosący się po wodzie.

„No tak, to cały Marek! Dosłownie rwie oczy. Wciąż może się podobać i tym starszym, i tym młodszym dziewczynom. Przystojny, wysportowany i szarmancki”. Przez to spontaniczne powitanie gwałtownie odżywa magia jego ciała i rozkosz pieścizot, których ani trochę nie żałował, kiedy wciągnęli łódkę na brzeg i poszli między sosny poważnie porozmawiać o przyszłości na gościnnym mchu pograżającego się w mroku lasu.

– Przyjechałam służbowo na wykopaliska na Górcie Chełmskiej. Moje wakacje będą dosyć pracowite. A ty – jakie masz plany? – Jest ciekawa, jak wygląda jego życie, odkąd wiele lat temu się rozstali.

– Siedzę u matki, bo staruszka trochę choruje. Mam teraz wolne, więc zrobiłem w naszym starym domu mały remont i pomogłem mamie posprzątać. Za

kilka dni wyjeżdżam z powrotem, do pracy. – Ciekawie zerka na zawartość jej koszyka z zakupami.

– A czym się zajmujesz? – Nic bardziej sensownego nie przychodzi jej do głowy.

– Jak by to powiedzieć... Działam w branży morskiej. Po prostu pływam na statkach. Podpisuję kontrakty z armatorami z całego świata i ruszam w drogę co najmniej na pół roku. Wiesz sama – z czegoś trzeba przecież żyć, a archeologia to pasja niedochodowa, więc się w porę przebranżowiłem i pływam już ponad dwadzieścia lat. Ale wykopaliska nadal są moim hobby. W czasie rejsów nie mam możliwości zwiedzania nawet portowych miast, bo jestem odpowiedzialny za statek, ładunek i ludzi, za to podróżuję w przerwach między kontraktami. Zjeździłem już praktycznie cały świat. A co u ciebie? Zostałaś na uczelni, w Warszawie, prawda?

– Taaak... pracuję w Instytucie Archeologii i właśnie dlatego dzisiaj tu jestem. Co za spotkanie! Marek! Może umówimy się na wspominki, bo teraz muszę już iść do ciotki Zofii, na pewno się niepokoi, powinnam być u niej co najmniej godzinę temu, ale wstałam po zakupy, spotkałam ciebie i w dodatku komórka mi się rozładowała. Od rana jestem w drodze z Warszawy, byłam też w Zamościu, żeby zapalić świeczkę na grobie rodziców... To jak, spotkamy się? – Zaczyna wypakowywać zakupy na taśmę przy kasie.

Terminal przyjmujący kartę płatniczą działa wyjątkowo bezawaryjnie, toteż po chwili obydwójce stoją już przy drzwiach wyjściowych.

– Świetnie! Może spotkamy się jutro wieczorem? Tylko gdzie? Wszystko się tutaj pozmiało przez ostatnie lata! – Marek usłużnie trzyma reklamówkę z jej sprawunkami.

– Czy jest jeszcze kawiarnia Kosmos naprzeciwko sądu? Tam moglibyśmy wdepnąć! – Justyna szuka w torebce kluczyków od swojego samochodu.

– Jest Kosmos, ale w zupełnie innym miejscu, niedaleko stąd, przy Wojsławickiej. Nie byłam tam jeszcze... A może lepiej pizzeria Romina? Bardzo kameralny przybytek!

– Tak, a w którym to miejscu? – Po tylu latach od przeprowadzki do Warszawy Justyna zupełnie nie orientuje się w lokalizacji chełmskiej gastronomii.

– Romina to urocza knajpka przy Reformackiej, niegdyś Dzierżyńskiego, prawie naprzeciwko dawnej komendy milicji. Kojarzysz, prawda? – Marek podaje wszelkie możliwe fakty z historii tych miejsc, znane tylko wtajemniczonym chełmianom.

– Oczywiście, że pamiętam! – Jak na zawołanie przed oczami Justyny wyrasta ponura kamienica z okratowanymi oknami, siedziba znana z gestapowskich, a potem ubeckich tortur. Nie tak dawno, w czasie kapitalnego remontu odkryto pełne desperacji i rozpaczliwego patriotyzmu napisy wyrzyte na

piwnicznych ścianach przez katowanych tam więźniów.

– Och, pamiętam dobrze, to była moja codzienna droga do szkoły podstawowej! – Justyna jest ogromnie ciekawa, jak to miejsce może wyglądać teraz.

– Wobec tego o której spotkamy się jutro? – Marek uważnie zagląda w jej oczy.

– Może po dwudziestej? Żelżeje upał, odpoczniemy sobie po całym dniu przy piwie i pogadamy spokojnie. Co ty na to? – Już są na parkingu przed sklepem.

– Oczywiście, do zobaczenia jutro! – On z uśmiechem kiwa głową.

– Do jutra! – Justyna jest zaskoczona tym, że ma nieodpartą ochotę przytulić się do niego z całej siły. Pewnie z powodu zmęczenia podróżą i upałem...



ROZDZIAŁ II

Na bezchmurnym lipcowym niebie słońce praży niemiłosiernie od samego rana. Justyna zostawia auto w małej zatoczce u stóp kamiennie-ceglanego ogrodzenia, wyrastającego wprost z szarego chodnika.

Piaskowe lniane spodnie, turkusowa bawełniana bluzka bez rękawów i płócienne buty są najbardziej praktycznym strojem na zapowiadający się bezlitosny skwar. Przez ramię przewiesza lnianą torbę w biało-szare paski. Ma w niej małą butelkę wody mineralnej, dwie kanapki zrobione przez zapobiegliwą ciotkę Zofię, krem do opalania z największym filtrem, komórkę i mały błękitny kapelusik z wypłowiałej bawełny, który darzy szczególnym sentymentem, bo jak dotąd był dobrą wróżbą, amuletem gwarantującym niezwykle wydarzenia.

Szerokie schody unoszą Justynę coraz wyżej i wyżej. Przed nią krótki spacer w jeszcze chłodnym cieniu okalających chełmską bazylikę wiekowych kasztanowców, w widoczny sposób nadżartych przez bezlitosnego szrotówka, który upodobał sobie owocne żerowanie w całej Polsce, czyniąc wśród tego gatunku drzew barbarzyńskie spustoszenie.

Kiedy skręca w wąską boczną alejkę, dopada ją smutne wspomnienie:

„Czy jeszcze rośnie ten wielki okaz, na którym przed laty powiesił się szesnastoletni wówczas Wiktor – chory na ciężką postać astmy kolega z dzieciństwa, jeden z braci bliźniaków, wnuk pani Józi?”

Z pozostawionego w szafce z lekarstwami listu wynikało podobno, że był nieszczęśliwie zakochany w koleżance z klasy, która nie chciała się z nim spotykać, bo zamiast na hartujący ducha i ciało obóz przysposobienia obronnego, musiał znowu jechać do sanatorium w Rabce, żeby podleczyć się z choroby.

Pierwszej nocy po pogrzebie, podczas potężnej majowej burzy, oszalały ojciec Wiktora ściął samobójczą gałąź, ciężką od świeczek dorodnych białych kwiatostanów i rzucił ją pod okno małego domku, w którym zrozpaczona matka wyplakiwała oczy po bezsensownej stracie ukochanego syna.

Dzisiaj Wiktor byłby po prostu jednym z milionów alergików...

Piaszczysta alejka pnie się łagodną serpentyną pod górę. Po prawej stronie ciągną się porowate hałdy gruzłowatej kredy, otoczone dla bezpieczeństwa biało-czerwoną taśmą z przymocowanymi w dwóch miejscach żółtymi tablicami sygnalizującymi głębokie wykopy. Do najwyższego punktu Wysokiej Górki wiodą wąskie murowane stopnie.

Splaszczony czubek wzniesienia zwieńczony jest dużym drewnianym krzyżem, wkopanym w spaloną słońcem trawę. W XIX wieku dokładnie w tym

miejscu wznosiła się cerkiew pod wezwaniem Cyryla i Metodego, zburzona w okresie międzywojennym. Rozciągający się stąd panoramiczny widok na malowniczo pofalowane tereny, leżące u stóp kredowego pagórka, musi robić wrażenie na każdym, kto stanie na jego szczycie. Doskonale wiedzieli o tym ludzie, którzy przed wiekami wybrali właśnie to strategiczne miejsce na osiedlanie się.

Nic dziwnego, że w XIII wieku od północno-zachodniej strony Wysokiej Górki powstał zespół rezydencjalno-obronny, w którego skład wchodziła siedziba księcia Daniela i pachnące wschodnim kadzidłem bogate świątynie.

Przez długą chwilę Justyna pozwala sobie na sentymentalne zauroczenie ukochanym miastem, leniwie budzącym się w wakacyjnym upale. Powoli zamyka nasycone niezapomnianym krajobrazem oczy i prostuje na boki ręce, pozwalając gorącemu powiewowi powietrza swobodnie namaścić rozgrzane ciało tuż przed podjęciem nowego wyzwania.

Zrelaksowana i spokojna robi półobrót wokół własnej osi, jednocześnie otwierając oczy.

Przed nią pręży się alabastrowa wieża dzwonnicy, niczym forpocztą anonsująca majestatyczną późnobarokową Bazylikę pw. Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Gmach tej wielkiej osiemnastowiecznej świątyni został osadzony wokół dawnej cerkwi Jana Złotoustego, wzniesionej przez Daniela Romanowicza około 1260 roku. Jak na ówczesne czasy średniowieczna budowla o wyraźnych wpływach bizantyjskich na pewno była cudem sztuki architektonicznej: zbudowana w całości z cegły palcówki, ozdobionej marmurem i detalami z lokalnego niebieskozielonego wapienia-glaukonitu budziła powszechny zachwyt, chwając subtelnym pięknem majestat wszechmocnego Boga. Przez ponad dwieście ostatnich lat ten zabytek, wraz z całą ziemią chełmską, przechodził różne koleje losu: był unicką świątynią, soborem prawosławnym i kościołem katolickim. Wszystkie zmiany pozostawiły po sobie ślady widoczne na zewnątrz, w architektonicznym wizerunku, oraz te najcenniejsze, ukryte głęboko w ziemi tajemnice dostępne tylko archeologom.

Najwyższym obiektem w pierścieniu zabudowań wokół bazyliki jest dziewiętnastowieczna dzwonnica. W mierzącej ponad czterdzieści metrów wysokości wieży umieszczono trzy dzwony, a ułożony na jej szczycie punkt widokowy pozwala podziwiać rozległą aż po horyzont bezkresną panoramę całej okolicy.

Najstarszą zachowaną w całości budowlą na terenie miasta jest barokowa Brama Uściłuska z początku XVII wieku, zręcznie wkomponowana w cały ciąg powstałych później budynków gospodarczych. Przez jej wrota prowadzi aleja wiodąca do rozciągającego się w zachodniej części Górki Chełmskiej rozległego parku, który gwarantuje ucztę widokową dla oczu i odpoczynek wśród pięknego drzewostanu.

Panująca wokół gęsta, gorąca cisza zostaje niespodziewanie przerwana przez stłumione głosy. Justyna ciekawie spogląda w dół.

Na dnie dużego prostokątnego wykopu, tuż obok opartej o brzeg drabiny dwoje młodych ludzi zaszarpie dyskutuje nad pochodzeniem ciemniejszego pasa kredowego podłoża, ciągnącego się w połowie wysokości ściany.

– Dzień dobry! – Wydaje się, że jej donośny głos toczy się po całym pagórku i nagle znika, pożarty przez otwartą czeluść wielkiej dziury.

– Dzień dobry! – Para młodych ludzi w pastelowych koszulkach i krótkich, jasnych spodenkach przerywa rozmowę, zerkając ciekawie w jej stronę.

Wysoki mężczyzna, grzebiący szpachelką przy fundamentach kwadratowej budowli wyraźnie zarysowanej przy ścianie wykopu, na dźwięk jej głosu też podnosi głowę.

Kilka chwil zajmuje Justynie pospieszne zejście z pagórka wprost na brzeg żółtawego usypiska.

Spod sznurkowych podeszew pantofli sypią się zbite drobinki gliniastej kredy i spadają tuż obok stóp mężczyzny. Kilka większych, białawych grudek uderza go w opalone ramię, zostawiając na brzoskwiniowej skórze jasne ślady.

– Och, przepraszam, obsypałam pana zupełnie niechcący! – Justyna ciekawie zagląda do środka wykopu.

– Nic się nie stało! – Wydaje się, że on nawet nie zwrócił uwagi na taki drobiazg.

– Jestem Justyna Jankowska-Meyer z Warszawy, od dzisiaj będziemy razem pracować! – Płynnym ruchem przesuwając na głowę ciemne okulary, zagarniając razem z nimi pojedyncze pasma blond włosów z postrzępionej grzywki.

– Witam, bardzo mi miło, czekamy tu na panią niecierpliwie. Nazywam się Daniel Waszczenko, jestem archeologiem z Muzeum w Kijowie. – Szczupły, ostrzyżony na jeża, lekko szpakowaty ciemny blondyn zdejmując jasnozieloną płócienną czapkę z daszkiem i kiwa Justynie głową.

Mówi nieco łamaną polszczyzną, starannie zaokrąglając w ustach każde z wypowiedzianych słów, podobnie jak wszyscy Ukraińcy i Rosjanie starający się poprawnie używać języka polskiego.

– Zapraszam na dół, powinna pani koniecznie obejrzeć z bliska to, co udało nam się ostatnio odsłonić. – Szybko podchodzi do ściany i sprawdza, czy drabina jest dobrze ustawiona. – Często zapada się w tym miękkim podłożu jak w maśle. Proszę uważać! – Nieświadomy, usiłuje wyjaśnić Justynie coś, co jest dla niej oczywiste.

– Wiem, wiem, znam dobrze specyfikę chełmskiej kredy! – Ona jest już w połowie srebrzystej drabiny. Przez chwilę ma wrażenie, że, niczym refren znanej piosenki, słyszy ostatnie, troskliwe uwagi własnego męża.

Omijając ostatni stopień, robi zgrabny zeskok i miękko staje na popielatym

fundamencie. Teraz już tylko pięć, może sześć kroków dzieli ją od wyszczerbionych pozostałości po kwadratowej, kamiennej wieży i zastygłego w oczekiwaniu Daniela Waszczenki.

Równa, mocna opalenizna to znak, że od długiego czasu letnie słońce z upodobaniem rozkoszuje się jego ciałem. Głęboko wycięta biała bawełniana koszulka bez rękawów odsłania harmonijną klatkę piersiową i szczupłe, twarde ręce z wyraźnie zarysowanymi pod skórą pasmami żył. Nad lewym nadgarstkiem migocze grafitowy tatuaż w kształcie szerokiej, misternie grawerowanej bransolety, opasującej jego muskularne przedramię. Brązowe spodnie, upstrzone kredowymi smugami wokół kilku kieszeni rozmieszczonych na całej powierzchni sięgających do kolan nogawek świadczą o tym, że Daniel, całkowicie pochłonięty mrówczą pracą archeologa, często bezwiednie sięga po wystające z nich pędzle i szpachelki.

„Całkiem interesujący ten Daniel, no i cholernie przystojny!” – Justyna szybko ocenia nieznanego, czując wyraźny skurcz w żołądku.

– Cieszę się, że tego lata będziemy razem szukali naszej przeszłości... – Przyjaźnie wyciąga filigranową rękę do milczącego mężczyzny.

Wokół niego drga gorące powietrze przesycone złotym słońcem i ostro pachnie wilgotna migdałowa ściana kredy, bezwstydnie odsłonięta na nowo przed światem po ponad siedmiuset latach trwania w zazdrosnej ciemności.

Tylko grom z jasnego nieba może jeszcze mieć podobną moc rażenia do tej, jaką na Danielu wywiera z bliska widok Justyny. Przez długą chwilę patrzy na nią zmieszany, prawie spłoszony jasnością jej błękitnych oczu i zauroczony soczystym tembrem miłego dla ucha głosu. Najdłużej jednak zatrzymuje swój przenikliwy wzrok na rozchylonych, wyrysowanych ustach, mocno ściskając podaną przez nią dłoń.

Justyna odnosi dziwne wrażenie, że Daniel dokładnie zna każdy szczegół jej twarzy, a przez ułamek sekundy jest nawet pewna, że mężczyzna straci równowagę, cudem powstrzymując się od spontanicznego pocałunku.

Zaskoczona, robi krok do tyłu, jednocześnie wysuwając koniuszki palców ze zbyt mocnego uścisku Daniela, i ciekawie rozgląda się dookoła.

Zasięg prowadzonych na Górcie Chełmskiej prac wykopaliskowych jest naprawdę imponujący. Dzięki interdyscyplinarnym badaniom przy użyciu nowoczesnego sprzętu, w obrębie Wysokiej Górki otwarto ponad trzydzieści wykopów i zweryfikowano wszystkie dotychczasowe ustalenia dotyczące eksplorowanego terenu. Upewniono się też co do chronologii dziejowej, założeń architektonicznych, pełnionej funkcji oraz losów relikwów pozostałych po palatium księcia Daniela Romanowicza i kwadratowej wieży użytkowanej także za czasów Kazimierza Wielkiego. Przeprowadzone badania wskazują wyraźnie, że chełmskie wzgórze przeszło kilka faz użytkowania, a ponad pięciometrowy nasyp kryje pozostałości czterech budowli kamiennych noszących ślady pożaru, a może nawet

katastrofy budowlanej.

Ponad wszelką wątpliwość ustalono, że niemal w samym centrum wzniesienia znajdowała się kwadratowa wieża mieszkalno-obronna, osadzona na kamiennej podbudowie, o ścianach szerokości niemal dwunastu metrów. Baszta, przedłużona pobieloną drewnianą dobudową, świeciła ze swojej wysokości na wszystkie strony. Dla celów użytkowych została podzielona na kilka kondygnacji: mieszkalną, gospodarczą i reprezentacyjną. O tamtych mieszkańcach i toczącym się wtedy życiu świadczą znalezione w czasie eksploracji naczynia gliniane, srebrna biżuteria, szklane bransolety, sprzączki i okucia metalowe, monety i kamienne krzyżyki.

Przewidywana na lata 2010–2014 realizacja projektu wykopaliskowego właśnie, z lekkim poślizgiem, dobiega w tym roku końca. Justyna już wcześniej zapoznała się z treścią szczegółowych raportów, sporządzanych przez profesora Kowalewskiego z największą skrupulatnością. Wynika z nich, że tak zaawansowane prace to jedne z największych w kraju badań tego typu w ostatnim okresie. Unikatowy w skali europejskiej charakter odsłoniętego stanowiska archeologicznego spowodował ogromny wzrost zainteresowania ze strony międzynarodowego środowiska naukowego. W zespole archeologicznym znaleźli się znani rodzimi historycy mediewiści oraz studenci z wielu uczelni krajowych i zagranicznych. Przy pracy w tak doborowym towarzystwie na pewno czuje się zarówno większy prestiż, jak i presję wywieraną przez naukowe autorytety. Ale niewątpliwie najwięcej w tym wszystkim powinno zyskać samo miasto – takie wykopaliska to wspaniała promocja tego miejsca, zabytku i popularyzacja archeologii.

Justyna, z mocno bijącym sercem, trochę przestraszona wielkością przedsięwzięcia, które zastała, żałuje, że nie była tu od początku z profesorem Kowalewskim. Dzisiaj czułaby się w tym miejscu bardziej pewna i kompetentna, a tak... musi to sobie rozsądnie uporządkować, w krótkim czasie nadrobić zaległości.

Skupiona, przez dłuższą chwilę próbuje ogarnąć wszystko uważnym wzrokiem, ale zaraz podpływa uspokajająca myśl: będzie miała przecież dużo czasu, żeby zastanowić się nad każdym szczegółem, dopilnować rozliczeń, poznać pracujących tu ludzi i przejść razem z nimi przez magiczne wrota przeszłości rodzinnego miasta.

„Dam radę, na pewno!”. Niespodziewanie dla siebie samej zawisa pełnym oczekiwania spojrzeniem na wpatrzonym w nią Danielu.



ROZDZIAŁ III

Chociaż dochodzi już prawie dwudziesta pierwsza, mdlący upał duszną chmurą wciąż spowija senne miasto. Lepkie, tropikalne powietrze niczym fala uderzeniowa buchająca z przepastnego piekarnika odbija się ciężkim rykoszetem od beżowej ściany odnowionej przedwojennej kamieniczki przy ulicy Reformackiej.

To tu, na wysokim parterze od niedawna mieści się kameralna restauracyjka o wdzięcznej nazwie Romina.

Justyna wchodzi w półkolistą bramę, skręca w prawo i po pokonaniu kilku lśniących granitowych schodków czuje na sobie rzeźki powiew wydobywający się z chłodnego wnętrza.

W małej, stylowej sali nie ma nikogo. Dwa długie brązowe stoliki, a przy nich miękkie rude kanapy wygodnymi oparciami zachęcają do zajęcia wolnych miejsc.

Z lewej strony, spoza załomu ceglanego muru dochodzi do niej zdecydowany piżmowo-zamszowy zapach męskich perfum.

– Witaj! – Justyna zagląda ciekawie do przytulnej dziupli, w sam raz dającej schronienie dwóm osobom. – Mam nadzieję, że nie spóźniłam się za bardzo? – Kładzie małą, białą torebkę na pustej kanapie.

– Uff, nareszcie! Od godziny czekam tu na ciebie! – Tubalny głos Marka niesie się aż pod kawiarniany strop.

– Wyobraź sobie, że w ten upał przyszłam pieszo! Musisz to docenić... – Z rozbajającym uśmiechem wyciąga rękę na powitanie.

Marek Bednarczyk jest mężczyzną, który wrodzonym sprytem i podstępными komplementami potrafił tak otumanić matkę naturę, że nawet ona, ujęta jego urokiem osobistym, pozwoliła, by upływający czas stał się jeszcze dodatkowym, szulerskim asem w jego samczym rękawie.

Dotyk mięsistych warg, spotęgowany przez szpakowate wąsy i krótko przystrzyżoną brodę sprawia, że Justyna odczuwa moc powitalnego pocałunku nie tylko na grzbiecie dłoni – jego muśnięcie wciska się w nią celną smugą, jak drążący w głąb lej, i zastyga gdzieś przy sercu.

– Dzień dobry, bardzo się cieszę, że jesteś... – Marek sięga po leżący obok niego ogromny bukiet przewiązanych złotą kokardą strelcji.

Siedem masywnych, pomarańczowo-granatowych bezzębnych dziobów na krótką chwilę zawisa nad głową Justyny. Półotwarte z dumy, tępo przebijają się przez oka soczysto zielonej siatki, bezskutecznie usiłując przełamać tę jedyną

barierę bezpieczeństwa i drapieżną elegancją sięgnąć jej twarzy, rozgrzanej lipcem i emocjami.

– Piękne kwiaty! Dzięki! – Odchyła lekko głowę i obiema rękami odkłada na skraj stołu ciężką wiązankę.

Siadają naprzeciwko siebie.

– Czego się napijesz? – Przed Markiem stoi opróżniona do połowy wielka szklanica z piwem. Resztki piany, rozmazane na wewnętrznych ściankach z przezroczystego szkła, wskazują na niespieszne sączenie ulubionego napoju.

– Widzę, że nie zmieniłeś upodobań. – Justyna zatrzymuje wzrok na szklance.

– Bardzo wiele w moim życiu zmieniłem, ale niektórych przypadłości nie zmienię na pewno. – Świdruje Justynę bursztynowymi oczami. – To cóż: piwko? Małe jasne, duże ciemne? A może kieliszek jakiejś wódeczki? – Troszczy się o nią jak kiedyś, przy długiej, niedbale wyheblowanej ławie w pijalni piwa nad Jeziorem Białym.

– Wódeczka? W ten żar? Nie, dzięki! I tak czuję się jak pijana, źle znoszę wysokie temperatury... – tłumaczy się lekko rozdrażniona.

– A ja kocham tropiki! Ciepłe morze, gorący piasek i zimne drinki! Chociaż jestem w Polsce, to dzisiaj wszystko idzie po mojej myśli, nawet pogoda sprzyja. Może coś przekąsisz? – Podaje Justynie menu oprawne w tekturową okładkę. Realistycznie narysowane jabłka, gruszki, maliny i jeżyny pokryte kropelkami wody dodatkowo wzmagają uczucie pragnienia.

Trochę na oślep Justyna wybiera z karty miętowe lody z arbuzem i małe, ciemne piwo.

Marek rozanielonym wzrokiem osacza kelnerkę, która właśnie podchodzi do ich stolika. Złociście opalona, śliczna, może dwudziestoletnia brunetka, trochę spłoszona jego taksującym spojrzeniem życzliwie przyjmuje zamówienie Justyny, do którego Marek dorzuca jeszcze prośbę o następne duże piwo.

– Opowiadaj, co u ciebie, bo musimy nadrobić zaległości – mówi to zwyczajnie, spokojnie, jakby widzieli się wczoraj, a nie wiele lat temu.

– U mnie? Normalnie... – Justyna nie lubi mówić o sobie.

– To tak jak u mnie! Czyli...? – zachęca ją do zwierzeń.

– Mam męża, dorosłego syna, ciekawą pracę i... tyle. – Nadal jest jej gorąco, mimo że w lokalu przyjemnie mruży klimatyzacja. Wyraźnie zakłopotana, jednym zdaniem, jakby od niechcienia streszcza dotychczasowe życie i nerwowo wachluje się kartą menu.

Zdawkowość jej wynurzeń sprawia mu wyraźną satysfakcję.

– Dla mnie zawsze będziesz tą samą Justyną, nawet jak się spotkamy na emeryturze, ty wciąż będziesz kusila... – Marek zanurza usta w piwie, zatrzymując wzrok na wysokości jej dużego biustu.

– Dzięki, jak zawsze jesteś nieoceniony w komplementowaniu, ale które to już piwo, że nie widzisz upływającego czasu? – pije do tego, jak zaczepnie patrzył przed chwilą na młodą dziewczynę, która z powodzeniem mogłaby być ich córką.

– Ty naprawdę uważasz, że wszystko już było i dla ludzi w naszym wieku za późno na miłość i uwodzenie? Bo ja widzę coś zupełnie innego: taka piękna, dojrzała kobieta jak ty zdecydowanie bije na głowę młodsze... – mówiąc to, znowu zatapia w Justynie przenikliwe spojrzenie.

– Ty niepoprawny podrywaczu! Nigdy się nie zmienisz! – Czuje wielką ulgę, że jednak wybrała na męża zamkniętego w sobie Jacka, a nie tego przystojniaka, o którego, mimo upływu lat, wciąż jest zwyczajnie zazdrosna!

– Ja po prostu uwielbiam uszczęśliwiać kobiety! Takie już mam hobby! – Zbliża do roześmianych warg brzeg szklanki. Przez chwilę Justyna nie wie, czy jego oczy zrobiły się złotawe od piwa, czy to one nadają trunkowi niespotykaną barwę.

Przy stole znowu pojawia się zgrabna kelnerka i bezszelestnie stawia przed Justyną lodowy puchar i oszroniony kufelek ciemnego piwa. Marek zamienia pustą szklanicę na drugą – równie wielką i pełną. Na brzegu stołu przezroczyście połyskuje duży kanciasty wazon, w którym dziewczyna układa wiązanek płowych strelcji.

Lody pachną kusząco świeżą miętą i Justyna niemal rzuca się na nie, spod sterty pokrojonego w kostkę arbuza wygrzebując łyżeczką aromatyczne kule. Marek pociąga dwa łyki piwa i nie odrywając oczu od ust Justyny, stwierdza:

– Tak pięknie jesz, zachłannie jak dziecko... – Koniuszkiem języka zgrabnie zbiera strzępki piany osiadłe na szpakowatych wąsiskach.

– Bo dawno nie jadłam tak pysznego deseru! – Justyna czuje, jak krystaliczny chłód mięty połączony z koralowym, wodnistym arbuzem przynosi ulgę jej rozpalonemu gardłu.

– Wypijmy za nasze spotkanie po latach! – Marek podnosi do góry szklankę.

– Za spotkanie! – Justyna ledwo muska bokiem swojego kufla masywną taflę wielkiej szklanki. Równocześnie pociągają po dużym łyku piwa, patrząc sobie w oczy.

– A co u ciebie? – Teraz ona czuje się w obowiązku zadać mu to pytanie.

– Pytasz o życie prywatne czy o pracę? – Marek rozpycha się szerokimi barami po rdzawym oparciu kanapy.

– Mów po kolei o wszystkim, bo nie mam pojęcia, co się z tobą dzieło. – Justyna i tak wie, że on nie będzie z nią do końca szczery.

– No, cóż... – zaczyna lakonicznie od przełknięcia następnego haustu piwa – jak by to powiedzieć... krótko byłem żonaty. Mam dorosłą córkę, razem z matką mieszkają w Gdyni, a ja kilka lat temu przenieśliśmy się do Warszawy i mieszkam sam. No, prawie sam...

A praca? Teraz, kiedy przez Internet można załatwić wszystko, kontaktuję się mailowo z firmami przewozowymi, oferuję swoje usługi, wybieram odpowiednie dla mnie zlecenie i ruszam w rejs z towarem. Z dawnych ideałów zostało niewiele, a żyć przecież trzeba... – Przejeżdża opaloną dłonią po sztywnym zaroście i Justynie wydaje się, że nagle posmutniał.

Po krótkiej chwili spokojnie ciągnie dalej swoją opowieść:

– Kiedy rzeczywistość zajrzy w oczy, trzeba szukać optymalnego rozwiązania. Lubię moją pracę, choć trochę trwało, zanim nauczyłem się znosić długie tygodnie zapuszkowany na pełnym morzu. Natura uczy pokory – każdy człowiek powinien choć raz w życiu wybrać się w kilkumiesięczny rejs. Tylko wtedy można dokładnie poznać siebie samego. – Ostatnie zdanie Marka brzmi niemal filozoficznie.

– Chcesz powiedzieć, że świetnie znasz Marka Bednarczyka? – Justyna jest przewrotnie ciekawa stopnia jego próżności.

– Znam, może nie w stu, ale w dwustu procentach. – Patrzy na nią niemal bezczelnie, mrużąc swoje piękne tygrysie oczy, które teraz przybierają skrzącą barwę piasku pustyni o zachodzie słońca.

– A piraci somalijscy? Pływasz tamtędy? To taki niebezpieczny szlak morski! – Podekscytowana draży całkowicie egzotyczny dla siebie temat.

– Płynąłem tamtą trasą dwa lata temu ze świadomością, że wcześniej, przed nami, inny statek z polską załogą został porwany dla okupu. Co za czasy! Klasyczne piractwo miało przed wiekami trochę inne założenia niż te dzisiejsze, wynikające z afrykańskiej biedy, ale jeden i drugi rodzaj „dorabiania” na morzu to zawsze przestępstwo. – Marek mówi o tym zupełnie spokojnie, traktując współczesne korsarstwo jakby na równi z anomaliami pogodowymi na morzu.

– Ubezpieczasz się dodatkowo od takiego ryzyka? – Justyna chce wiedzieć, ile zostało w nim z dawnej nonszalancji i awanturnictwa.

– Zadbalem o to na wszelki wypadek, ale coraz częściej myślę, że na polskich drogach jest o wiele bardziej niebezpiecznie niż na afrykańskich wodach – Marek ze stoickim spokojem obraca w wielkich dłoniach zimne szkło.

– Tak... życie to wystarczająco ryzykowne zajęcie... – Justyna przypomina sobie, jak czasami po powrocie ze szpitala Jacek opowiadał o pacjencie, którego skomplikowany przypadek medyczny postawił na nogi cały oddział.

Nie lubiła słuchać takich historii, bo zawsze ogarniał ją paraliżujący lęk o zdrowie najbliższych i swoje. Wtedy też zdawała sobie sprawę, jak ulotne jest wszystko i że dobrze jest umieć żyć chwilą, bo nagle może już nas nie być.

– No właśnie, więc ja wyznaję prostą zasadę: co komu przeznaczone, to się i tak spełni i nie mamy na to wpływu. – Mimo dosyć pesymistycznej konkluzji, Marek wydaje się być kompletnie niewzruszony.

– Nie wiem, czy jako twoja żona wytrzymałabym nerwowo takie wyjazdy. –

Sama jest zdumiona swoimi słowami.

– Cieszymy się ze spotkania! Justyna, od kiedy jesteś tak słabą zawodniczką? Sączysz to małe piwo stanowczo za długo! Nie poznaję cię! – Kilkoma łykami kończy opróżnianie swojej szklanki. – Piwko jest niezawodne w tak upalny wieczór! Ja biorę następne. Dla ciebie też. No, kończ szybciej tego malucha! – wskazuje ręką na jej kufelek, wciąż w jednej trzeciej wypełniony piwem.

– Przecież nie biorę udziału w zawodach! – Justyna doskonale wie, że Marek tylko uwodzi ją tym tonem niepokornego macho.

– Szkoda, że jutro wyjeżdżam, bo moglibyśmy skuteczniej odnowić naszą znajomość... – Wpatruje się w nią, kładąc miazdzący nacisk na ostatnie dwa wyrazy.

– Nie przyjechałam tu, żeby włóczyć się po knajpach, to po pierwsze, nasza znajomość nie wymaga szczególnej formy odnawiania, to po drugie, a po trzecie: po całym dniu spędzonym na przetrząsaniu głębokich dołów w takim upale, jedyne, czego można chcieć wieczorem, to kąpiel i wygodne łóżko. – Niespodziewanie irytuje ją bufonia tego pewnego siebie, podstarzałego marynarza.

Ale Marek dopiero się rozkręca i nawet ta mało dyplomatyczna riposta ze strony Justyny nie robi na nim najmniejszego wrażenia.

Składa nowe zamówienie i po kilku minutach kelnerka stawia przed nimi kolejną porcję piwa.

– Miałem ciężkie ostatnie dwa tygodnie. – Wygodnie opiera łokcie na stole. – Wynająłem dwóch malarzy, którzy mieli szybko odświeżyć dom mojej matki. Ale wiesz, jak to z nimi jest. Wszyscy uważają się za artystów – wzięli zaliczkę na farby i nie było ich przez tydzień. Matka się zdenerwowała, ja zresztą też, bo czas mam ograniczony, a tu taka kicha! – Przymyka oczy, zanurzając wąsy w spienionym piwie. Przez szklaną taflę jego pełne wargi wydają się Justynie jeszcze bardziej namiętne. – Mama ma kłopoty z sercem, już kilka lat temu wszczepiono jej rozrusznik. Ostatnio dwa razy wzywałem pogotowie, bo ten skwar i demolka w mieszkaniu rozstroiły ją nerwowo. W końcu wywiozłem ją na wieś do młodszej siostry, a sam non stop pilnowałem tych, pożał się Boże, mistrzów pędzla, żeby znowu nie przepadli. – Nerwowo przejeżdża dłonią po wypielęgnowanej brodzie.

Justyna wyobraża sobie rygor i dyscyplinę, których Marek skrupulatnie przestrzega na prowadzonym przez siebie statku.

– A mówi się, że jest bezrobocie, szczególnie tu, na ścianie wschodniej. To jakiś paradoks! Daję ludziom zajęcie, płacę im, a oni mnie olewają! Zgroza! My, Polacy, musimy się jeszcze wiele nauczyć! Gdyby mi się tacy dwaj trafili na statku, wyrzuciłbym ich przez burtę na pełnym morzu! – Marek nagle robi się zły.

– I jak ostatecznie z tego wybrnąłeś? – Justynie jest żal jego chorej matki, filigranowej blondynki o orzechowych oczach, którą bardzo polubiła jeszcze

w czasach, gdy tyle łączyło ją z Markiem.

To była bardzo dzielna kobieta – sama wychowała syna, który nie szczędził jej trosk i kłopotów. Justyna dopiero od kiedy została matką, zdała sobie sprawę, jak wielką odpowiedzialność rodzice ponoszą za swoje dzieci; a samotna matka – podwójną.

Ojciec Marka – postać dziwna i dość mętna – zginął tragicznie w niewyjaśnionych okolicznościach, kiedy Marek miał kilkanaście lat. W pewien majowy piątek wieczorem paru zawianych pijaczków znalazło go martwego w ruinach pałacu w Krupem. Oficjalną przyczyną śmierci Czesława Kornilczuka miał być napad rabunkowy, co też skrupulatnie odnotowano wśród doniesień kroniki kryminalnej na łamach lokalnej prasy.

Ale przecież w Chełmie już wtedy „mówiło się”, że mimo głośnego śledztwa nigdy nie zostaną ustalone prawdziwe przyczyny, motywy ani sprawcy tej zbrodni. Pocztą pantoflową przekazywano, że Kornilczuka zabili „towarzysze” zza wschodniej granicy, którym nie chciał oddać jakiejś pokątnie zdobytej starej biżuterii.

Podobno miał sobie tylko znanymi kanałami nawiązać kontakt z żyjącym na Krymie człowiekiem, członkiem tajemniczego bractwa rycerskiego, który podawał się za potomka Rurykowiczów z linii halicko-włodzimierskiej. Od niego dowiedział się o insygniach koronacyjnych tej dynastii i legendarnej klątwie ciążyącej nad narodem ukraińskim. Według niepisanego przekazu każdy wstępujący na tron ruski władca oprócz korony, berła i jabłka królewskiego dziedziczył jeszcze dwie bransolety, które miały głębokie symboliczne znaczenie: dopóki razem zdobiły ręce króla i jego małżonki, oznaczało to istnienie silnego, niezależnego państwa. Inskrypcja wyryta enigmatycznym pismem runicznym na wewnętrznej stronie obręczy głosiła, że Rurykowicze wywodzą się od niezłomnych Wikingów, co nadawało temu rodowi wyjątkową moc, czyniąc go równie znamienitym i ważnym, co inne europejskie rodziny królewskie.

Dla Ukrainy, która wówczas była jedną z nic nieznaczących republik radzieckich, fakt ten miał szczególne znaczenie – nigdy niestłumiony w narodzie nacjonalizm znajdował wreszcie silne, dziejowe oparcie.

Według kroniki halicko-wołyńskiej insygnia królewskie Daniela Romanowicza składały się z korony, berła i wieńca. Przypuszczano, że termin „koruna” był wtedy określeniem tzw. globu, czyli jabłka królewskiego. Później okazało się, że nie wchodziło ono w skład regaliów przesłanych przez papieża Innocentego IV, a słowo „koruna”, użyte dla opisu szczegółów wyglądu samego monarchy w dniu koronacji, mogło w tamtym czasie oznaczać zarówno płaszcz książęcy – na Rusi tak zwany koc – symbol władzy, jak i jakiś zupełnie inny przedmiot. Na przestrzeni wieków zestaw regaliów królewskich ulegał ciągłym przeobrażeniom i dlatego ów „koc” mógł być zastąpiony przez wieniec, złoty

naszyjnik albo zupełnie inne przedmioty. Istotny jest fakt, że pierwsza redakcja kroniki halicko-wołyńskiej powstała niedługo po akcie koronacji mającym miejsce w latach pięćdziesiątych XIII wieku, lecz jej treść była później kilkakrotnie zmieniana. Najstarszy zachowany rękopis tego dzieła pochodzi z XV stulecia, stąd domniemanie, że różnice między tekstem pierwotnym a zachowanym rękopisem mogą być znaczne.

W drugiej połowie XIII wieku w średniowiecznej Europie papież wyrażał zgodę na koronację władców, przesyłając najważniejsze regalia: koronę i berło. Współczesna ikonografia przedstawia ruskiego monarchę na tronie, trzymającego w prawej ręce berło, a lewą sięgającego do zapinki płaszcza. Jeżeli monarcha wymagał dodatkowych insygniów, niezbędnych do przeprowadzenia ceremonii zgodnie z obrzędkiem koronacyjnym, można je było wykonać na miejscu. Co więc oznaczało pojawienie się dwóch określeń, które odnosiły się do tego samego insygnium władzy? Słowo „wieniec”, występujące w kronice halicko-wołyńskiej, było użyte wielokrotnie w kontekście sakralnym i oznaczało nakrycie głowy symbolizujące władzę, ale określenie „koruna” nie występuje w innych współczesnych tekstach ruskich aż do XIV wieku, gdy wyparło ono słowo „wieniec”. Skąd więc wzięła się w starszej o ponad sto lat kronice nazwa „koruna”, obca ruskiej tradycji forma insygnium koronacyjnego? Czy pojawiła się na kartach latopisu dlatego, że na Rusi, będącej wtedy pod wpływem kultury bizantyjskiej, regalia łacińskie przesłane księciu Danielowi budziły zainteresowanie swoją odmiennością, czy może kronikarz po prostu nazwał tak tajemnicze, szerokie bransolety, pochodzące z czasów, kiedy Wikingowie dali początek dynastii Rurykowiczów?

Pewne jest jedno: do dzisiaj nieznane są losy klejnotów koronnych Daniela Romanowicza. Po tym, jak Chełm, po licznych pożarach i zbrojnych atakach tatarskich, stracił znaczenie jako stolica księstwa, synowie Daniela przenieśli punkt ciężkości władzy do Lwowa, zabierając ze sobą insygnia koronacyjne. Na ich ślad naprowadzają dopiero zapisy dwóch polskich annałów: Traski i Małopolskiego, gdzie jest mowa o tym, że w 1340 roku król Polski Kazimierz Wielki podczas wyprawy na Ruś wywiózł ze skarbca książęcego we Lwowie jakieś dwa drogocenne diademy. Może według kroniki łacińskiej nazwa ta oznaczała koronę i berło Daniela, albo też sugerowała, że chodzi o bliżej niesprecyzowane miano „cirkus”, określające komplet dwóch bransolet? A cóż bardziej mogło ugodzić w i tak kruche podstawy państwowości pogranicznego księstwa niż pozbawienie go oznak godności książęcej przez silniejszego sąsiada?

Brak materiałów źródłowych nie daje nam pewności, jakie kosztowności zostały bezpowrotnie zabrane ze Lwowa przez ostatniego Piasta na polskim tronie, wówczas skutecznie i bezwzględnie jednoczącego polskie ziemie. Historia ta, wzbogacona własnymi domysłami piętnastowiecznego kronikarza Jana Długosza,

który Kazimierza Wielkiego nie darzył zbyt dużą sympatią, do dzisiaj działa na wyobraźnię Ukraińców, dając asumpt do snucia legend i poszukiwań insygniów władzy Daniela Romanowicza, będących symbolem niezależności i potęgi ówczesnego księstwa halicko-włodzimierskiego, z genealogią sięgającą wypraw skandynawskich Wikingów na kontynent europejski.

Runy w barbarzyńskim języku Gotów, ludów dawnej Europy północnej, oznaczały tajemnicę, były objawionymi przez Boga znakami wykorzystywanymi do wróżenia i sporządzania talizmanów, które miały chronić przed złem i wzmacniać ciało człowieka. Do dzisiaj nie wiadomo, jak powstało pismo runiczne. Wielość hipotez nakłada się na siebie, i jak zawsze w takim wypadku, mnożą się domysły i różnorakie historie, a każda z nich zakłada, że jest właśnie tą prawdziwą.

Jeszcze w XVIII wieku została wysnuta teoria o wikińskich korzeniach Rusi Kijowskiej, której autorem był niemiecki uczone Gerhardt Friedrich Müller. Po przeprowadzeniu badań związanych z rekonstrukcją drzewa genealogicznego Rurykowiczów doszedł do wniosku, że Rusini zostali podbici przez Skandynawów, którzy na zawsze odcisnęli genetyczne piętno na początkach państwa ruskiego. Te artefakty podtrzymywały tezę, że Rurykowicze – ród książąt ruskich – wywodzą się od Ruryka, legendarnego wodza Wikingów.

Niestety, hipoteza ta nie spodobała się członkom Rosyjskiej Akademii Nauk, którzy nie dopuszczali do siebie myśli, że Rurykowicze mogą nie być rdzennymi Słowianami. Nie lepiej było również w czasach Związku Radzieckiego: znaleziska archeologiczne z tego obszaru, mające niewątpliwie skandynawskie pochodzenie, były interpretowane jednoznacznie na korzyść twierdzenia o ukształtowaniu się państwa staroruskiego według rosyjskich ambicji narodowych.

Mimo tego, że zarówno sagi skandynawskie, jak i *Powieść minionych lat* – staroruski latopis kijowskiego mnicha Nestora z XII wieku wspominają dużo wcześniejsze przybycie Skandynawów na te ziemie, a współczesne badania DNA, przeprowadzone na kilku potomkach tej rodziny, wyraźnie wskazują na ich pokrewieństwo z mieszkańcami historycznej szwedzkiej krainy Upplandii, to do dzisiaj ten problem historiograficzny funkcjonuje nadal w sferze mitów genealogicznych, stanowiąc doskonałą kanwę dla tworzenia wszelkiego rodzaju karkołomnych fantazji.

Rzekomo w posiadaniu właśnie jednej z takich magicznych wikińskich bransolet znalazł się wtedy ojciec Marka, Czesław Kornilczuk, ale tak naprawdę do dzisiaj właściwie nie wiadomo, komu i dlaczego się naraził. Niewykluczone, że miała to być zemsta za to, że nie chciał oddać legendarnych kosztowności i wyśmiał nacjonalistyczne roszczenia Ukraińców związane z Chełmszczyzną, którą oni uważali za swoją dynastyczną własność. Wobec niewykrycia sprawców zabójstwa całe postępowanie oficjalnie umorzono, a piękna wdowa po Kornilczuku

– Barbara szybko wyszła po raz drugi za mąż – za oficera milicji, który prowadził dochodzenie w sprawie tej tajemniczej zbrodni.

Smagły, czarnooki kapitan Roman Bednarczyk z Komendy Wojewódzkiej Milicji, zwany wśród kolegów z pracy „Cyganem”, jeszcze w trakcie prowadzenia śledztwa porzucił zgorzkniałą, bezpłodną żonę i tuż po cywilnym ślubie z Barbarą pośpiesznie usynowił jej syna Marka, nadając mu swoje nazwisko.

Nie było mu jednak dane długo cieszyć się nową rodziną.

Od śmierci Czesława Kornilczuka minęło zaledwie dwa i pół roku, gdy w listopadowy niedzielny poranek, kilka miesięcy po przejściu w wieku lat 45 na zasłużoną mundurową emeryturę, Roman Bednarczyk niespodziewanie zszedł z tego świata na zawał serca, niemile zaskakując fertyczną Barbarę, ufnie przytuloną do jego całkiem zimnego boku różowymi koronkami ponętnego peniuaru.

Prozaiczna śmierć przystojnego oficera pionu śledczego w małżeńskim łożu, kupionym jeszcze przez jego poprzednika za okazyjny „bezcen”, od razu obrosła małomiasteczkową legendą.

Nie było dla nikogo tajemnicą, że po reformie rolnej PKWN z 1944 roku Kornilczuk wzbogacił się na ludzkiej krzywdzie, skupując meble i cenne przedmioty po wywłaszczonych właścicielach dworków, masowo zasiedlanych przez pegeery. A przecież zakłęta w starych ruchomościach energia po „tamtych” ludziach nigdy się nie rozprasza i daje o sobie znać, w odwecie pochłaniając ofiary.

Wkrótce matkę Marka nazwano kąśliwie „czarną wdową”. To złowróżbne miano przyłgnęło do niej tak mocno, że więcej nikt nie odważył się poprowadzić Barbary Bednarczyk do ślubu.

Odtąd jedynym mężczyzną w jej życiu pozostał dorastający syn. Mimo całego pasma nieszczęść mogli żyć spokojnie i całkiem dostatnio. Po Romanie Bednarczyku pozostała Barbarze całkiem niezła emerytura, a o nielegalnych dewizach i złocie Czesława Kornilczuka od lat krążyły w okolicy zawistne plotki.

Sam Marek otrzymał po matce wdzięk, urodę i czarującą osobowość, w spadku po ojcu odziedziczył zaś awanturniczą żyłkę i smykałkę do robienia nie zawsze legalnych interesów na granicy prawa. Także dzięki ojcu od dzieciństwa interesował go aktualny przelicznik złotego na dolary; znał lokalnych cinkciarzy i wiedział, komu okazyjnie i bez zbędnych pytań można sprzedać wszelkie precjoza. Kiedy w Polsce królowały PEWEX-y, Marek zawsze miał modne džinsy, kurtki i sweterki, pachniał old spicem i częstował znajomych oryginalną mleczną czekoladą, a nie wyrobami czekoladopodobnymi.

W czasie studiów jeździł na wycieczki po „demoludach”, handlował walutą, skupował stare monety i biżuterię, zawierał rozliczne znajomości.

Ten barwny konglomerat sprawił, że kobiety lgnęły do niego, przyciągane niekwestionowanym urokiem osobistym i fluidem charakterystycznego dla tamtych

czasów luksusu, jakim były kupowane za dolary ubrania. Wprawdzie studiów nie skończył, bo z powodu ciągłych wyjazdów do obozu państw socjalistycznych, *nomen omen* w celach ekonomicznych, nie zdał obowiązkowego w tamtych czasach egzaminu z ekonomii politycznej, ale nie wydawał się specjalnie przejęty brakiem tytułu magistra.

Sympatyczna i miła Barbara *secundo voto* Bednarczyk w niczym nie przypominała „podwójnie czarnej wdowy”. Trzymając w smukłych palcach żarzącego się papierosa, stała bezszelestnie w brązowych drzwiach burej willi i ciepło uśmiechała się na widok Justyny, odwiedzającej Marka, żeby uczyć się razem do egzaminów.

W czasie stanu wojennego, kiedy dekretem Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego zabroniono powielania wydawnictw, ciężko było zdobyć studenckie skrypty niezbędne do zaliczenia kolejnego semestru. Ale Marek był w tej materii po prostu nieoceniony – miał mnóstwo znajomych i potrafił w sobie tylko znany sposób wydobyć każdą książkę choćby spod ziemi.

Justynie nigdy nie przeszkadzało, że podmiejska dzielnica, wtedy złośliwie nazywana złodziejówką, była zasiedlona przez samych „prywaciarzy” i nowobogackich, którzy nie cieszyli się dobrą opinią u „zwykłych” obywateli.

W półmroku zagraconego salonu, na skrzeczącej sanacyjnej sofie obitej szorstkim ciemnozielonym pluszem bezczelnie wylegiwała się czarna jak smoła kocia rodzina – Balbina i Baltazar. Pospolite dachowce, rozciągnięte leniwie na kołnierzu ze srebrnego lisa, niedbale rzuconym przez panią domu, były tajemniczą wizytówką przeładowanego bibelotami wnętrza.

Kiedy na horyzoncie pojawiała się Justyna, zwierzęta bezszelestnie czmychały, spłoszone kłaśnięciem dłoni Marka, który od razu niecierpliwie mościł jej na kanapie wygodne miejsce tuż przy sobie.

Puszysty wełniany dywan przesiąknięty był głębokim zapachem świeżo mielonej kawy i gęstym dymem mocnych carmenów, które palili namiętnie, siedząc razem z jego matką przy jednonogim dębowym stole.

Tak samo pachniały sztywne blond włosy Marka, gdy – niby przypadkiem – mizdrząc się jak mały chłopiec, przymilnie kładł głowę na ramieniu Justyny, pokazując na mapie dokładny zasięg kultury przeworskiej, skupiska ceramiki sznurowej czy obszar występowania pucharów lejkowatych.

Barbara Bednarczyk z nadzieją sekundowała związkowi Marka z Justyną, i jak każda matka zauroczona jedynakiem chciała, by po prostu był szczęśliwy. A jej zdaniem tylko Justyna była tą właśnie jedyną kobietą rokującą nadzieję na okiełznanie ukochanego syna.

Jednak młodzi ludzie nie traktowali wtedy tej znajomości zbyt poważnie – Marek spotykał się wciąż z innymi dziewczynami, a Justyna chciała w terminie skończyć uniwersytet, a potem jak najszybciej usamodzielnąć się finansowo.

Kiedy pod koniec drugiego roku studiów poznała studenta medycyny Jacka Meyera, a Marek nie zdał komisijnego podejścia do ekonomii politycznej, szybko okazało się, że pobożne życzenia Barbary Bednarczyk nigdy nie miały się spełnić, bo życiowe drogi Justyny i Marka rozeszły się na zawsze.

Nagle teraz, pod wpływem wspomnień, Justyna próbuje wyobrazić sobie, jak dzisiaj wygląda kobieta, która kiedyś była dla niej wzorem niedościgłej elegancji i seksapilu.

„A może ma do mnie żal, że nie zostałam z jej synem? Szczególnie że jemu nie ułożyło się małżeństwo. Nie, lepiej zostawić to tak, jak jest”. W gruncie rzeczy Justyna nie ma jednak ochoty na spotkanie po latach ze starszą panią.

– Wczoraj przywiozłem mamę od ciotki Grażyny. Nawet zaakceptowała groszkowy kolor ścian w salonie, który wybrałem sam, pod jej nieobecność... – Bezgłośnie pociąga trochę piwa. – Złagodniała, oj złagodniała moja staruszka, już się prawie nie kłócimy – przyznaje rozbajającym tonem, zupełnie jak nastolatek złapany na paleniu papierosów.

– Bardzo lubię twoją mamę. Pozdrów ją, proszę... – Justyna pochyła się nad szklanką.

– Dzięki. Na pewno ucieszy się bardzo! Kiedy rozodziłem się z Magdą, matka powiedziała, że gdybyś ty była moją żoną, nigdy by do tego nie doszło. Czy wiesz, że ona nawet nie próbowała zaprzyjaźnić się z Magdą, chociaż ta dała jej jedyną wnuczkę? Do dzisiaj wmawia mi, że nie potrafiłem zaważać o ciebie i dlatego teraz jestem sam... – Marek nerwowo odsuwa na bok swoją szklankę.

– Ty uważasz tak samo? – Justyna ma odwagę zadać to pytanie, bo już czuje w głowie przyjemny szum alkoholu.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Przecież to ty wybrałaś wtedy Jacka Meyera, a nie mnie. Mam nadzieję, że był to szczęśliwy wybór? – Twardą dłonią dotyka przegubu jej lewej ręki. – Piękna bransoletka! – Ruchem głowy wskazuje na dwie mleczne perły, nanizane na złoty łańcuszek, które drgają matowo w świetle świeczki. Delikatny płomień, rozchwiany głębokim oddechem Marka, pełga waniliowo na ziarnach kawy rozsypanych na dnie szklanego lampionu.

– To prezent od Jacka na dwudziestą rocznicę ślubu. – Nagle spływa na nią gorąca fala kobiecej dumy, że mimo wielu przeciwności przez tyle lat potrafiła wytrwać w związku z tym samym mężczyzną.

– No i znowu jestem zazdrosny, a już myślałem, że nigdy, nigdy więcej nie będzie to moim udziałem!

Justyna nie wie, czy w jego głosie bardziej pobrzmiewa nuta autoironii czy żalu.

„Czy Jacek był o mnie kiedykolwiek zazdrosny? Jak wyglądałoby moje życie z Markiem? Czy jestem szczęśliwa? Dobrze pytania... – Kilkoma łykami kończy swoje piwo. Nareszcie czuje się lekko i pewnie. – Zazdrosny Marek – coś

takiego! Tego mi było trzeba! On jednak potrafi nakręcić kobietę!”. Postanawia skorzystać z okazji, że po latach spotkała tego uroczego twardziela.

– Ty?! Zazdrosny?! O mnie?! Nie wierzę! – Z iście babskim uporem zapamiętała drażniący ją temat.

– A co cię tak dziwi? – On, niezadowolony, że tak się szczeniacko odsłonił, rozbiegany wzrokiem szuka kelnerki, żeby znowu zamówić piwo.

– Dziwi mnie, że facet, który owijał sobie wokół palca każdą kobietę, bywa zazdrosny. Przecież zawsze sam decydowałeś, z kim chcesz być, dokonywałeś wyborów: zostaję – odchodzę, a tu takie rzeczy... – Justyna jest szczerą do bólu.

– I mówisz to właśnie ty? Ty, która zostawiłaś mnie na lodzie? – Marek połyka kolejny haust piwa. – Nasze zdrowie! – Bez skrępowania zmienia temat, a jego wielkie oczy wyglądają jak dwie wypukłe pralinki z mlecznej czekolady, wtopione w złocisty owal twarzy.

– Marek! Przecież rozstaliśmy się za porozumieniem stron. Postawiłam sprawę uczciwie: zakochałam się w Jacku, a ty... zresztą nic nie mówiłeś wtedy...

– Przypomina sobie, jak w milczeniu płynęli łódką ku sierpniowej nocy, wychodzącej cicho na przeciwległy brzeg Jeziora Białego.

– Tak, tak, ty może byłaś wtedy uczciwa, ale ja niekoniecznie... – Jest coraz bardziej zły, nie wiadomo na kogo.

– To znaczy? – Justyna postanawia zagrać *va banque*.

– Naprawdę nie rozumiesz? Czy tylko chcesz mi dokopać, sadystko? – Marek mocno akcentuje ostatnie słowo.

– Mam dalek się domyślać, czy powiesz wreszcie, o co ci chodzi? Masz do mnie żal? – Jest odważnie bezlitosna.

– Nie... to nie tak... Mam żal do siebie, że byłem takim idiotą, wypuściłem cię z rąk, oddałem walkowerem, nawet nie próbowałem zatrzymać... Myślałem, że jednak coś do mnie czujesz i nie odejdziesz z innym... tak po prostu... – Patrzy na bransoletkę na jej ręce. Nagle nabiera w płuca hektolitry powietrza i jednym tchem wyrzuca z siebie: – Wydawało mi się, że należysz tylko do mnie, bo znam cię najdłużej, najlepiej i dlatego mam prawo do twojej miłości. Jak mogłaś tego nie widzieć? Byłem pewien, że w końcu będziemy razem! – Gwałtownie prostuje zgarbione plecy.

Zapada niewygodna, krepująca cisza, podczas której Justyna uparcie wpatruje się w równy płomień aromatycznej świeczki.

– To za mało, Mareczku, żeby z kimś zostać na całe życie. Jesteś niereformowalnym egoistą, wiesz o tym? – Powoli dociera do niej sens tamtej rozmowy sprzed lat.

– Dzisiaj mam już tę życiową mądrość i wiem, że uczucia to nie transakcje handlowe. – Uważnie patrzy na Justynę, a jego przeszkłone bursztynem spojrzenie beczelnie kąsa jej na wpół otwarte usta.

– I...? – Niecierpliwie czeka, że po latach usłyszy od niego coś więcej.

– I wiem, że wtedy straciłem wiele. No, ale cóż... i tak bywa, nie wszystko musi się w życiu udać... – Widać wyraźnie, że już męczy go ta rozmowa.

– Ale wciąż znasz się na ekonomii? – Płynnie wpada w tok jego rozumowania, z pełną świadomością, że mężczyźni na całym świecie wolą mówić o polityce, pieniądzach i samochodach, byle tylko nie o uczuciach, a szczególnie o tych nieodwzajemnionych.

– Znam się i to coraz lepiej, bo przecież praktyka czyni mistrza. – Znowu jest tym samym cynicznym Markiem, zręcznie żonglującym słowami jak prestidigitator manipulujący umysłami widzów z cyrkowej areny.

– Dzięki, nie wchodzę w ten biznes... – Ona też chce skończyć drażliwy temat.

– Wiem, wiem, widzę, że nic się nie zmieniłaś, nie tylko jeśli chodzi o wygląd... – W jego głosie pobrzmiwa sarkastyczna nuta złośliwego podziwu.

– Mogę to samo powiedzieć o tobie... – Justyna uświadamia sobie z ulgą, że z Jackiem nigdy nie musiała w ten sposób rozmawiać.

– No, to nasze zdrowie! – Marek podnosi grube szkło do wilgotnych ust. – Za ten miły wieczór wspomnień! – Bezgłośnie wlewa w siebie okazałą porcję piwa. – Nie migaj się, za zdrowie musisz wypić, mimo wszystko chyba dobrze nam życzysz? – Łagodnieje miękko i znowu jest uroczym, misiowatym przystojniakiem.

– Oczywiście! – Justyna pociąga trochę piwa. Przecież nie spotkali się, żeby robić sobie bezsensowne wyrzuty. Wprawdzie miało być przyjemnie i niezobowiązująco, lecz ona z trudem rozluźnia odruchowo napięte mięśnie karku i postanawia pomilczeć, aż Marek przejawia chęć do rozmowy.

Okazuje się, że wcale nie musi długo czekać.

– A twoja ekspedycja archeologiczna? Coś ciekawego się szykuje? Dokonacie jakiegoś odkrycia? Jak myślisz? Kolejne wakacje na Górcie trwają wykopaliska, ale nie ma specjalnych rewelacji, może ty będziesz miała więcej szczęścia? Odslaniacie przecież wykop w środku bazyliki... – Swobodnie przeskakuje na zupełnie inny temat.

– Marek, do bazyliki wejdziemy znowu dopiero w przyszłym roku, ale nie wiem, czy będę przy tym. Przecież tu wszystko jest rewelacją, a co ty uznałbyś za epokowe odkrycie? – Trochę dziwi ją cyniczny ton pobrzmiwający w jego głosie.

– W grę wchodzi jedynie odkopanie prawdziwego skarbu książęcej rodziny. Tej rangi wschodniego dostojnika co Daniel Romanowicz chowano w średniowieczu z całym dobrodziejstwem inwentarza. Są na pewno monety, biżuteria... – Patrzy uważnie na jej usta.

– O! Marzy ci się Indiana Jones po polsku? – Nawet ją samą rozśmiesza to trywialne porównanie. – Nie sądzę, żeby w tym miejscu było coś innego niż resztki murów i ceramiki. Skarbu musisz poszukać gdzie indziej, może na dnie morza,

w pirackiej skrzyni? – Złośliwie studzi te niedorzeczne zapędy.

– Jesteś tego całkowicie pewna? Dopiero zaczniesz tam pracę, musisz się dobrze rozejrzeć, takie miejsce może kryć wiele niespodzianek! Profesor Kowalewski w swoich wcześniejszych raportach brał pod uwagę różne hipotezy. Przecież będziecie szukali grobu Daniela Halickiego, a on nie został pochowany tylko w płóciennej koszuli!

Teraz na pewno nie była to już jedynie wizja podpitego marzyciela i Justyna zaczęła uważnie przysłuchiwać się każdemu wypowiedzanemu przez niego słowu.

– Wprawdzie dokładnie nie wiadomo, kiedy i gdzie zmarł, ale pewne jest, że stało się to między jesienią 1263, a latem 1264 roku i że miejscem jego pochówku została cerkiew katedralna w Chełmie, której był fundatorem. Przez ponad siedemset lat katedra była wielokrotnie przebudowywana, z jej wyposażenia nie zostały żadne relikty. Nie wiadomo też, jaki rodzaj ruskiego pochówku wybrali współcześni dla swego księcia. Czy był to kamienny sarkofag postawiony w skrzydle świątyni, czy może trumnę umieszczono w którejś ze ścian, w zamurowanej niszy? A jeśli sarkofag lub trumnę wsunięto pod posadzkę, do komory grobowej, albo jego doczesne szczątki spoczęły w krypcie, pod podłogą cerkwi? Ależ zazdroszczę ci, że będziesz musiała to wszystko ustalić, wytropić, a potem zbadać!

– Widzę, że profesjonalnie interesujesz się tematem! Dawna pasja jest wciąż silna! Dlaczego tak ci zależy na odkryciu tego grobowca? – Justyna usiłuje ukryć zmieszanie faktem, że Marek znowu ją zaskoczył.

– Powiedzmy, że jestem lokalnym patriotą... – W jego słowach dźwięczy mocno fałszywa nuta.

– A może jaśniej? – Justyna czuje, że Marek coś przed nią ukrywa. Tylko co?

– Może chciałbym, żeby nasze senne miasteczko wreszcie stało się mekką dla turystów, a ty sławną panią archeolog, która przyjeżdża ze stolicy i od razu zmienia bieg prowincjonalnej historii? – Drapieźnie wbija w nią brunatny wzrok.

– Chyba w czasie długich rejsów czytasz za dużo literatury fantasy... – Justyna zaczyna odczuwać, jak dziwny niepokój dopada ściśniętej krtani.

– Jestem skończonym realistą, z tej strony znasz mnie przecież dobrze... – Tym razem bezbłędnie uderza w jej kobiecą intuicję.

– Nazwałabym to raczej mrzonkami, typowymi dla stanu po wypiciu zbyt dużej ilości piwa w upalny dzień – usiłuje go otrzeźwić dobitnym stwierdzeniem.

– Obiecay mi jedno: jeśli znajdziesz coś innego niż ucho od średniowiecznego dzbanka czy pęknięty kawałek zielonego szkieleka z pałacowej posadzki księcia Daniela, to dasz mi znać, dobrze? – Z zapiętej na mały guzik kieszonki u góry koszuli wyjmuje elegancką kremową wizytówkę. Zdecydowanym ruchem podsuwa sztywny kartonik pod jej dłoń.

– Marek? A możesz powiedzieć, co cię naprawdę interesuje? – Zaczyna już mieć dosyć jego enigmatycznych prowokacji.

– Coś oryginalnego i bardzo szlachetnego, co ładnie prezentowałoby się na twojej delikatnej ręce. – Znowu omiata ją przenikliwym spojrzeniem. – Zresztą zawsze miałaś dobry gust i wiesz, jaka biżuteria do ciebie pasuje... – sapie, zniecierpliwiony, że aż tyle musiał powiedzieć.

– Nie łudź się niepotrzebnie, możesz być spokojny, tam na pewno nie ma nic, co może mieć aż taką wartość! Przecież zmarłym władcom nie wkładano do grobu insygniów koronacyjnych! Poza tym równie dobrze jak ja znasz sprawozdania z wykopalisk. W każdej chwili są dostępne choćby w Internecie... – Wzbiera w niej wściekłość na myśl, że Marek z góry wiedział, jaki ma być cel ich spotkania.

„Wspomnienia! Marek i wspomnienia! Zawsze był wyrachowanym materialistą! A ja dałam się podpuścić jak naiwna blondynka z kawałów”. Teraz ma ochotę mocno puknąć się w czoło.

– Na wszelki wypadek zachowaj moje zamiary, bo jeśli nie w Chełmie, to może spotkamy się w Warszawie po wakacjach? – Jest jasne, że na ten temat dzisiaj wyłuszczył już wszystko.

Justyna niedbale wsuwa wizytówkę do torebki, nawet nie patrząc na to, co jest na niej napisane.

„Jak mogłam tak dać się otumanić? Blond kretynka!”. Zalewa ją wściekłość na samą siebie. Teraz chciałaby znaleźć się jak najdalej od tego miejsca, byle nie widzieć Marka. Znowu zapomnieć o nim na całe wieki. Nic się nie zmienił! We wszystkim wierzy jedynie dobry interes do ubicia. Jak on to sobie wyobraża? Miałaby dla niego podprowadzić eksponaty? Wariat! Chyba za dużo wypił! Albo tylko ją testuje?

„Jakie interesy i z kim robi ten cwaniak? Nieodrodny syn starego Kornilczuka! Nie wyciągnął wniosków ze śmierci ojca? Tak samo jak on, lubi balansować na cienkiej linii. Szkoda, że mój ojciec nie żyje, może on wiedział coś więcej o tej historii z wikińskimi bransoletami Rurykowiczów?”.

W tej chwili niespodziewanie odpływa całe napięcie, które towarzyszyło jej od wczoraj na myśl o spotkaniu z Markiem. Właśnie okazało się, że po raz kolejny zawiodła się na nim.

W milczeniu kończą piwo. Justyna jest już tak zmęczona, że obawia się, czy da radę ustać na nogach.

- Było mi miło spędzić z tobą wieczór. – Z trudem podnosi się z kanapy.
- Ooo!!! Cała przyjemność po mojej stronie! Zadzwoń po taksówkę i odwiezę cię. – Marek z kieszeni spodni wyjmując szeroką srebrzystą komórkę.
- Dobrze... – Justyna czuje się zażenowana nagłą słabością.
- Weź kwiaty, a ja zapłacę rachunek. Jesteś dzisiaj moim gościem!

Jakby na zawołanie pojawia się przy nich kelnerka.

– Dzięki... – Już nie ma nawet siły zaprotestować. – Za chwilę będę gotowa.
– Chwiejnym krokiem wchodzi do ciasnej łazienki ukrytej tuż przy wejściu na zaplecze lokalu. Dobrze, że z głośnika na suficie płynie jednostajna, usypiająca muzyka, bo wypite piwo gwałtownie mobilizuje jej nerki do wyętej pracy. To ten upał, alkohol i emocje sprawiły, że w ciągu ostatnich kilku minut oklapła dosłownie jak szmaciana lalka.

Resztkami sił skrapia wodą rozpaloną twarz i zerkając w okrągłe lustro, poprawia wyblakły makijaż.

„Głowa do góry, Justyno! A czego spodziewałaś się po Bednarczyku?”. Już całkiem spokojna wychodzi z lokalu.

Marek stoi z miotlastym bukietem na rozgrzanej nocnym upałem ulicy.

– A może przejdziemy się? Zawsze trochę dłużej pobędziemy razem... – Nawet taka ilość pochłoniętego piwa nie robi na nim żadnego wrażenia.

– Nie wiem, jak długo utrzymam się w pionie. – Justyna zdaje sobie sprawę z tego, że mają przed sobą do przebycia kawał drogi.

– Przecież w każdej chwili możemy wezwać taksówkę! Lipcowe noce są niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju. Justynko, chodź tu do mnie! – Nie czekając na przyzwolenie, bez ceregieli mocno obejmuje ją masywnym ramieniem. W drugiej ręce dzielnie trzyma wyniosłe kwiaty.

„Co za romantyk! To jego drugie oblicze? Doktor Jekyll już był, teraz pojawił się Mr Hyde?”. Mimo wszystko ujmuje ją jego opiekuńczość.

Idą powoli, ciasno spleceni, a właściwie on, pewnie stąpając w zakurzonym mroku, prowadzi ją jak małe, bezradne dziecko.

Justyna zamyka piekące oczy. Teraz może oderwać się od chodnika i płynąć obok Marka w dusznej ciemności. Jedyne on odpowiada za ten nocny rejs po mieście. Już ani chwili dłużej nie chce pamiętać irytującej rozmowy o wykopaliskach, bo silne ramiona Marka są teraz najbezpieczniejszym miejscem na świecie.

Przez ciekłą biel bawełnianej koszuli przebija wyzywający zapach jego ciała – ciężkie piżmo przeplata się subtelnie z cyprysem, nutami skóry i ambłą. Justyna wyobraża sobie, że tak pachną dalekie, egzotyczne wyspy, ciepłe atole i bezgłośnie falujące koralowce.

„Przenieść się w tak magiczne miejsce: biały piasek, lazurowa woda i tylko my dwoje, jak w bajce...” Jej poplątane stopy potykają się na jakiejś nierówności chodnika i Justyna otwiera szeroko oczy.

Na ulicy jest całkiem pusto, a Marek kieruje się prosto na Pocztową, w czasach Peerelu przemianowaną na ulicę Związku Walki Młodych.

Wszystko się tu zmieniło, wszystko! Jak w starym kinie przez głowę Justyny przesuwały się zapomniane miejsca i ludzie.

Przed laty, gdy przetykane łopotem czarnych chorągwi konduktu pogrzebowe szły jeszcze w majestacie śmierci ulicami Chełma, na samym winklu, u zbiegu dwóch wąskich uliczek brukowanych kocimi łbami, w miniaturowym lokaliku przycupnął jeden z nielicznych w mieście prywatny zakład pogrzebowy prowadzony przez starsze małżeństwo.

Po śmierci męża, Tadeusza, wdowa po nim Pani Ludwika zdana była jedynie na własne siły, bo na pomoc jedyne go syna Ziutka nie mogła absolutnie liczyć. Rozpuszczony przez matkę birbant i hulaka w niczym nie przypominał zapobiegliwego i pracowitego ojca. Wielbiciel łatwych kobiet i mocnych trunków gonił do upadłego za wciąż nową przygodą, szastając na prawo i lewo majątkiem po zmarłym rodzicu. W krótkim czasie roztrwonił fortunę, sprawiedliwie dzieląc wydatki pomiędzy balety w knajpach i drogie prezenty dla kolejnych „narzeczonych”. Matka, zrozpaczona hulaszczym trybem życia ukochanego Ziutka, resztkami sił starała się doglądać upadającego interesu. Od rana do wieczora siedziała na zdezelowanym kuchennym taborecie pomiędzy ciasno upchanymi trumnami niczym żywa reklama sprzedawanego towaru. Woskowa staruszka, z twarzą pomarszczoną jak upieczone jabłko, okoloną wieńcem zrudziałych, rzadkich włosów wypalonych tanim płynem do trwałej ondulacji, na widok wchodzącego klienta podnosiła w górę za grube brwi, niesymetrycznie namalowane siną henną. Z nadzieją na dobry zarobek, układała w serduszko wąskie usta, wyrysowane rozmazaną karminową szminką i skrzeczącym głosem baśniowej czarownicy zachwalała swój sklepowy asortyment. Już po kilku minutach każdy klient był doskonale zorientowany, jakie drewno jest najtwardsze „na wieczność”, która trumna jest „nieziemsko” wygodna, która to tylko „zwykła” jesionowa paka; gdzie jest prawdziwe atlasowe „posłanie”, gdzie do wezgłowia wepchano najtańsze trociny z pobliskiej stolarni, a do których koronek, zdobiących brzegi, dodano oryginalne srebrne nici.

Kiedy interes „nie szedł”, znudzona i smętna na długie godziny zastygła w pozie egipskiej mumii, martwo wspierając zgarbione plecy o stojące przy ścianie wieko od trumny, lub też, rachitycznie rozparta na koślawym zydlu, najspokojniej w świecie dziergała ręcznie robótkę z kolorowej włóczki. Pomiędzy jej artretycznymi palcami zdumiewająco szybko migało wtedy kościane szydełko i w czasie jednej „dniówki” Pani Ludwika wyczarowywała miniaturową włóczkową sukieneczkę z wijącymi się falbankami albo toporny dziecięcy sweterek.

I chociaż nie miała już nadziei, że po przebytej w dzieciństwie świnicy z ciężkimi powikłaniami uwielbiany Ziutek kiedykolwiek uczyni ją babcią, to jednak, na przekór brutalnej rzeczywistości, i tak znalazła godnego odbiorcę swojego rękodziela.

Na środku małego okna wystawowego pyszniła się stała autorska dekoracja

właścicielki interesu: w otwartej malutkiej białej trumience, wyścielonej srebrzystą satyną, leżała celuloidowa laleczka, murzynek płci obojętnej, ze starczą, nalaną twarzą barokowego putto, który przedwczesną śmiercią „powiększył grono aniołków”. Wyłupiaste brązowe oczy pulchnego murzynka, patrzące w nicłość sklepowej witryny, zdawały się niemo odzwierciedlać pogrzebaną szansę Pani Ludwika na posiadanie wnuków...

– Nogi w górę, bo skręcisz kostki i zamiast odkrywać tajemnice Chełma wylądujesz w gipsie! – Marek mocnym ściśnięciem jej ramienia rubaszenie przegania krążącą nad Justyną chmurę wspomnień.

– Nic nie poradzę, że w chodniku są dziury. Dzięki, że mnie uratowałeś! – Justyna spogląda życzliwie na swojego wybawcę. Nagle odzyskuje siły i animusz do dalszego marszu.

– Samo „dziękuję” to bardzo niewiele! Moja droga, masz wobec mnie dług, ale zaraz pokażę ci, jak szybko możesz go spłacić! – I Marek nieoczekiwanie zatrzymuje się, gwałtownie przyciągając do siebie zaskoczoną Justynę. Jego ruch jest tak sprytny, że ona nie zdąża nawet wydobyć z siebie słowa, kiedy bezczelnie nabrzmiałe usta duszą okrzyk protestu rodzący się dopiero w jej płucach.

Przez dłuższą chwilę stoją tak pośrodku chodnika, na dnie upalnej nocy, mocno na sobie zawieszeni.

– Marek, proszę... – Justynie udaje się wreszcie niemal siłą przerwać zmasowany atak miażdżących pocałunków.

– Proś, o co chcesz... – Marek mruży głębokim basem jak włochaty zubr. – Już dzwonię po taksówkę i jedziemy nad Jezioro Białe... to tak niedaleko stąd. Błagam cię, może już nigdy więcej nie będzie takiej okazji? Chcę być z tobą... – namiętny, urywany szept sączy się wprost do jej ucha. Każde kiedyś tak wyczekiwane przez nią słowo teraz lekko osiada na szyi, spływa z ramion i pali skórę jak żarzący się odłamek rubinu.

Justyna dobrze wie, że traci panowanie nad sobą i jeszcze chwila, a zgodzi się na wszystko, czego on zażąda, zostanie z nim, choćby tylko do końca tej skwarnej ciemności. Nieważne, co było wczoraj ani co będzie jutro, liczy się jedynie ta chwila...

Kleszczami rozbujanych ramion Marek zagarnia ją niemal brutalnie, zaciskając ciężką obręcz na drobnym ciele jak macki pożądlivej ośmiornicy. Już zdecydował za Justynę i nie czekając na jej zgodę czy sprzeciw, dyktuje swoje warunki.

Ubezważniona, w ułamku sekundy poddaje się bez walki, pozwalając jego niecierpliwym wargom wypełznąć pod gołębi muślin luźnej bluzki. Szorstki jęzor błyskawicznie podrażnia zdumione piersi, wielkie dłonie wciskają się za pasek białych spodni, szczypiąc napięte pośladki. W dzikim zapamiętaniu wtlacza jej ciało pod siebie, pochłaniając każdy jego milimetr niczym krwiożercze

monstrum.

Porzucone kwiaty leżą martwo na chodniku u ich stóp, zastygłe w tym swoim półotwartym zdumieniu.

– Zwycięzca bierze wszystko, pamiętasz tę starożytną maksymę? Zaraz pojedziemy nad jezioro, mam tam duży dom... Wciąż czekam w nim tylko na ciebie, Justyna... – Trzyma jej twarz w drżących dłoniach.

„Biada zwyciężonym...” – Tylko to przysłowie tłucze się ironicznie w jej mózgu, niedotlenionym przez nawalę wilgotnych pocałunków.

Każdym obolałym do kości mięśniem odczuwa ten gwałtowny nalot spóźnionego pożądania, a krótka, bezgwiezdna noc nie zostawia zbyt wiele czasu na podjęcie ostatecznej decyzji.

„Czy on naprawdę jest tak wspaniałym kochankiem?”. Zwykła ciekawość czy może wciąż tłące się uczucie niespodziewanie osłabiają Justynę.

– Udusisz mnie... – Próbuje odchylić głowę, by zaczerpnąć łyk powietrza.
– Nie chcę słyszeć, że mi znowu odmawiasz... nieee, na pewno nie dzisiaj...
– Całym sobą rozgniatą skrupulatnie najmniejsze skrawki jej rozpalonego ciała.

Czy Marek dzisiaj wreszcie da jej to, co było zawsze gdzieś między nimi magicznie nienazwane, a teraz unosi jej przezroczyste istnienie nad ziemią, całkowicie pozbawiając je siły grawitacji?

A jednak to za nim tęskniła przez te wszystkie lata, na niego tak dotkliwie czekała? Gęste piżmo dojrzałego potu wciąga jak narkotyk... Nikt nie może się z nim równać, ten dotyk... głos... ostry zarost wzmacnia wrażliwość receptorów na intymnej mapie... niech się dzieje, co chce...

Zasypana lawiną zachłannych pocałunków Justyna błądzi rękami w poszukiwaniu jego dłoni. Chce wtulić się w nie jak w bezpieczny kokon, dać im zgodę na każdy ruch, bo lipcowa ciemność jest zbyt krótka, trzeba się śpieszyć... ta ulica to tylko preludium przed resztą nocy...

Wreszcie, na wysokości jego twarzy, łączą się ich ręce i w tej samej chwili Justyna spostrzega przez gorącą mgłę, że mniejsza perła na jej bransoletce zahacza o wielki czarny zegarek Marka. Bezgłośnie pękają ogniwa łańcuszka i dwie perłowe łzy nocy migotliwie staczają się na ulicę.

Nadludzkim wysiłkiem odpycha od siebie łakomy oddech Marka. On, zaskoczony nagłym sprzeciwem, pozwala jej wysupłać się z żelaznych objęć.

– Co się stało? – Jest wyraźnie niezadowolony.
– Rozerwaliśmy moją bransoletę... muszę znaleźć wszystkie części... to dla mnie najważniejsza pamiątka... – Justyna na klęczkach przeszukuje cegielki chodnika.

– Daj spokój, jest zbyt ciemno, odpuść sobie, to strata czasu, zupełnie jak szukanie igły w stogu siana. – Marek nawet się nie schyla, żeby jej pomóc.

– Nie ruszę się stąd, aż znajdę... choćbym miała czekać do rana... –

Niespodziewana strata otrzeźwia ją zupełnie.

– To bez sensu, jutro poszukamy w sklepie czegoś podobnego, ja funduję, w końcu to przeze mnie klęczysz teraz na chodniku. – Nawet nie stara się zrozumieć jej determinacji.

– Możesz wracać sam, przecież nie proszę cię o nic! Tylko mi nie przeszkadzaj! – Justyna gorączkowo kręci się wokół własnej osi. Tuż przy bucie Marka coś złociście lśni. Z westchnieniem ulgi podnosi przerwany łańcuszek. Większa perła trzyma się na nim uparcie tylko dlatego, że drogę ucieczki zablokowało jej owalne zapięcie.

„Teraz muszę znaleźć drugą zębę...” – myśli z optymizmem. Samotnej perełki nigdzie jednak nie widać.

„Z tą mniejszą może być kłopot... jest sama, bez łańcuszka, ale przecież nie mogła odlecieć zbyt daleko...” – pociesza się w myślach.

Marek patrzy na nią z niedowierzaniem, ostentacyjnie trzymając ręce w kieszeniach.

– Reszty na pewno nie znajdziesz w ciemnościach... musiałybyś mieć noktowizor w oczach... – Kpiąco zniechęca ją do dalszych poszukiwań. – Każdy jubiler wstawi tę brakującą perłę, identyczną, nikt nie pozna, że to nie tamta. No, Justyna, dzwonię po taxi, jedźmy już... szkoda tej niesamowitej nocy... – W jego ręce żółto miga ekran telefonu.

– Masz rację, dzwoń po taksówkę, nie ma co się łudzić, nie dam rady po ciemku! – rzuca na odczepnego, bo w głowie świta jej chytra myśl. Pełna nadziei ściska w dłoni odnalezioną część biżuterii.

W ciągu kilku chwil ochłonęła zupełnie i teraz jest jej trochę głupio, że dała się ponieść tej fali spóźnionej namiętności.

„Znajdę moją perełkę, nawet gdyby trzeba było przekopać cały chodnik i trawnik. Przecież to prezent od Jacka, nie mogę tak po prostu doczepić innego klejnotu, to byłoby świństwo i hipokryzja. Nie mogłabym już nałożyć tej bransoletki. I co powiem Jackowi? Noszeniem tego prezentu sprawiałam mu zawsze przyjemność...”.

Z cichym szumem silnika tuż obok nich pojawia się taksówka.

– Chodź, proszę, Justyna, nie szukaj już tego kamyka. – Zniecierpliwiony oczekiwaniem Marek otwiera tylne drzwi granatowego volkswagena passata.

– Proszę pana, czy mógłby pan podjechać trochę bliżej i poświecić reflektorem na tę stronę chodnika? – Przez uchyloną szybę Justyna wsadza głowę do wnętrza taksówki. – Zgubiłam taki drobiazg... bardzo mi zależy na jego odnalezieniu. – Błagalnie spogląda na starszego mężczyznę za kierownicą.

– Oczywiście, w którym miejscu dokładnie? – Na szczęście taksówkarz jest chętny do pomocy. I nawet jeśli robi to tylko po to, żeby w pełnym świetle przyjrzeć się atrakcyjnej blondynce, Justyna i tak jest mu bardzo wdzięczna za

dobrze chęci.

– No nie! Zamierzasz dalej czołgać się po bruku? Zostaw to, jedźmy już! – Marek dosłownie kipi wściekłością.

– Pojedziemy, jak znajdę – Justyna macha ręką, pokazując taksówkarzowi, gdzie ma skierować strumień światła.

W mocnym blasku reflektorów szybko dostrzega błyszczącą drobinę. Perełka leży najspokojniej w świetle na jednym z kwiatów strelicji. Justyna dopada do zguby i pomiędzy twardych płatków wyłuskuje niesforny klejnot.

– Dziękuję bardzo! – Szczęśliwa macha w kierunku auta. Wrzuca znalezisko do bocznej kieszeni we wnętrzu torebki i dla pewności zasuwa zamek błyskawiczny.

– Wsiadaj! Nareszcie możemy spokojnie jechać! – Zniecierpliwiony Marek niemal siłą wciąga ją na tylne siedzenie.

Przywiędły bukiet rozczapierzonych strelicji zostaje samotny na chodniku.

– Jedziemy nad Jezioro Białe. Zgadza się pan? – Marek wydaje dyspozycję kierowcy.

Taksówkarz kiwa potakująco głową.

– Ale ja się nie zgadzam! – Justyna stanowczo się sprzeciwia.

– Nie rozumiem, przecież mi obiecałaś. Justyna, jest już druga trzydzieści... zaraz noc się skończy... czekałem tak długo... – Marek jest całkowicie zaskoczony.

– Przepraszam, to gdzie jedziemy? – Taksówka wspina się wolno w górę ulicy Pocztowej.

– Na Wolności 9, proszę – Justyna mówi podniesionym głosem. – Ja zostaję w mieście, a ty, jak chcesz, to możesz skoczyć nad jezioro. Nie mówiłam przecież, że mam ochotę tam dzisiaj jechać. – Wyobraża sobie, jak on teraz musi być na nią zły.

– Czemu mi to znowu robisz? – Przybliża spoconą twarz do jej oczu. – Nie rozumiem cię... – Lubieżnie przeciąga dłońią po przedramieniu. – Justyna, proszę, zastanów się...

– Już to zrobiłam... – zawiesza drżący głos.

– I...? – On czeka z nadzieją na jej decyzję.

– I... dzięki za wszystko, Marek. Cieszę się, że mogliśmy być razem te kilka godzin, ale każde z nas ma własne życie, nie po drodze nam razem, nie widzisz tego? – Delikatnie odsuwa się od niego, ocierając biodrem o tapicerowane drzwi.

– To twoje ostatnie słowo? – Marek wyciąga ramię wzdłuż oparcia, tuż za jej głową. Zapach piżma ustępuje miejsca opadającej amplitudzie zamszowej woni testosteronu.

– Definitywnie tak. – Justyna zerka przez boczną szybę na śpiące miasto.

Resztę drogi przejeżdżają w całkowitym milczeniu. Sztuczny powiew

cedrowego drzewka dopełnia dusznej atmosfery. Dwa razy z trzaskiem włącza się taksówkowe CB radio. Marek, urażony w swej męskiej dumie, patrzy przed siebie obojętnym wzrokiem.

Kiedy Justyna wysiada pod blokiem ciotki Zofii, on, przechylając się przez całą szerokość tylnego siedzenia, raptownie chwyta jej dłoń:

– Do zobaczenia niedługo, kochanie. Ja nie powiedziałem jeszcze ostatniego słowa... – Głośno trzaskają drzwi auta.

Justyna nie ma pojęcia, że jego słowa wkrótce okażą się prorocze.

Bezgłośnie domykają się za nią ciężkie blokowe wrota.

Cichutko wchodzi na klatkę schodową. Drugie piętro. Każda stopa waży co najmniej tonę, a siła ssąca w żołądku ma moc pochłonięcia amerykańskiego lotniskowca z całym wyposażeniem i załogą.

Najciszej, jak umie, przekręca klucz w zamku.

Tutaj jest całkowicie bezpieczna, otoczona znajomym zapachem rodzinnego domu. Kilka lat czekała, żeby taki sam fluid wyczuwać w ich warszawskim mieszkaniu. Ściany, meble, dywany, bibeloty – to wszystko musi tak długo nasiąkać energią przebywających wśród nich ludzi, aż wytworzy się specyficzne dla każdej rodziny biopole.

W Warszawie wyczuła je dopiero jakiś czas po urodzeniu synka.

Wróciła wtedy stęskniona do swoich mężczyzn po trzydniowym sympozjum archeologicznym w Krakowie. Nikogo nie było w domu, ale tego dnia po raz pierwszy już w progu wiedziała, że w tych czterech ścianach uwiła sobie gniazdo. Wystarczyła krótka chwila, kiedy zmęczona podróżą z ulgą postawiła na podłodze bagaż. Smak powietrza uświadomił jej, że jest na swoim miejscu.

Zabawki w pokoiku Maćka, dziecięce kosmetyki i ubranka, sterylna nuta szpitalnych specyfików wnoszona przez Jacka, korzenny zapach jego wody po goleniu, spękana skórka świeżego pieczywa w niedomkniętym chlebaku, szafa w jej pokoju oprószona lawendą – pojedyncze cząsteczki złożone w harmonijną całość. To wszystko знаła na pamięć, bo przecież tkwiło zawsze w jej podświadomości, upewniając tylko, że na pewno jest u siebie, wśród bliskich.

Tak samo jak tu, w Chełmie, gdzie już w przedpokoju wibruje bliska sercu uspokajająca waleriana, z kuchni płynie ostra herbaciana mięta, a nad wszystkim unoszą się różowe, duszne płatki piwonii, starannie suszone na parapecie okiennym od deszczowej procesji Bożego Ciała. Wciąż wilgotna jest też biała czerwcową lilia, co roku święcona na odpuszcie ku czci św. Antoniego Padewskiego w małym kościółku oo. Franciszkanów.

Ciotka Zofia oddycha równo, pochrapując rytmicznie w małym pokoju od wschodniej strony.

Białe drzwi, kontrastujące z pasiastą powierzchnią brunatnej boazerii uchylają się do wnętrza malutkiej, pachnącej rumiankowym mydłem łazienki.

Zmierzwione frędzle wokół melanżu dywanika antypoślizgowego troskliwie łaskoczą gołe stopy.

Ile lat ma ten kubek do mycia zębów – błękitny w białe kropki, który zawsze czeka na Justynę na najniższej półeczce?

Na drzwiach wisi cytrynowy oryginalny chiński ręcznik frotte, przed laty wystany przez Ciotkę Zofię w długiej kolejce w Spółdzielczym Domu Handlowym. Miękkie włoski są przesiąknięte delikatnością jaśminu i wiórkami mydlanymi.

Justyna opiera się jedną ręką o brzeg wciąż będącej na chodzie pierwszej polskiej automatycznej pralki polar. Resztkami sił zrzuca z siebie ubranie, nabrzmiałe wieczornym spotkaniem z Markiem. Najciszej, jak to tylko możliwe, polewa ciało letnią wodą z prysznica.

Wyściełająca całe mieszkanie kakaowa wykładzina konspiracyjnie tłumi jej pospieszne kroki. W pokoju z balkonem ciotka Zofia przygotowała Justynie wygodne posłanie. Solidna stara wersalka tapicerowana miodowym materiałem jest równiutko zaścielona pasiastą pościelą w odcieniach morskiego błękitu. Nago wślizguje się do chłodnego, batystowego wnętrza.

Na błyszczącej półce „gierkowskiego” regału rytmicznie tyka radziecki budzik, pamiętający jeszcze wspólny lot w kosmos Mirosława Hermaszewskiego i Piotra Klimuka.

Justyna półprzymkniętymi powiekami spogląda na zielonkawą tarczę zegara. Ledwie widoczne w mroku wyblakłej nocy, jarzą się kanciaste cyferki wokół miniaturowego wizerunku kosmicznego statku Sojuz 30.

Natychmiast zamyka ciężkie powieki. Ma przed sobą tylko trzy godziny snu, bo komórka łagodnym dźwiękiem harfy obudzi ją jak zwykle o szóstej trzydzieści.

Nad uśpionym miastem wstaje kolejny upalny dzień.



ROZDZIAŁ IV

Szczelnie zasunięte zasłony z miękko układającego się bordowego aksamitu, specjalnie sprowadzonego do Polski wprost ze słonecznej Italii, skutecznie pochłonęły rytmiczne skrzypienie wielkiego drewnianego łoża, królującego tuż przy ścianie niedużej komnaty. Bogato przetykana ażurowym haftem lniana pościel, bezładnie odepchnięta na brzeg szerokiego legowiska, kłębiła się jak spienione grzbiety morskich fal. Gdyby nie wezglowie, drgające w takt nieuchwytnej dla ucha muzyki, trudno byłoby podejrzewać w królewskiej alkowie czyjaś obecność. Czeluść ogromnego kominka wypełniły ułożone w stos grube, płonące szczapy. Przytulne, mdłe ciepło sączyło się żywiczną wonią w dusznym półmroku zamkowej sypialni.

Zdobycie i złupienie Lwowa w kwietniu 1340 roku zajęło polskiemu królowi Kazimierzowi Wielkiemu tylko kilkanaście dni. Właściwie przyznać trzeba, że nie napotkał specjalnego oporu i pod jego wodzą cała akcja zbrojna przebiegła nad wyraz gładko, więc może dlatego do samego końca nie był w stanie wyładować nagłej wściekłości, która doskoczyła mu do gardła na wieść o otruciu przez rosyjskich bojarów spokrewnionego z nim księcia Bolesława Jerzego Trojdenowicza z linii Piastów mazowieckich, jeszcze miesiąc temu w całkowitym zdrowiu miłościwie panującego na Rusi Halicko-Włodzimierskiej. Zgodnie z wcześniejszymi rodzinnymi układami w razie śmierci Trojdenowicza wakujący tron książęcy na Rusi miał objąć władca z kraju nad Wisłą.

Dlatego młody król Kazimierz, zajęty scalaniem rozbitego jeszcze w 1138 roku na dzielnice państwa polskiego, musiał się spieszyć. Ruś, nieustannie narażona na niebezpieczeństwo najazdów tatarskich, była także częścią układu o sukcesji węgierskiej w Polsce zawartego na wypadek wygaśnięcia dynastii Piastów, a i pograniczni książęta litewscy patrzyli na te ziemie nie mniej pożądanym wzrokiem. Niestety, niewiele do powiedzenia w swojej sprawie mieli sami bojarzy ruscy. Rozbici wewnętrznie i skłóceni, mimo śmiertelnego zagrożenia dla własnego bytu i religii prawosławnej zwalczali się nawzajem, szukając ze zmiennym szczęściem oparcia w każdym z potencjalnych wrogów.

W dodatku tragicznie zmarły książę Bolesław Jerzy sam był winien swojej przedwczesnej śmierci: księstwem ruskim władał krwawo, niepohamowane miał żądze, prawem panującego zawłaszczał cudze majątki, zniewalał siłą kobiety i bez wahania pozbawiał życia każdego, kto śmiał sprzeciwić się jego wybrykom i polityce.

Aż w marcowy wieczór 1340 roku przelała się czara goryczy i dwór książęcy

wybrał ekstremalny wariant pozbycia się na zawsze znieawidzonego tyrana: pod koniec wystawnej uczty, kiedy dobrze już dymiło z Bolesławowej głowy, duszkiem wychylona zawartość wielkiej złoczonej czary w parę chwil zwała go na podłogę, wprost pod suto zastawiony stół. Przednie wino, niepostrzeżenie zatrute przez podłego zdrajcę kroplą wywaru z ciemierzycy białej, po krótkiej męce w straszliwych dusznościach na zawsze zatrzymało bicie okrutnego książęcego serca.

Gwałtowny zgon trzydziestoletniego Trojdenowicza – rówieśnika Kazimierza Wielkiego – stał się świetną okazją, aby siłą zaznaczyć w tej części Rusi polskie panowanie. W tych okolicznościach wyprawa na Lwów z dość małą liczbą rycerstwa przyniosła polskiemu królowi nadspodziewanie wielkie łupy: po spaleniu drewnianego grodu zabrał w granice swojego państwa wszystkich osiadłych tam chrześcijan i kupców wraz z żonami i dziećmi oraz wydobyte ze skarbcza złoto, srebro, drogie kamienie, kosztowne szaty, kawałek drewna z krzyża pańskiego i przede wszystkim insygnia koronacyjne książąt halicko-włodzimierskich.

Między nimi były szczególnie cieszące oczy Kazimierza dwie wspaniałe szerokie bransolety, grawerowane w środku tajemniczymi znakami, których pochodzenia i znaczenia jak dotąd nikt z otoczenia polskiego władcy nie był w stanie wyjaśnić.

Król Kazimierz lubił mieć stale w zasięgu wzroku najcenniejsze skarby. I dlatego tutaj, w przemyskim zamku, gdzie po drodze do Krakowa zatrzymał się na krótki postój, w jego komnacie stała zdobyczna skrzynia z ruskimi kosztownościami. Wyjątkową wagę monarcha przywiązywał do dwóch złotych bransolet, które emanowały w jego kierunku magiczną mocą.

Owdowiały przed dwoma laty władca już postanowił, że dołączy je do piastowskich regaliów i jako dobry omen dla związku małżeńskiego założy na rękę nowej polskiej królowej, która tym razem na pewno przedłuży dynastię, dając mu upragnionego syna.

Pierwsza żona, Litwinka Aldona, z którą Kazimierz spłodził tylko dwie córki, przez blisko piętnaście lat związku nie potrafiła rozkochać w sobie wiarołomnego męża, a małżeństwo to było jedynie układem politycznym zawartym między Polską a Litwą w celu zjednoczenia obu krajów przeciwko nękającemu ich zbrojnie Zakonowi Krzyżackiemu. Nieszczęśliwa Aldona pokornie znosiła swój los, przemilczając z godnością nie tylko zwyczajne wysoki królewskiego małżonka, ale także ten głośny skandaliczny romans z 1329 roku, który położył się cieniem na reputacji polskiego władcy.

Pełen wigoru monarcha, znawca i wielbiciel powabnych kobiet, żądny wciąż nowych przygód miłosnych, już trzy lata po ślubie udał się do Budapesztu na słynący ze swobodnych obyczajów dwór swojej siostry Elżbiety, żony

węgierskiego króla Karola Roberta. Tam wdał się w zakończoną tragicznie miłośćką z piękną Węgierką Klarą Zach – królewską dwórką. Za zgodą przychylniej jego zachciankom królowej Elżbiety, symulując chorobę, Kazimierz podstępnie zwabił do swego łóża nad wyraz niechętną mu dziewczynę i na siłę, brutalnie posiadał. Jakiś czas po całym wydarzeniu, na wieść o sromocie córki oszalały z gniewu i rozpaczycy Felicjan Zach, ojciec Klary, postanowił pomścić jej krzywdę. Pod nieobecność w Budapeszcie głównego winowajcy ranił mieczem króla Karola Roberta, a stojącej w jego obronie małżonce Elżbiecie obciął cztery palce u rąk. Dopiero dworzanie Jan Cselenyi uchronił monarszą parę od niechybnej zguby, zadając Zachowi kilkanaście śmiertelnych ciosów.

Niestety, najokrutniejsza kara spadła na Klarę, wcześniej pohańbioną przez polskiego władcę. Zgodnie ze średniowiecznym poczuciem sprawiedliwości dziewczynie obcięto nos, usta i palce u rąk i aż do przedwczesnej śmierci tak okaleczoną obwożono w nieludzkich mękach po całym królestwie węgierskim jako świadectwo kary bożej, wymierzonej za targnięcie się jej ojca na królewskie życie.

Postępek polskiego króla dobrze był znany na wielu monarszych dworach w Europie, toteż szukający żony władca nie cieszył się specjalną estymą wśród ewentualnych kandydatek na kolejną polską królową. Ale Kazimierz Wielki, jak każdy ówczesnie panujący, korzystał jedynie z praw i przywilejów należnych koronowanym głowom, nie przejmując się specjalnie złą opinią na swój temat.

Jako przyszlą polską królową widział u swego boku Małgorzatę, córkę czeskiego króla Jana Luksemburskiego, młodą wdowę po Henryku, księciu Dolnej Bawarii.

Mimo iż nie było dla nikogo tajemnicą, że sama wybranka nienawidziła kandydata na męża, mając o nim jak najgorsze zdanie, niezrażony jej niechęcią Kazimierz osobiście wybierał się w roku 1341 do Pragi, aby tam przywitać i poślubić oczekiwaną w Polsce następczynię zmarłej Aldony. Pełen nowych nadziei na posiadanie dziedzica mocno wierzył, że tajemnicze, złote bransolety dopomogą w tym przedsięwzięciu szczęśliwemu losowi...

Ale póki co zamierzał kochać się w wielkim łóżu z piękną Anastazją, żoną ruskiego bojara Mykoły Pawliczki, który jako jeden z nielicznych lwowskich dostojników przysięgał wierność polskiemu królowi i zabrawszy młodą żonę, małą córeczkę Olgę i całkiem niemałe kosztowności, pociągnął razem z Kazimierzem do Polski po nowe, lepsze życie.

Siedemnastoletnia Anastazja, smukła, modrooka blond piękność, od razu wpadła w oko jurnemu władcy. Nie mógł się już doczekać, kiedy pod byle pretekstem odprawi jej męża, aby jadąc przodem, ubezpieczał niebezpieczną drogę do krakowskiej stolicy.

Jedyna córka polskiego kupca Maćka Radzieja, który zbił majątek na handlu zbożem, była od dwóch lat żoną porywczego, szaleńczo zakochanego i wściekłego

zazdrosnego o nią lwowskiego możnowładcy. Nic dziwnego, bo tak niewinnie pięknej niewiasty, istnej bogini, polski król dawno nie podziwiał. Od pierwszej chwili, gdy zobaczył ją, jeszcze przerażoną atakiem na Lwów i wszechogarniającą miasto pożogą, wiedział, że nie spocznie, dopóki sam jej nie weźmie pod skrzydła i wszystkich lęków nie wynagrodzi, nawet w dwójnasób, choćby miało go to wiele kosztować.

Aż wreszcie wczoraj trafiła się okazja, by Mykoła Pawliczko mógł okazać swe oddanie i pokorę wobec nowego pana: oto na czele oddziału stu zbrojnych na polecenie samego Kazimierza wyruszył w kierunku Małopolski, powierzając śliczną żonę królewskiej opiece. Tego wieczora na zamku w Przemyślu, gdzie stanęli z całym orszakiem dla odpoczynku, król wydał wspaniałą ucztę, na której wyborym jadłem i przednim winem fetowano łatwe zdobycie Lwowa.

Monarcha, otoczony wianuszkami dworskich piękności, w miarę wypijanych trunków coraz częściej i drapieżniej zawieszał pożądliwe spojrzenie jedynie na bladym licu nadobnej Anastazji. Nawet w świetle jaskrawo płonącego łuczywa jej pociągła twarz zdawała się być mlecznie przezroczysta, a raz po raz spuszczone w dół błękitne oczy, w oprawie długich, ciemnych rzęs, były nad wyraz smutne.

Kazimierz zaobserwował, że niewiele jadła i prawie wcale nie piła, o czym świadczył czysty skrawek stołu przed nią i srebrny puchar wciąż pełen po brzegi czerwonego wina. Znaczyło to wyraźnie, że Anastazja czuła się nie najlepiej, a myślami była zupełnie gdzie indziej, daleko poza przemyskim zamkiem.

Może tęskniła już za mężem, który z rana odjechał w długą drogę, a może przeczuwała, że dzisiejszy wieczór na zawsze odmieni jej życie? W spalonym Lwowie zostało pogrzebane wszystko, co dotąd kochała, a teraz jeszcze ten nagły i szybki wyjazd Mykoły na rozkaz polskiego króla był dla niej niczym utrata tarczy, za którą zawsze mogła się bezpiecznie schronić.

W miarę jak dogasał ogień w kominku i ku stołowi coraz mocniej zginały się głowy większości uczujących, król Kazimierz, rozchocony lwowskim triumfem i kolejnym pucharem wina, spoglądał na Anastazję z wyraźną lubością. Podobała mu się aż do granic bólu ta delikatna, bajecznie cudna ślicznotka; zuchwale ciążył ku niej, dążąc do zdobycia zaufania, przychylnego spojrzenia, przełamania z jej strony wyniosłej niechęci.

Najpierw, z istic królewską dyplomacją, pochwalił mądrą decyzję Pawliczki o przyłączeniu się do grona jego poddanych, potem czułymi słowami chciał skłonić Anastazję, aby opróżniła choć pół czary z winem, aż wreszcie przysiadł się do niej, poufale dotykając muskularnym ramieniem brzegu ciemnoszafirowej sukni.

Ale Anastazja skinęła tylko głową, wymownym milczeniem dziękując za wyrażone Mykole uznanie, po czym dwukrotnie przechyliła złocisty puchar, ledwie mocząc w purpurowym trunku pięknie wyrzeźbione usta. Takie wyróżnienie u boku wielkiego króla byłoby pewnie dla setek innych białogłów ukoronowaniem

najskrytszych marzeń, ona jednak pragnęła tylko jednego – znaleźć się jak najszybciej w czułych ramionach ukochanego męża.

Ten niezrozumiały opór podniecił jeszcze bardziej lubieżnego Kazimierza, dając mu pewność, że Anastazja należy do grona niewiast, o które trzeba starać się dłużej i bardziej wymyślnie, a jeżeli czas nie pozwala, po prostu zdać się na jakiś sprytny fortel i zwyczajnie użyć trochę męskiej siły...

Zdecydowanym ruchem silnej dłoni podciągnął ku górze opuszczony wąski podbródek Anastazji i zaglądając w przepastnie modre oczy, unikające jak ognia jego natrętnego wzroku, udał, że trapi go bladość jej pięknych lic i smutek skrywany na dnie serca. Zaraz też poddał myśl, aby wyszła z nim z dusznej komnaty w głęboką noc, zaczerpnąć świeżego, wiosennego powietrza.

Królewska propozycja została z wdzięcznością przyjęta przez onieśmiałą majestatem dziewczynę i już po chwili Kazimierz torował im obojgu drogę, zręcznie omijając krążących w pijackim widzie biesiadników, poprzewracane na podłogę krzesła, kielichy i misy, a tu i ówdzie kopniakiem rozganiając dogryzające resztki mięsiwa i gnatów natrętne psy.

Chłód kwietniowej, bezgwiazdnej ciemności zalegającej kobaltowym całunem na wąskim tarasie podziałął na młodą kobietę niczym kubel zimnej wody. Pobladła jeszcze bardziej, zakręciło się jej w głowie i byłaby niechybnie wypadła przez drewnianą poręcz wprost na pusty zamkowy dziedziniec, gdyby nie przytomność króla, który w porę uchwycił ją w pól i mocno przyciągnął ku sobie, moszcząc wygodne oparcie na własnej piersi.

I kiedy zdawało mu się, że już ma ją wreszcie w ramionach zdobytą całą, poddaną usłudze tylko jemu, to ona, nie przyzwalając na nic więcej, wyśliznęła się bez najmniejszego choćby cienia wdzięczności, bez tego błysku w oczach, znaczącego, że jego dotyk ocalenia bardzo jest miły jej ciału i zmysłom.

Wówczas Kazimierz, nienawykły do takiego oporu ze strony białogłowy, ani chwili dłużej nie chciał czekać na jej zgodę lub też zlitowanie, więc lekką jak piórko, siłą wziął na ręce i w paru susach poniósł przed sobą ku zamkniętym drzwiom alkowy.

Trzasnęły rzeźbione dębowe skrzydła pokonane solidnym skórzanym butem i król, robiąc półobrót przez prawe ramię, zrzucił bezwolny ciężar wprost na środek wielkiego łoża, złowrogim cieniem majaczącego w diabelskich językach pełgającego w kominku ognia. Sam przypadł też od razu do jej ciała niczym dzika bestia, która po długich zabiegach myśliwskich, znużona podstępny skradaniem z napiętymi do granic wytrzymałości mięśniami, wreszcie dopada do gardła upolowanej ofierze, by delectować się świeżością ciepłej krwi.

Pewien zwycięstwa, lecz wciąż jeszcze rozsierdzony tak niespotykaną biernością Anastazji albo i zwykłą pogardą dla wszystkich jego królewskich starań, na oślep pochłaniał gorejącymi wargami jasne pasma rozprysłych na poduszce

warkoczy, twarde grzebienie opadłych na chaber oczu rzęs, cudownie nakreślone karminy ust. Dysząc ciężko, ranił nieskazitelnie białą skórę sztywnym, ciemnym zarostem, na przemian to wgrzając się w długą szyję sztyletami zębów, to znów wścibskim językiem zlizując z jej alabastrowych uszu zimne łzawe perły.

Przez strzęp naprędcy rozdartej sukni utorował bezlitosnym dłoniom dostęp do jedwabistego dekoltu, lekko obrzmiałych, sterczących wyzywająco piersi i słabo bijącego, nieczulego dlań serca.

Lecz to wciąż było mu za mało, jakoś dziwnie nie czuł pod sobą żaru jej obecności; nie oddawała mu żadnego pocałunku, nie przygarniała ani nie odpychała rękami jego pulsującej głowy i natrętnych palców, jakby wcale nie brała udziału w tym magicznym misterium kochania, choć on przecież tak był dla niej łaskawy, tak przychylny...

W zapamiętałym szale zawłaszczania tego filigranowego, jeszcze dziecięcego ciała ani przez chwilę nie przeszła mu nawet przez głowę myśl, by jednak odstąpić od grzesznego zamiaru, dać spokój, wycofać się, uznać jej wolę i wybór. Nie, przecież król nigdy nie rezygnował tak łatwo!

Szarpnął znacznie mocniej nadwątlone wcześniej bieluteńkie płótno cienkiej koszuli i podłożywszy obie ręce pod plecy Anastazji, przybliżył ją sobie do ściemniałych zwierzęcym instynktem, rozszerzonych drapieźnie źrenic, czyniąc z niej na tę chwilę najdroższą własność, zdobyczny skarb, niecierpliwie wyszlifowany klejnot.

Wokół bezwładnie odchylonej do tyłu głowy aureolą świętych ciężko zwisły złociste frędzle długich konopnych włosów. Tylko na mgnienie chwili znowu wrócił iskrzącymi ustami do niemo rozchylnych warg, posągowej szyi i już, nie zatrzymując się więcej, potokiem wulkanicznej lawy bez przeszkód sunął łakomie w dół przez pagórki piersi, niedojrzałych wykarmieniem ledwie jednego dziecka, przez linię wąskiej kibici, łagodnie zapadł pod żebrami, aż dotarł w głęboką dolinę pępka, okrążając go kilkakrotnie koniuszkiem żarliwego języka. Zamroczony dotkliwym pożądaniem, boleśnie poczuł, jak na samym dnie jego stwardniałego żywota rodzi się pewność, że od pełnego ulgi triumfalnego westchnienia dzieli go jedynie ciemnoszafirowa połać ciężkiej, aksamitnej sukni, spowijającej kilkoma sutymi warstwami materii drętwo ściśnięte uda Anastazji.

Pośpiesznie wysupłał zaborcze dłonie spod jej grzbietu, a ona, wiotka niby kukła z poszarpanych gałąńców zastygła wygięta na poduszce, nie broniąc się wcale przed napierającym na nią, ukartowanym przez złe gwiazdy przeznaczeniem.

Jeszcze chwila, jeden szybki ruch... może dwa... najwyżej trzy i piękna Anastazja stanie się tylko wspomnieniem królewskiej przygody, błahej miłości, antidotum na pustkę chłodnej nocy. Za dni parę staną przecie w Krakowie, a tam, jakby nigdy nic, wróci pod skrzydła swego męża, urodzi mu kolejne dzieci i wszystko będzie jak dawniej. Nikt się nie dowie, że dzisiaj, tu, w tej półmrocznej

zamkowej komnacie, wprawdzie nie do końca, ale przecież uległa Kazimierzowi, oddała mu się cała, jak przystało na poddaną Jego Królewskiej Mości...

Mięsista niczym woli ozór tkanina, obficie zaczerpnięta obiema rękami z wąskich bioder dziewczyny, już-już miała rozerwać się na oścież, torując królowi wolny dostęp do najsubtelniejszej z kobiecych tajemnic, kiedy nagle pod uzbrojonymi w pierścienie palcami dało się wyczuć, że ta gruba materia była dziwnie ciężka i wilgotna, wręcz lepiała się, niespodziewanie stawiając dodatkową przeszkodę.

Król, zaskoczony takim obrotem sprawy, w błysku otrzeźwienia instynktownie cofnął się, nieomal przysiadając nad rozrzuconym jestestwem Anastazji. Nawet w gęstym mroku alkowy widać było, że na całej powierzchni długiej sukni od bioder aż po kostki ciągnęła się szeroka, o dwa tony ciemniejsza prawie czarna smuga. Przerażony odsunął na skraj łoża bezwładne ciało dziewczyny i już był pewien najgorszego: prześcieradło pod nią przesiąkło ogromną krwawą plamą...

*

Mykoła Pawliczko gnał co koń wyskoczy ku wschodnim rubieżom polskiego królestwa, niesiony na skrzydłach ciepłego majowego wiatru i dojmującej rozpacz po nagłej śmierci ukochanej Anastazji.

Minęła zaledwie jedna niedziela dzieląca go od poranka, gdy w ulewnym deszczu złożył w boskie objęcia młode ciało nadobnej żony, zamknięte na głucho w przepastnej trumnie. Zrozpaczony, z początku nie rozumiał wcale, jak to możliwe, że zostawił ją całą, w dobrym zdrowiu, pod zdawałoby się najlepszym z możliwych patronatem królewskim, a wróciła do niego jeno bezkrwistym truchłem, woskowa i sztywna z sinymi plamami śmierci na gładkim licu.

Tak krótko dane im było żyć razem, nie zdążyli się sobą nacieszyć, wykochać ani nawet ckliwie zatęsknić, kiedy już trzeba było rozstać się na zawsze, rozdzielić tę wielką miłość między niebo i ziemię...

„Dlaczego, dlaczego, dlaczego... skądże to wszystko?!”. Skołowany, otępiały, trawiony żalem i wściekłością pędził przed siebie kolejny dzień niemal bez postoju, byle szybciej umknąć z tej niegościnnej ziemi, gdzie spotkało go tak wielkie nieszczęście. Czyż to nie kara za zdradę swoich? Za odstąpienie od prawosławnej wiary ojców, za haniebną ucieczkę pod skrzydła wrogiego króla, który miał zapewnić szczęście i dostatek, a przyniósł jeno pożogę, łzy i śmierć?

Przez polskiego władcę w tak krótkim czasie stracił wszystko: kraj, dom, rodzinę, żonę i to nienarodzone dziecko... może syna-dziedzica, przyszłość rodu Pawliczków?

Tuż przed samym wyjazdem Anastazja szepnęła mu do ucha, że jest brzemienną i tym razem ma pewność, iż urodzi chłopca. Mówiła tak, bo czuła się

zupełnie inaczej niż wtedy, gdy nosiła pod sercem ich córeczkę Olgę. Ostatnie dni w tej ciężkiej drodze ze Lwowa wyraźnie słabowała, wciąż była kredowo blada, drżąca, narzekała na częste bóle żywota, kilka razy dziennie zrzucała górą i dołem nawet niewielkie ilości zjedzonego pożywienia, nagle traciła przytomność.

Starsze, wprawione w porodach niewiasty uspokajały, że tak też bywa w odmiennym stanie, dlatego musi być spokojna, unikać wzruszeń i dużo wypoczywać, nie turbując niczym pięknej głowy, by nie zaszkodzić dziecku, mającemu przyjść na świat dopiero za sześć albo i siedem długich miesięcy.

Jakże to się więc stało, że ledwie dzień po wyjeździe męża znalazła się omdlała z wrażenia, pokąsana jakby przez wściekłego zwierza i na poły obnażona w królewskim łożu, gdzie późną bezksiężycową nocą galaretowatym ochłapem wypłynął z jej krwawego łona niedonoszony płód? Poszła tam dobrowolnie, czy może została wzięta siłą? Jaką straszną tajemnicę zabrała ze sobą do grobu?

Nikt nie chciał powiedzieć Pawliczce prawdy, nikt nic nie widział, niczego nie słyszał, a wokół całego nieszczęścia zapanowała dziwna zmowa milczenia.

Sam monarcha wezwał go do siebie na posłuchanie nazajutrz po tym, jak sponiewierany bólem oddał Anastazję w posiadanie krakowskiej, poświęconej ziemi. Król bez żadnych tłumaczeń, bez najmniejszych oznak ludzkiego współczucia nad jego stratą, zadufany w koronnym majestacie wspaniałomyślnie oferował jedynie swoją dalszą dozgonną zwierzchność, wszakże pod jednym warunkiem: że Rusin będzie nadal służył mu wiernie i natychmiast zapomni o całym wydarzeniu.

Na dowód szczególnego zaufania powierzył Pawliczce do pilnowania wielką skrzynię z kosztownościami wykradzionymi z lwowskiego skarbcza, bezwstydnie rozpartą na szerokiej ławie pośrodku wawelskiej komnaty. Był też władca osobliwie zainteresowany historią dwóch złotych bransolet, cyzelowanych misterną płataniną węzowych ciał, które pyszniły się aroganckim blaskiem, kłując w oczy na samym wierzchu obitego skórą drewnianego kufra, wyładowanego po brzegi trofeijnym skarbem.

Kazimierz, nie czekając nawet na jedno skinienie lub słowo zgody dotyczące się proponowanej posady, pewien, że nikt, będąc przy zdrowych zmysłach, królowi polskiemu nie odmawia, zaczął z miejsca rozpytywać Pawliczkę, czy wie może, skąd się wzięły te szerokie precjoza, żłobione w środku tajemniczymi nacięciami, w niczym nieprzypominające bizantyjskiej ani łacińskiej modły rzemieślniczej.

Lecz cóż teraz Mykołę Pawliczko mogła obchodzić Polska, obcy mu całkiem kraj, kiedy odeszła Anastazja – jedyne dotąd ogniwo łączące go z tą ziemią? W dodatku, gdy winnym jej śmierci był bezsprzecznie butny król, mający wcześniej za sobą niezbyt chlubne postęпки z kobietami.

Zamroczony żądzą zemsty, spoglądając na polskiego władcę roziskrzonym szmaragdami gniewu okrutnym wzrokiem, postanowił, że nie zostanie tu ani chwili

dłużej i nie będzie nigdy więcej jego sługą. Lecz zanim opuści tę wrażą ziemię, jeszcze pozbawi króla czegoś, co widać ma dla niego dużą wartość: oto zabierze ze sobą dwie złote obręcze, z taką nabożnością przez niego hołubione.

Niechże i jemu się nie wiedzie! Niechże i on leje łzy rozpaczy! Niech opuści ten padół, nie pozostawiwszy po sobie syna! Niech będzie nieszczęśliwy w kochaniu, skoro innym kochać nie zezwala! Niech będzie przeklęty on i jego ród niech wygaśnie na zawsze!

W złowrogim milczeniu uniżenie skinął tylko głową przed królem, a ten, nie mając najmniejszego pojęcia, że młody wielmoża przytakuje jedynie swoim powziętym w myślach zdradzieckim knowaniom, pełen ufności zostawił go samego z powierzoną do spełnienia misją.

Zaraz też po wyjściu monarchy Mykoła Pawliczko bez mitrżenia czasu spełnił swoje szalone zamiary – potajemnie zabrał ze skrzyni dwie grube bransolety, chociaż wewnątrz głos mówił mu, że powinien był wziąć wszystko: wyrwać z polskich rąk ten cały skarbiec ze zrabowanymi precjozami ksiąząt halicko-wołyńskich, żeby ocalić honor i przywrócić pamięć o przebrzmiałej wielkości ruskiej dynastii.

Aliści skoro nikogo nie wtajemniczył w tak nieczne plany, a sam zwyczajnie nie dałby rady całemu ciężarowi, wiózł więc jedynie te najdroższe klejnoty stracenię Pawliczko, dzień i noc kolebiąc się przez polskie ziemie, by wreszcie w ostatni deszczowy wieczór maja 1340 roku stanąć u stóp chełmskiego grodu. Przemoknięty do suchej nitki, zmordowany drogą z ulgą powitał gościnnie migoczące na wzgórzu światła. Tu chciał przespać jedną noc, pożywić się, zmienić konia i z rana ruszyć dalej w drogę, znowu na wschód. Najpierw do Halicza, gdzie spodziewał się zastać swego starszego brata Lwa, rozejrzeć się w sytuacji, zasięgnąć języka, a potem stamtąd prosto do Lwowa, do swoich, pokajając się i prosząc o przebaczenie zdrady. Miał przecież na potwierdzenie prawdziwości swoich słów najlepszą z możliwych rękojmię, taki żelazny glejt: dwie królewskie bransolety ze skarbca Rurykowiczów. Choć zaledwie tyle udało mu się zabrać, może wszakże zaświadczyć, gdzie jest reszta kosztowności i gdy tylko trafi się okazja, pierwszy pojedzie zbrojnie wydrzeć to wszystko z gardła polskiemu monarsze, pomścić śmierć Anastazji, ogniem i żelazem upokorzyć sprawcę swojego nieszczęścia.

Było już dobrze po północy, kiedy Mykoła Pawliczko zsiadł z konia i ślaniając się na zdrętwiałych nogach, obolały i zziębnięty, zamierzał przytulić skołataną głowę gdzieś w gościnnej izbie. Deszcz z głośnym szumem wciąż lał nieprzerwanie, smagając zimnymi witkami zabudowania na Wysokiej Górcie i już gdzieś tam gdzieś przekwitłe lampiony kasztanów.

Przy takiej pogodzie nie można być niczego pewnym – sprzyja ona bowiem wszelkiego rodzaju niecznym poczynaniom. Wtedy zwierzęta kołowacieją i gubią

trop, goniąc w kółko za własnym ogonem, ludzie zaś tracą czujność, stając się ślepyimi i głuchymi na wrogie znaki i odgłosy.

Tak też się stało i owej pochmurnej nocy. Tuż przed świtem na pogrążony w wilgotnym śnie chełmski gród napadł oddział zaborczych Litwinów. Zaskoczeni zbrojnym atakiem mieszkańcy Chełma w samych gieźlach wyskakiwali z rozgrzanych ciepłym snem posłań: kobiety tuliły do piersi rozespiane dzieci, z krzykiem biegając na wszystkie strony; mężczyźni bezładnie usiłowali zorganizować jakąkolwiek obronę, chwytając w ręce co popadnie: kawałki drewna, żelazne drągi czy choćby zwyczajne noże.

Pawliczko, obudzony z płytkiego czuwania wrzaskami i tumultem, w lot zrozumiał, że w walce wręcz nie ma żadnych szans z atakującymi zewsząd napastnikami. Pochwyciwszy swoją skózaną kiesę, którą przed spaniem podłożył pod głowę zamiast poduszki, dla pewności, że ktoś, kto zechce mu ją ukraść, będzie musiał najpierw pozbawić go życia, przerzucił ją na ukos przez pierś i wyskoczył wprost w szarzejącą ciemność. Kompletnie nie znając chełmskiej zabudowy, nie miał pojęcia, dokąd mógłby uciekać, lecz coś pchało go ku południowej stronie grodu, pomimo tego, iż nikt przed nim nie biegł w tamtym kierunku. Zmoknięty i przerażony przeskoczył niebotycznym susem dwa leżące twarzą do ziemi ciała obleczone w długie, zgrzebne koszule rozsiekane na plecach krwawymi razami obosiecznego miecza, i pędził dalej, nawet na chwilę nie zatrzymując się w szalonym biegu. Nagle tuż przed nim, w potoku rześistego deszczu zamajaczyła kamienna cembrowina kwadratowej studni. Zziąjany, oparł drżące dłonie i zdyszana pierś o murowany brzeg budowli, po czym, nachyliwszy głowę nad ziejącą czeluścią, z nadzieją zajrzał do środka: studnia nie była zbyt głęboka; parę metrów w dole majaczyło ciemne lustro wody, a na wewnętrznych ścianach wymurowano kilka stopni dla bezpiecznego wchodzenia i wydostawania się z jej środka. Gnany śmiertelnym strachem nie zastanawiał się ani chwili dłużej: przełożył obie nogi przez kamienną obmurówkę i przez chwilę balansował nimi w powietrzu, aż poczuł, że prawa stopa znalazła solidne oparcie na wystającym schodku. Od razu pewnie stanął obiema nogami na zrębie studziennego muru i zobaczył, że w ścianie, tuż nad taflą wody widnieje dosyć szerokie wejście do podziemnego tunelu. Zręcznie przenosząc ciało nad nieruchomą powierzchnią ciemnej toni, pokonał jeszcze cztery kolejne stopnie, po czym wśliznął się do ziejącej chłodem mrocznej czeluści. Starannie wysklepiony kredowy korytarz pozwalał na swobodne przesuwanie się po nim pojedynczego człowieka z na w pół zgiętymi plecami.

„Musi być stąd jakieś wyjście, przecież nikt nie drażyłby takiego wyrobiska ot, tak dla samej przyjemności...”. Pawliczko słyszał takie historie o różnego rodzaju podziemnych korytarzach, pozwalających bezpiecznie uciekać z każdego oblężonego zamku czy twierdzy. Był więc całkowicie pewny, że i jego to przejście

zaprowadzi ku wolności. Upewniał go w tym przekonaniu fakt, że cały czas dało się wyczuć lekki powiew, świadczący o swobodnej cyrkulacji świeżego powietrza płynącego w obie strony tajemnego korytarza.

Przez dłuższy czas spokojnie sunął przed siebie w zupełnych ciemnościach, aż w pewnym momencie pośliznął się na gliniastym kredowym podłożu i runął jak długi, uderzając podbródkiem o maziste dno tunelu. Pozbierał się błyskawicznie, bo przez głowę przemknęła mu myśl, że przecież ktoś jeszcze może próbować wydostać się z obłązonego grodu i idzie w ślad za nim podziemną drogą. Kredowy tunel pochłaniał wszelkie odgłosy i Mykoła nawet nie zauważył, że przy niefortunnym upadku zgubił jedną ze złotych bransolet. Większa obręcz wysunęła się ze skórzanej kiesy i niczym wystrzelona z procy potoczyła bezgłośnie wprost w miejsce, gdzie pionowa ściana sklepienia zbiegała się ze starannie ubitym podłożem. Nieświadomy poniesionej straty, wytrwale sunął do przodu, wsłuchując się we własny, sapiący rytmicznie oddech. Wszystko to wydawało mu się ciężkim snem bez końca – miał wrażenie, że każda część jego ciała jest zupełnie oddzielona od siebie: głowa podsuwa przed oczy jasny punkt migoczący u wylotu tunelu, plecy wcale nie cierpną od długotrwałego wygięcia w łuk, ręce nie mdleją od kurczowego przyciskania do piersi ciężkiej sakwy, a nogi posłusznie niosą go przed siebie bez dygotania strachem.

Jak długo to wszystko trwało, nie wiedział, zamknięty w tubie ciasnej czasoprzestrzeni. Dopiero kiedy coraz mocniej zaczęły chłostać go języki rześkiego powietrza, a wciąż powiększający się półokrągły plaster zgaszonego błękitu z każdym krokiem wyraźniej majaczył przed rozszerzonymi w ciemności źrenicami, zdał sobie sprawę, że kończy się ta wędrówka.

Złamane niedawną tragedią serce zabiło radośnie i Mykoła nadludzkim wysiłkiem rzucił się całym ciałem do przodu, wypadając z ciemnego tunelu wprost pod zasnutę sinymi chmurami niebo. Oszołomiony niespodziewanym ocaleniem, bojąc się otworzyć oczy, zdrętwiały leżał przez dłuższy czas bez ruchu, odwrócony twarzą do ziemi, aż wraz z powrotem świadomości poczuł, że podłoże pod nim jest rozpulchnione i grząskie, a każdy, najmniejszy nawet ruch wciąga go zdradziecko do środka, powoli pogrążając w bezkresnym, białawym bagnie. Jeszcze przez krótki czas czuł, jak omotane gęstą mazią nogi ciążą mu niczym wielkie, drewniane kłody, a przyciśnięta obiema rękami do piersi skórzana sakwa, zalegająca głazem na sercu, nie pozwala swobodnie oddychać. Potem już tylko potok tłustej kredy zdusił rodzący się w jego gardle ostatni krzyk rozpaczy i Mykoła Pawliczko z otwartymi ustami na wieki pogrążył się w otchłani przepastnego bielawieńskiego błota.



ROZDZIAŁ V

W gorące sobotnie popołudnie peryferie Chełma świecą pustkami.

Ruchliwa na co dzień trasa prowadząca do przejścia granicznego w Dorohusku wygląda w tym miejscu jak srebrzysta powierzchnia księżyca. Łamliwy asfalt, rozgrzany bezlitosnym słońcem, poorany głębokimi kraterami kolein przez kursujące na Ukrainę wyładowane wszelkim towarem ciężarówki, zmusza każdego rozsądnego kierowcę do zdjęcia nogi z gazu. Niedaleko stąd kończy się na Bugu strefa Schengen, wyznaczająca wschodnie rubieże Unii Europejskiej.

Wolny od pracy wieczór to doskonała okazja, żeby pokazać Danielowi najstarsze miejsce osadnictwa na tych terenach.

Na rondzie kończącym wiadukt Justyna skręca najpierw w prawo, a za chwilę w lewo, kierując toyotę w wąską uliczkę prowadzącą do tajemniczego Bielawina, którego nazwa wywodzi się od słowiańskiego *bielto*, oznaczającego błoto lub bagno porośnięte kwieciami.

Auto przeciska się wyboistą, ciasną uliczką, po obu stronach porośniętą srebrzystym piołunem, przydymionym łopianem, gdzieś tam ożywionym jaskrawością liliowych płatków dzikiej róży. W gąszczu ściemniałego wrotyczu, zeschniętego krwawnika i dziko wybujałych krzewów trudno jest zorientować się, w którym miejscu kilka lat temu były prowadzone wykopaliska przy ruinach średniowiecznej wieży.

– To musi być gdzieś tutaj... – Justyna uważnie wypatruje pozostałości budowli po lewej stronie drogi.

– Przecież tu jest tropikalny las! – Zmęczony skwarem Daniel broni się nieśmiało przed przeszukiwaniem bezkresnych zarośli.

– Trochę cierpliwości! Pamiętam z dzieciństwa, że jak stawaliśmy z ojcem przy ruinach, to dokładnie na wprost widać było Górkę Chełmską! Na pewno tam trafię! Wysiadamy! – Justyna zatrzymuje toyotę, ugniatając ciężarem auta splątane zielsko na poboczu drogi. – Wskakuj! – rzuca rozkaz w stronę pasażera i zamasyście zaciąga ręczny hamulec.

– Już? Po co? – Daniel zerka na nią z niedowierzaniem.

– Zobaczysz! Musisz wysiąść pierwszy. Wydostanę się za tobą, bo inaczej pochłoną mnie te pokrzywy i blekot! – Tonem nieznoszącym sprzeciwu wydaje niecierpliwe polecenie.

– O nie! Tu jest istna dżungla! Same bodziaki! – Daniel nie jest specjalnie zachwycony perspektywą wyrąbywania gołymi rękami przesieki

w nieprzeniknionych chaszczach.

– To tylko tak źle wygląda na początku! – Justyna zgrabnie wyskakuje za nim przez uchylone drzwi.

– Chodź, chodź, nie poddawaj się, zaraz znajdziemy dojście do bielawińskich ruin! – Ze zwinnością wiewiórki wyprzedza Daniela, który leniwie przeciąga się, prostując plecy w popołudniowym upale.

– Idziemy! Idziemy! – Justyna niczym taran przeciska się do przodu, brnąc coraz głębiej w malachitową topiel dziewiczych liści, splątanych gałęzi i kłujących pędów nieokrzesanych malin. Sprężynujące łodygi gorzkiego zielska złośliwie smagają łydki, uda i biodra. Gałąź większego drzewka ze świstem bicia uderza ją w twarz, tuż pod lewym okiem. – Ależ tu zarosło! – Justyna zatrzymuje się, rozcierając bolący policzek.

Idący kilka kroków z tyłu Daniel błyskawicznie doskakuje do jej pleców.

– Pokaż! Nic ci się nie stało? Nie, nie, wracajmy, proszę! – Otacza ją mocnym uściskiem twardych ramion. Ona jednak nie zamierza się wycofać.

– Już zbliżamy się do celu! – Zakłopotana niespodziewanie okazaną troską, lekceważy te nadopiekuńcze zapędy.

– No ładnie, ładnie! Będziesz miała siną pręgę pod okiem! Wszyscy pomyślą, że oberwałaś! Ale od kogo i za co? – Delikatnie odgarnia kosmyki blond włosów, sypiące się na jej twarz rozgrzaną szybkim marszem i upałem.

Uderzenie giętkim konarem pozostawiło grubą na palec czerwoną smugę biegnącą od nosa aż po zewnętrzny kącik oka.

– Justyna, odpuść! Może przyjedziemy tu innym razem? – Daniel kciukiem prawej dłoni muska zgrubienie pulsujące na jej opalonym policzku, mimo że ona stawia miękki opór tej bliskości, niczym kot usiłujący dyplomatycznie wyswobodzić się z rąk niosących niechcianą pieszczotę.

– Daj spokój! Nie zamierzam tak łatwo rezygnować, nic mnie nie boli! – Wypływa sprytnie z jego objęć i znowu rusza do przodu, wzbijając kolanami chmary komarów i meszki zaczajone w gęstym poszyciu.

Niemrawe owady, pobudzone zniechęcią z upalnego letargu, poczuwszy obecność ludzi, bezładnie wciskają się do oczu i ust, brzęcząc w podzięce, że wreszcie znalazł się ktoś, kto łaskawie przypomniał im, iż najwyższy czas wyruszyć na wieczorny żer w poszukiwaniu świeżej krwi.

Po chwili gęstwina przerzedza się, przechodząc w niewysoką owalną kępę z wyraźnym zarysem resztek kamiennej, kwadratowej budowli, zachowanych niewiele powyżej fundamentowych partii, z jedną nieco wyższą ścianą.

Prawdopodobnie już w czasach rzymskich kwitło tutaj osadnictwo związane z kulturą przeworską, która rozwijała się od III wieku naszej ery, łącząc w sobie wpływy celtycko-germańskie, a od VI wieku również słowiańskie. Osada, zwana Zasłupiem, funkcjonowała w rejonie Bielawina aż do X wieku, kiedy to

prawdopodobnie została zniszczona w trakcie wojennych wypraw Włodzimierza Wielkiego, związanych z kształtowaniem się polskiej i ruskiej państwowości. Ponowny intensywny rozwój osadnictwa nastąpił dopiero w XII wieku, czyniąc z Zaslupia zaplecze gospodarcze dla intensywnie rozwijającego się od pierwszej połowy XIII wieku Chełma.

Wszystko wskazuje na to, że na przełomie XIII i XIV stulecia budowniczym kwadratowego donżonu w dzisiejszym Bieławinie był książę Jerzy I, wnuk Daniela Romanowicza.

Wieża wysokości ponad dwudziestu metrów została posadowiona na planie kwadratu o bokach szerokich na około dwanaście metrów. Grubość kamiennych, nieregularnych w kształcie ścian z piaskowca przekraczała półtora metra. Trzy lub cztery kondygnacje, na które była podzielona, i po trzy okna na każdej ścianie sprawiały, że budowla mogła pełnić wielorakie funkcje: strażniczą, gospodarczą, mieszkalną i wojskową, będąc idealnym, samodzielnym punktem obronnym, zabezpieczającym chełmski gród od północy. Ta wspaniała baszta, wzniesiona ponad dwa kilometry od Górki Chełmskiej, dominowała na terenie rozległej równiny jako symbol wysokiej pozycji społecznej i niezależności jej fundatora i użytkownika.

Zarówno wieża, jak i okalająca ją osada zostały zniszczone i opuszczone w XIV wieku w czasie walk o Ruś Halicką pomiędzy Polską i Litwą. Pozostałości północnej ściany wieży dotrwały aż do roku 1944, kiedy to wycofujący się pod naporem Armii Czerwonej żołnierze niemieccy wysadzili budowlę w powietrze. Resztki murów zostały zakonserwowane i nadbudowane do poziomu fundamentów dopiero w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia.

W obrębie ruin archeolodzy znaleźli ułamki naczyń glinianych, szkliwione na zielono płytki ceramiczne oraz całe mnóstwo kolorowych paciorków i bransolet szklanych, pochodzących z okresu świetności osadnictwa w tym miejscu.

– No, wreszcie! Tak się broniłeś, a popatrz, warto było! – Justyna gładzi opaloną ręką gorące, bure kamienie, jakimś cudem trzymające się ściśle fragmentów grubego muru. Zachodzące słońce przekornie wyłącza skrawek wyludnionej od wieków ziemi, niegdyś tętniącej codziennym życiem pogranicznej osady na przemian zdobywanej, łupionej, niszczonej i znowu odbudowywanej.

Torfowo-piaskowe podłoże wokół ruin ciężko oddycha lipcowym żarem, konspiracyjnie wyławiając bezgłośnie kroki Daniela. Zwrócony twarzą do wyższej ściany, z zainteresowaniem ogląda ginące dzieło średniowiecznych budowniczych, delikatnie wodząc czułymi palcami po chropawej powierzchni muru.

Nieodmienne od setek lat pospolite nawłocie dodają szlachetnej zwykłości temu miejscu. Od północnej strony bieleje bazylika Najświętszej Maryi Panny na Górze Chełmskiej.

Wzrok Justyny i Daniela krzyżuje się nagle w niemych zrozumieniu. Tutaj

żyli ich przodkowie, pracowali, tworzyli, toczyli wojny, bronili się przed wrogimi najazdami, przekazywali życie następnym pokoleniom, umierali, ale do dzisiaj pozostał po nich ten niezatarty ślad. Wprawdzie z biegiem czasu coraz mniej widoczny, nieuchronnie tonący w pomroce burzliwych dziejów. Stąd te wszystkie hipotezy, szukanie dowodów, badania, domysły. Przecież dlatego spotkali się i oni – każde z innej kultury, z innego kraju, a jednak okazuje się, że tyle ich łączy.

Zmęczona wyprawą Justyna siada w środku prawie doskonale kwadratowego kamiennego pola, wystawiając twarz do przedwieczornych promieni zamglonego słońca.

W palisadzie półprzymkniętych rzęs drgają pachnące kwiaty rumianku, tuż obok na kolczastym koszyku łopianu przysiada płochliwie cytrynowy motyl. Takie same widoki na pewno podziwiali przed wiekami mieszkańcy tej osady.

Słodki bezwład spada na nią całunem nagłej słabości. Bezszelestny ciężar pożądanego ciała Daniela zaskakuje Justynę subtelnym przyzwoleniem dla znajomych już dłoni, złożonych stanowczym ciepłem na wymuskanych słońcem ramionach. Zabłąkany na szyi gorący oddech w pierwszej chwili każe myśleć, że to powiew upalnego wiatru daje złudne wrażenie podniecającej bliskości, przed którą wbrew sobie instynktownie broni się każdego dnia.

Wokół dymi głęboki zapach wyschniętego na wiór siana, wiruje dosadna mdłość burzanów, przytłacza nozdrza gęstość baldachimów dzikiej marchwi. Na dnie falującej głuszy kołują stłumione odgłosy lata: rozmyte nuty znanej od zawsze melodii, chrapliwe szczekanie psa, daleka paplanina dzieci, rytmiczne cykanie świerszczy. Kakofonia dźwięków przenika się, wznosi ku niebu i opada na ziemię zapierającą dech amplitudą.

Wszystko to w mgnieniu chwili staje się obojętnym tłem dla oszalałego zbliżenia zdziwionych pragnieniem ust, zamglonych rozkoszą oczu, splątanych pośpiechem rąk.

Błękit bawełnianej tkaniny, falujący na rozgrzanych piersiach Justyny, bezwstydnie ucieka wzdłuż niecierpliwych palców Daniela. Urywany pomruk zgody poddaje bezwolne ciało we władanie pieszczących dłoni. Jak to się stało, że skołatane serce tak na zawołanie od razu bije rytmem tego drugiego serca?

Drżące ciało Justyny, namaszczone magiczną mocą, wyzywająco naprężone w naturalnym odruchu, rozchyła się jak spragnione ciepła płatki kwiatów przed wschodem słońca, gotowe wchłonąć ożywczy złoty blask zanim nastanie krótka letnia noc.

Daniel jest tu tylko dla niej: łowi każde spojrzenie, gest, grymas, zawłaszcza ją całą. Już na zawsze do niego należą zbuntowane wiatrem błyszczące włosy, chabrowe błyskawice oczu, spolegliwe dłonie na piersiach, opalone stopy, posmak dzikiej poziomki błędzący w zakamarkach opalonych małżowin i upalny smak lipcowych pocałunków, zebrany koniuszkiem języka z jej wiśniowych warg razem

z kilkoma perełkami potu... a może raczej łez?

Justyna wciąż niezmiennie broni dostępu do siebie, ale już inaczej, resztkami sił, bez przekonania, tak jak się oponuje przed zepchnięciem z rozgrzanego pomostu do balsamicznie ciepłej wody w skwarny wieczór lata albo robi niezdarne unik na widok lecącej lawiny śniegowych kul, utoczonych z dopiero co spadłego z niskich chmur miękkiego puchu – tylko po to, by za chwilę wywrócić się z premedytacją w dziewiczą biel cichej nieskończoności wczesnego mroku grudnia.

Chociaż dogasający upał nie wydaje się aż tak dokuczliwy, każdy zaułek ciała jest lepki, wilgotny, dygocze bolesnym drżeniem, że zaraz, nareszcie, już, teraz...

Jak dobrze im obojgu jest w tym magicznie wspólnym, opuszczonym miejscu, schowanym w głębokiej enklawie uspiętej historii wschodniego pogranicza!

Daniel mógłby tak trwać w nieskończoność, nurzać się w bliskości wykradanej małymi kąskami, jak drobny, pospolity złodziejasek, liczący wciąż na udany skok stulecia. Pochłaniałby ją każdego dnia po części, zagarniając coraz więcej i więcej, z nadzieją, że w końcu przecież nastanie moment, kiedy tę kobietę posiadzie wszystką, na jej własne życzenie. Bez najmniejszych oznak sprzeciwu, czekając z niecierpliwie rozchylonymi żrenicami, ustami i sercem.

Rytmiczne uderzenia dzwonu na wieży kościelnej przedzierają się w czystym powietrzu i niby grom z jasnego nieba gwałtowną kaskadą dźwięków rozwiązują gordyjski węzeł skreconych namiętnością ciał.

Chwila swobodnego wdechu odsuwa niezaspokojone usta na wyciągnięcie łaskawych rąk, źle ukrywane zaskoczenie migocze w kącikach oczu, rumieniec zażenowania pali policzki. Czyżby to był jedynie posmak zwykłego wstydu, że oni, w ich wieku, tak tutaj, w tych ruinach, na wyschniętej trawie, jak pierwsi kochankowie?... Śmieszne?

– Wracajmy, już wieczór... – Justyna z pietyzmem archeologa wytrząsa z butów kilka gładkich, drobnych kamyków. Sprytne palce gorliwie wywlekają z nogawki lnianych spodni tnące źdźbła czepnej przytulii.

– Szkoda, że nie spotkaliśmy się wcześniej, dużo wcześniej. Choćby nawet siedemset lat temu. Mniej okropności dzieliłoby naszą historię... – Daniel odwraca wzrok, odruchowo dociskając klamrę brązowego paska od spodni.

– Nie mamy wpływu na przeszłość, ale możemy mieć na teraz, no i na przyszłość... – Justyna oddała się w przeciwległy róg zrujnowanej wieży, uważnie wypatrując czegoś pod stopami. Zgrabnie schyla się i podnosi błyszczący w zachodzącym słońcu drobiazg.

– Daniel, spójrz, to przecież kawałek szklanej bransolety! Chodź, poszukajmy w tym miejscu, może coś jeszcze uda się znaleźć? – Delikatnie

strzepuje palcami zbity piach oblepiający ułamek średniowiecznej biżuterii. Niedawna gwałtowna burza z silną ulewą, która przeszła nad miastem i okolicą, wypłukała z ziemi wiele zagrzebanych tajemnic.

– Pokaż! Jak to wygląda? – Zaciekawiony składa w koszyk obie dłonie, gotowy na bezpieczne przyjęcie znaleziska.

Wyłuskany spośród zbitych grudek tłustej ziemi dość duży, półokrągły kawałek szklanej biżuterii dumnie prezentuje kunszt trzynastowiecznych ruskich rzemieślników, uciekających przed Tatarami z Kijowa i Halicza pod skrzydła chełmskiego księcia Daniela Romanowicza. Szklarstwo ruskie było niezmiernie popularne u Słowian wschodnich już w X wieku. Początek sztuce zdobniczej dali Grecy, którzy wówczas osiedlili się na terenie Kijowa, gdzie zakładali swoje pracownie działające na rzecz budownictwa sakralnego. Wytwarzane tam szkło służyło do produkcji płytek ceramicznych, szkła witrażowego oraz biżuterii. W miarę rozbudowy warsztatów i zapotrzebowania na szklane produkty sami Rusini zdecydowanie zmienili bizantyjską technologię pozyskiwania szkła, a także jego kolorystykę i skład chemiczny: z ołowiowo-krzemowego na potasowo-ołowiowo-krzemowy. Masowa produkcja ozdób ruszyła w latach trzydziestych XII wieku. Ówczesne kobiety przydawały blasku urodzie, zdobiąc się w pierścionki i zausznice z brązu oraz oryginalne kolie i bransolety z kolorowego szkła, występujące jedynie we wschodniej Polsce do linii Wisły.

– Jak pięknie musiały wyglądać grzechoczące na kobiecych rękach misternie skręcane obręcze z niebieskiego, zielonego czy oliwkowego szkła... – Rozmarzony głos Justyny działa na wyobraźnię Daniela.

Ten znaleziony fragment jest niemal modry, dokładnie jak jej oczy. Daniel poleruje znalezisko brzegiem swojej koszuli i przybliża fragment czystego nieba do twarzy Justyny.

– Cudo! Ta bransoleta jest stworzona dla ciebie! Może kiedyś zdołała rękę takiej niebieskookiej piękności? – Mrużąc oczy, z uwagą przypatruje się Justynie przez wąskie pasmo matowego błękitu.

– Tak, jest śliczna, ciekawe, czy pochodzi z Kijowa albo z Halicza, a może to już lokalny produkt? – Zawstydzona komplementami Justyna robi krok w lewo, starając się odwrócić uwagę Daniela w kierunku badania przeszłości.

– Już wtedy ludzie doskonale wiedzieli, w jaki sposób podkreślać piękno słowiańskich kobiet... Proszę, weź na pamiątkę... – Daniel oddaje Justynie szklany ułamek.

– Oddam przy okazji wizyty w chełmskim muzeum... – Justyna owija szkiełko papierową chusteczką i wrzuca zawiniątko do przewieszanej przez ramię torby. – Wracamy! – Obiema rękami poprawia potargane włosy i otrzepuje spodnie z piasku. – Znowu będę twoim przewodnikiem, więc idę pierwsza – mówi to odwrócona już do Daniela tyłem, odważnie wdzierając się w gęstwinę chaszczy.

– Tak, tak, zaraz idę... – Daniel urywa nagle w pół zdania, pochylając się z niedowierzaniem w miejscu, gdzie piaszczyste podłoże głębokim uskokiem przechodzi w kłębowisko dzikich burzanów. Przez dłuższą chwilę, na klęczkach pośpiesznie rozgrzebuje kredową glebę, zbitą na kamień przez ostatnie deszcze i utwardzoną upalnym słońcem. Zaciekawiony odkryciem nawet nie czuje bólu łamanych paznokci, które z powodzeniem zastępują mu archeologiczną szpachelkę. Usypana wokół znaleziska kupka jasnej ziemi błyskawicznie wysycha w gorącym powietrzu. Wreszcie ostrożnie wyciąga z ziemi obtoczony gliniastą mazią zaokrąglony przedmiot.

Z nabożną czcią, delikatnymi ruchami, jakby dostąpił zaszczytu dotykania piersi ukochanej kobiety, strąca zalegającą szczelnie warstwę nieodkrytej nigdy wcześniej tajemnicy. Mgnieniem błyskawicy doskakuje do niego radosna świadomość, że oto wreszcie spełniły się najskrytsze marzenia.

– Daniel! Czyżbyś zostawał na noc w Bielawinie? – Stłumiony głos Justyny dochodzący z dość dalekiej już odległości niczym błagalna modlitwa przywołuje go z zaświatów.

– Nie... idę, idę... – Drżącymi rękami pośpiesznie chowa znalezisko w głębokiej, bocznej kieszeni spodni, mocno dociskając do siebie chropawe brzegi zapięcia. Na chwilę rozprostowuje zmęczone plecy, ogarniając to dziwne miejsce pełnym niemej wdzięczności wzrokiem, i śladem Justyny szybko rusza w drogę powrotną.



ROZDZIAŁ VI

Zofia Czepielewska, niegdyś klasyczna słowiańska piękność, dzisiaj lekko zgarbiona staruszka o przezroczystrych, niemowlęcych włosach, przyjaźnie wyciąga ku Justynie drobne dłonie pokryte rdzawymi plamami starości. Swoje kresowe *ł* wymawia mięciutko, jakby mełła w wąskich ustach oleiste płatki słonecznika.

Uważnie patrzy na bratanicę wyblakłymi zielonymi oczami, które przez osiemdziesiąt pięć lat wszystko już widziały, lecz mimo sędziwego wieku wciąż spoglądają bystro, ciekawe świata jak u wchodzącego w życie dziecka, i mówi cicho:

– Od rana już jest takie błękitne niebo... ach, znowu będzie ten upał! Ale, ale, Justysiu, widzę, że jesteś jakaś nieswoja. O co chodzi? – doprasza się o wyjaśnienia.

– Jestem po prostu trochę zmęczona... a po czym ciocia poznaje? – Justyna stara się zbagatelizować troskliwe pytanie.

– Dziecko, po twoim głosie i spojrzeniu widzę, że coś ważnego się dzieje i nie możesz sobie z tym poradzić, prawda? – Zofia Czepielewska jak zwykle jest nieomylna.

– Właściwie to sama nie wiem, czy jest o czym mówić. – Justyna ma nadzieję, że przemilczany temat umrze śmiercią naturalną.

– Oj, myślę, że jest, ale sama zdecyduj, co chcesz z tym zrobić. – Zofia bezszelestnie wchodzi do kuchni. Napełnia wodą srebrzysty czajnik z czarnym gwizdkiem, nadtopionym przez gorącą parę. Ostro trzeszczy foliowy kartonik, uwalniając białą tabletkę na nadciśnienie.

– Żle się ciocia czuje? – Justyna ciężko siada na kuchennym taborecie.

– Mam trochę za wysokie ciśnienie, ale to nic, zaraz się ureguje. – Wprost z półtoralitrowej butelki popija lekarstwo resztką wody mineralnej. Pusty plastik ląduje w reklamówce zawieszanej na klamce kuchennych drzwi.

– Nie przypuszczałam, że coś takiego mi się przydarzy. Niemożliwe! W tym wieku? – Justyna jest wyraźnie zażenowana.

– W każdym wieku wszystko się może zdarzyć, szczególnie kiedy spotykamy kogoś odpowiedniego... – Tym jednym zdaniem Zofia ośmiela skonfundowaną bratanicę.

– Czuję się jak nastolatka. – Justyna odwraca głowę w kierunku uchylonego okna. W sobotni poranek osiedlową uliczką rzadko przejeżdżają samochody. Wyremontowany plac zabaw świeci pustkami. Młodzi ludzie w poszukiwaniu pracy rozjechali się dawno po całej Europie, a ci, którzy zostali, niekoniecznie chcą

być bezrobotnymi rodzicami.

– Poznałam interesującego człowieka. Jest archeologiem z Kijowa. Nie mam pojęcia, co sądzić o tym wszystkim, ale chciałabym go cioci przedstawić. – Justyna z każdym kolejnym słowem zniża do szeptu i tak cichy głos.

– Rozumiem... – Staruszka spogląda uważnie, mrużąc zaczerwienione powieki, na których perlą się mleczne krople od zdradliwej jaskry.

– Może zaprosimy go do nas na niedzielny obiad? Pomogę cioci wszystko przygotować, dobrze? – Wzrok obydwu kobiet łagodnie układa się w jedną linię tuż nad kuchennym stołem, dając Justynie nadzieję, że jej oferta będzie pozytywnie rozważona.

– Kiedy chciałabyś zrobić to spotkanie? – Ciotka Zofia kilkoma wprawnymi ruchami rozsmarowuje twarde masło na kromce ciemnego chleba.

– Myślałam o następnej niedzieli. Daniel na pewno przyjmie zaproszenie. W końcu i tak każdą wolną chwilę spędza samotnie. – W słowach Justyny triumfalnie brzmi zdumiewająca pewność zwycięzcy.

– To Rosjanin czy Ukrainiec? – Zofia Czepielewska kroi pieczywo w małą kostkę, powoli delektując się wczesnym śniadaniem.

– Daniel? Daniel jest... Ukraińcem. A czy to ma jakieś znaczenie? – Justyna kładzie na talerzu plaster dziurawego żółtego sera.

– Czy ma znaczenie? Dla mnie? Dzisiaj? Nie... tak tylko pytam. Chcę wiedzieć, z kim będziemy siedziały przy wspólnym stole... – Żle skrywana nerwowość niespodziewanie głośno pobrząkuje łyżeczką na grubych ściankach szklanki z zieloną herbatą.

– Jeżeli to jest jakiś problem, to dajmy spokój, przecież ja tylko myślałam, że sprawię cioci przyjemność, zapraszając człowieka „stamtąd”. Wiem, jaki ma ciocia sentyment do swoich rodzinnych stron. – Kanciaste słowa tłumaczenia jej samej wydają się tak trywialnie bezczelne, że zrywa się nagle i szybko znika za drzwiami do łazienki.

– Też chciałabym, żeby to był tylko romantyzm, sentymenty, cokolwiek, byle nie to... – mruczy pod nosem Czepielewska – ale cóż... – Nierówno oddartym strzępkim papierowego ręcznika wyciera nagle napływające do oczu łzy. – No dobrze, to co, w następną niedzielę przyjdzie ten... Daniel? – Ciotka Zofia posyła retoryczne pytanie w kierunku kuchennej szafki, do której sięga po pękata reklamówkę z lekarstwami. Uważnie otwiera każde pudełeczko opatrzone własnoręczną instrukcją dawkowania i wyciska na mały talerzyk kolorowe pastylki. Niektóre z nich są podzielone na drobne cząsteczki. – A może za tydzień nie będzie już tak gorąco? Ten upał jest wykańczający. To nie dla kobiety w moim wieku. Dawno już nie było tak skwarne lata, zupełnie jak wtedy, w czterdziestym trzecim... – Bez popijania połyka dwie maluteńkie żółte pigułki. Jej wypłowiwały wzrok błądzi gdzieś za oknem, w wąskiej przestrzeni wyłuskanej

spomiędzy pochylonych listewek sfatygowanych żaluzji. – Czyżby to ogień podpalanych przez banderowców polskich chałup tak przypiekał wtedy, a nie słońce? Nie wiem, nie wiem, już nic nie wiem, przecież minęło ponad siedemdziesiąt lat... – pomrukuje półgłosem sama do siebie, krzątając się po złościście prześwietlonej kuchni. – Co podamy na ten obiad? Masz jakieś specjalne życzenie? – Ostatnie pytanie zadaje dość głośno, bo Justyna właśnie wychodzi z łazienki, wcierając w opalone dłonie krem rumiankowy.

– Wszystko będzie smaczne, jestem pewna, bo cioci domowa kuchnia jest najlepsza na świecie! – Justyna uśmiecha się szeroko, przymilnie zaglądając staruszce w rozmytą zieleń oczu. Pewna, że ciotka jednak zgodzi się na przyjęcie gościa, wygodnie rozsiada się za stołem i powoli kończy jedzenie śniadania. Kiedy dopija ostatni łyk kawy, milcząca od dłuższego czasu Zofia rzuca niespodziewanie:

– Co wiesz o tym Danielu, moja droga? Po czyjej stoi stronie? – Akurat teraz w żadnym wypowiedzianym przez nią słowie nie ma tego głębokiego *ł*, które dodaje serdeczności dialogom kresowiaków.

– Nie rozumiem... – Justyna drżącymi rękami wstawia do zlewu brudne naczynia.

– A cóż tu jest do rozumienia, moje dziecko? Wiesz dobrze, że tam toczy się regularna wojna, bo Putin przecież nigdy nie pozwoli Ukraińcom, żeby na dobre odłączyli się od Rosji. – I znowu, w słowie „odłączyli”, z ust Zofii Czepielewskiej wyjątkowo nie pada kresowe *ł*.

– Nie rozmawiamy z Danielem o polityce... – Zaskoczona pytaniami ciotki Justyna parzy dłonie, pośpiesznie zmywając talerze strugą zbyt gorącej wody.

– Ależ to nie żadna polityka, tylko zwykła obawa o podstawy polskiej egzystencji! Historia pokazała, że nasi wschodni sąsiedzi bywają nieobliczalni, co się zawsze najbardziej mści na Polakach! – Wzdycha głęboko, boleśnie łapiąc wielki haust powietrza.

Justyna zamaszyście poleruje mokre talerze, wymachując na wszystkie strony lnianą pasiastą ściereczką.

– Musisz wiedzieć, że przed wojną na Wołyniu mieszkaliśmy wszyscy obok siebie: Polacy, Żydzi, Ukraińcy, Czesi, Niemcy, Rosjanie. Kogóż tam nie było! – Zofia śpiewnym głosem spokojnie ciągnie rozpoczętą opowieść. – Myśliwski bigos i pieczona cielęcina na polskie Boże Narodzenie, solone śledzie w beczce z żydowskiego sklepiku, biała kiełbasa – niemiecki przysmak, czeskie „kichliki” z drożdżowego ciasta posypane grubymi kryształami cukru wymieszanego ze szczyptą zamorskiego cynamonu, ruskie bliny z mąki gryczanej i ukraiński kwas chlebowy doprawiany sokiem z czarnej porzeczki... taaak... wszystko to było na wyciągnięcie ręki, tuż obok, za żywoplotem z ligustru, na tej samej ulicy brukowanej kocimi łbami, w tej samej ławce szkolnej, na kraciastym kocu rozłożonym w cieniu brzozy nad brzegiem rzeki... Wtedy każdy Bóg miał swoje

miejsce – kto chciał, mógł się bez przeszkód modlić w kościele, w synagodze, w cerkwi, w zborze... Jedna szkoła, jedna klasa, wspólne zabawy, mieszane małżeństwa, aż tu nagle... wojna! Z jednej strony Niemcy, z drugiej Sowietci... Jedna wspólna tragedia, strach, wszy, głód, krew, ucieczka, rozpacz, zagłada, łuny aż po horyzont...

I stało się tylko jedno niebo, jedna modlitwa i jeden Bóg. I ten Bóg jednych wysłuchał, innych nie, jednym odebrał rozum, drugim życie, a innych ocalił... – Zofia Czepielewska rozprostowuje zgarbione plecy. – Zimą czterdziestego trzeciego roku miałam prawie piętnaście lat. To najwyższy czas, żeby się zakochać. W tym nie przeszkadza nawet wojna.

No i byłam zakochana. Z Rusłanem znaleźliśmy się od dziecka. Wysoki szatyn, przepastne zielone oczy, chudy jak tyczka, wysportowany, świetnie pływał pod prąd w leniwym Styrze; zawsze wesoły, imponował mi wszystkim: z leszczynowych pałaków i cienkiego szpagatu zrobił luk i strzały, którymi trafiał w samą dziesiątkę, starannie wyrysowaną kopiowym ołówkiem na tekturowej tarczy. Po zakończeniu wojny chciał zostać inżynierem... albo... strażakiem? Kto wie, jak niebosiężne marzenia miał wtedy każdy szesnastolatek?

W pełnej rupieci i pajęczyn szopie, która dziwnym trafem oparła się niemieckim bombardowaniom, tylko jeden, jedyny raz wczesną wiosną pocałował mnie bezwstydnie, pokonując zachłannymi ustami nikły opór wychudzonych dziewczęcych ramion.

„*Budiesz maja, Sofija, tilki ty, Sofija!...*” – do dzisiaj pamiętam metaliczny smak jego warg, chociaż wtedy, przerażona, ale pewna żarliwie niewypowiedzianej miłości, po prostu na przekór struchlałemu sercu wyrwałam się z twardych objęć Rusłana i uciekłam do domu...

Zofia dolewa odrobinę ciepłej wody do kubka z wystygłą herbatą.

– Zobaczyłam go znowu dopiero na początku lipca czterdziestego trzeciego. Był jakiś inny: dorosły, mocno opalony, jeszcze wyższy i jeszcze szczuplejszy. Moi rodzice niechętnie patrzyli na tę znajomość, bo w okolicy z coraz większym przerażeniem mówiło się o ukraińskich bandach mordujących Polaków. Na pewno Rusłan dobrze o tym wiedział i dlatego w upalne sobotnie popołudnie zajrzał do naszego domu akurat wtedy, gdy byłam sama. Schylony w drzwiach wejściowych, za niskich dla sterczącej czupryny jego wypłowiałych od słońca włosów, powiedział szybko, niepewnie stając w progu: „*Sofija, wtikajte, nie spijcie doma! Czujesz? Nie spijcie doma! Sofija! Skaży twoim radnym! Wtikajte!*”. I zniknął równie niespodziewanie, jak się pojawił.

Na haftowanym obrusie z surowego lnu do późnego wieczora pachniały słodko dwa zielono-żółte jabłka, pośpiesznie pozostawione przez niego na brzegu kulawego stołu. Rodzice Rusłana mieli ogromny sad pełen różnych odmian drzew owocowych. Nie miałam wówczas pojęcia, że te dorodne papierówki były

pierwszymi i ostatnimi jabłkami, które dane im było zebrać tego strasznego roku...

Justyna, zaciekawiona, siada na białym kuchennym taborecie, czekając w napięciu na dalszy ciąg tej historii.

– Niedługo po jego wyjściu wrócili moi rodzice. Roztrzęsiony tata powiedział, że nie możemy zostać na noc w domu, bo banderowcy szykują zmasowany atak na naszą wioskę i możemy zginąć tylko dlatego, że jesteśmy Polakami. Mama spakowała trochę jedzenia, kraciasty koc, dwie pękate poduszki, wypchane gęsim pierzem, powiesiła na skoblu przy drzwiach wielką kłódkę i furmanką pojechaliśmy wszyscy na jakiś czas do stryja Felka, który mieszkał w pobliskim miasteczku. Banderowcy nie napadali na większe skupiska Polaków, więc w mieście było znacznie bezpieczniejsze niż na wsi. – Ciotka Zofia podpira obiema rękami siwą głowę. Jej drobna, szczupła postać przypomina teraz wystraszoną piętnastoletnią dziewczynkę.

– A co się stało z tym Rusłanem, ciociu? – Zaintrygowana opowieścią Justyna koniecznie chce poznać koleje losów młodego Ukraińca.

– Okazało się, że Rusłan mówił prawdę, ostrzegając nas przed pozostaniem w domu, ale bałam się powiedzieć o tym moim rodzicom, bo przecież Ukrainiec był ostatnią osobą, której Polak mógł wówczas wierzyć. Podsycana przez hitlerowców nacjonalistyczna idea „samostijnej Ukrainy” była tak silna, że nawet ukraińscy popi święcili w cerkwiach siekiery, piły i sierpy, aby zwyrodnialcy z UPA mogli bezkarnie „*rizat`Lachiv*”. Owładnięci szaleństwem zabijania banderowcy nie oszczędzali nikogo, kto miał jakikolwiek związek z Polakami. Nawet swoich, jeśli nie chcieli mordować Lachów razem z nimi...

W ciemnozielonych oczach Zofii drgają dwie wielkie, perłowe łzy.

– Taki właśnie los spotkał Rusłana i jego rodzinę. Kiedy ostrzegał mnie tamtego wieczora, nie spodziewał się, że w nadchodzącą noc do jego domu przyjdzie oddział UPA i na dowód wierności Ukrainie każą Jaremie, starszemu o kilka lat bratu, zabić żonę, młodziutką Polkę, będącą wtedy w ostatnim miesiącu ciąży. Kiedy ten odmówił, bandyci w okrutny sposób wymordowali całą rodzinę, żywcem ćwiartując Rusłana, jego rodziców, dziadków, brata i ciężarną Katarzynę...

Potem, dla przykładu, aby zastraszyć innych, doszczętnie spalili wszystko – okaleczone zwłoki, pomalowany na niebiesko dom, strzeżony szpalerem biało rozkwitłych malw, i wielki owocowy sad, w którym właśnie w lipcowym słońcu dojrzewały na drzewkach pierwsze pachnące papierówki...

Nie wiem do dzisiaj, gdzie oni wszyscy leżą, bo dopiero po wielu latach i tylko w niektórych miejscach pozwolono Polakom zrobić ekshumację. Widziałam dokumentalny film, jak niedawno gdzieś na Wołyniu odkryto masowe groby ofiar UPA. Na prowizoryczny stół, zбитy z nieheblowanych sosnowych desek, wyciągano z piaszczystego błota rozłupane czaszki dzieci, porośnięte korzeniami

drzew, ale wciąż ze ściśle zaplecionymi przez matki warkoczykami wokół główek, ze spinkami w blond włosach, z medalikami świętych błyskającymi pomiędzy paciorkami kruchych dziecięcych kręgów szyjnych...

Najlepiej zachowała się garstka brunatnych koralików, obła fujarka wystrugana z olszynowego drewna, trochę zbutwiała laleczka bez twarzy, podeszwy ręcznie szytych butów, kolorowe guziki z odświętnych ubrań, nadłamane krzyże z umęczonym Chrystusem. Ci ludzie szli wtedy na niedzielną mszę... ostatnią w swoim życiu. Byli dla zbrodniarzy najlepiej widocznym celem – duża część zginęła spalona w kościołach...

Ale najgorsze jest to, że politycy ze wszystkich stron wciąż unikają drażliwego tematu, nie chcą nazwać ludobójstwa po imieniu... a przecież na pewno żyją jeszcze oprawcy pamiętający dobrze miejsca pohańbienia i zbrodni dokonanej na tylu tysiącach ludzi tylko dlatego, że urodzili się Polakami. A nas, ocalałych kresowiaków, z każdym rokiem jest coraz mniej, cichnie nasz głos błagający o pamięć tamtych potwornych dni... – Głos ciotki Zofii łamie się, całkowicie zduszony łzami.

– Nigdy wcześniej ciocia nie mówiła o tej historii z Rusłanem... Dlaczego?
– Justyna, poruszona opowiadaniem, stara się poznać jak najwięcej szczegółów.

– Bo dzisiaj czuję, że po siedemdziesięciu latach od strasznej zbrodni wołyńskiej znowu powstają na Ukrainie demony zła, odradzające się w nowej postaci. Raz już zasiane ziarno nienawiści, choć dotąd uspięne, teraz pada na podatny grunt i wkrótce może zacząć wydawać zabójczy plon. Mam nadzieję w Bogu, że ja już tego nie dożyję, ale ty musisz być świadoma możliwych do przewidzenia wydarzeń. Pamiętaj o tym, kiedy mnie nie będzie... – Zofia Czepielewska, opierając się dłońmi o blat stołu, powoli prostuje zgarbione plecy i wychodzi z kuchni, szurając wykrzywionymi kapciami.

Przez długi czas Justyna nie może uporządkować natłoku galopujących myśli, ale w końcu uspokaja samą siebie:

„Przecież teraz jest inaczej, to nie dawna Ukraina sprzed lat, nie ma już tamtych ludzi, tamtej nienawiści, trzeba spojrzeć na wszystko inaczej, z obecnej perspektywy, ale ciotka Zofia nie zmieni zdania, nie zaufa już nikomu, kto jest «stamtąd». Bo takich zbrodni się nie zapomina. I nie przebacza. Ona przygotowała się, że odejdzie do Pana z tym cierniem w pamięci i sercu...

To dlatego ten szary obrus, haftowany kolorowymi kwiatami polnych bratków zawsze leży nieużywany na górnej półce w szafie? Bo na nim ukochany Rusłan ostatni raz w życiu położył pachnące jabłka... Taka relikwia z tamtych lat?

Nie ma sensu wracać do tematu. Sprawa sama się wyjaśniła...”.

– Justynko, może ten pan Daniel przyjdzie do nas kiedy indziej, dobrze? – Ciotka Zofia niespodziewanie zagląda do kuchni.

– Tak? – Błysk utraconej nadziei przelatuje przez głowę Justyny. – A kiedy,

ciociu? – Stara się nadać głosowi jak najmniej zdziwiony ton.

– Może... jak dojrzeją wszystkie papierówki w sadach? Przecież to nie potrwa długo, prawda? – zadaje zbyt infantylne jak na swój wiek pytania.

Justyna w milczeniu pytająco unosi do góry łuki starannie wyregulowanych brwi.

– Zdążymy przed jesienią, nie sądzisz...? – Wyraźnie słyhać, że Zofia nie oczekuje od bratanicy odpowiedzi, zdecydowanie uważając kwestię obiadu za szczęśliwie zamkniętą.



ROZDZIAŁ VII

Fale jeziora leniwie podpływają do brzegu, liżąc ciemny piasek. Woda z cichym mlaskaniem przychodzi i odchodzi, zostawiając ledwie widoczny grzebyk białej piany, pojedyncze gałązki drgających wodorostów i namoknięte sosnowe szyszki, których rozcapierzone łuski przypominają sztywne płatki brunatnych róż.

Jest początek września. Jezioro Białe właściwie już opustoszało i taki wieczór jak dzisiaj może być ostatnim ciepłym zmierzchem przed nadchodzącą nieuchronnie jesienią.

Tuż przy brzegu jeziora, w okolonym kamiennym kręgiem ognisku sucho trzaskają świerkowe gałęzie, strzelając w rozgwieżdżone niebo snopami koralowych iskier. Dookoła leżą okorowane kłody, na których rozgościła się cała ekipa archeologiczna. Przy samym skraju plaży, opłukiwane przez pulsujące jezioro, stoją trzy plastikowe skrzynki z piwem. Na pieńku ściętego drzewa, na płaskiej tacy z aluminiowej folii wyleguje się pokrojona w kawałki kielbasa. Wszyscy dwoją się i troją, szukając dogodnego dla siebie miejsca wokół ognia. Wygląda na to, że po trzech miesiącach wspólnej pracy na Górcie Chełmskiej większość zespołu zdążyła dobrać się w pary i siedzący tuż obok siebie Justyna i Daniel nie są żadnym wyjątkiem.

Zdumiewające dla Justyny jest jedynie to, że i ona tak szybko dokonała wyboru. Bo jeszcze dwa miesiące temu każdy, kto wróżył jej, że spotka na swojej drodze kogoś takiego jak Daniel, byłby przez nią uznany za szaleńca.

Przez tyle lat brała udział w wielu ekspedycjach archeologicznych, ale ta była inna, niezwykła, i Justyna dobrze wiedziała, że sprawił to właśnie Daniel. Od chwili, kiedy na początku lipca stanęła na brzegu wykopu, obsypując jego nagie ramiona lepką kredą, zrozumiała, że wstępuje w magiczny krąg pełen tajemnic i zagadek ukrytych głęboko w duszy tego przystojnego Słowianina. Wiedziała, że nie będzie w stanie zapanować nad wszystkim, co na nią czeka. Bo jak wytłumaczyć to, że jakaś nieznaną moc pcha ją na oślep ku temu właśnie człowiekowi? Ciągle chce być blisko niego i obojętne, czy będzie z nim rozmawiać, czy milczeć, dla niej liczy się tylko jego fizyczna obecność.

Móc patrzeć na Daniela, pracować razem z nim, być w pobliżu – oto najważniejszy cel, dla którego przychodziła codziennie na Wysoką Górkę. Tak, przyszedł czas, żeby uczciwie to przed samą sobą wyznać.

Dzisiaj jest już ostatni dzień wspólnej przygody i choć Justyna wie, że tak być musi, to nie może dać sobie rady ze świadomością, że już jutro każde z nich będzie gdzieś daleko. Wrócą do swoich spraw, obowiązków, do domów, do

bliskich, a tegoroczne wakacje staną się jedynie przeszłością jak ten szybko gorejący na plaży stos.

Tymczasem towarzystwo, które jeszcze do niedawna tworzyło pomrukujący przy ognisku krąg, niezauważalnie rozpierzchnęło się w zapadających ciemnościach.

Jakaś para całuje się namiętnie na brzegu drewnianego pomostu, a dwie inne, czule splecione, siedzą zapatrzone w siebie wokół dogasającego ogniska.

Na tle ledwo już żarzących się resztek gałęzi trudno rozpoznać, kto jest z kim. Pyszna, ostro doprawiona kiełbasa domowej roboty, grubo pokrojony razowy chleb i chłodne piwo z lokalnego browaru są tego wieczora rarytasami dla każdego podniebienia.

W tym dziwnym, niepokojącym mroku głębokiej nocy zawisło nad nimi pełne oczekiwania przeznaczenie, gotowe wreszcie się spełnić. Daniel, który od dłuższego czasu dotyka nieśmiałym ciepłem jej biodra, teraz zaborczo obejmuje Justynę ramieniem. Ona, na znak akceptacji tego gestu, z niemym przyzwoleniem patrzy w rozgwieżdżone niebo. Co chwila migotliwą smugą przecinają je dopalające się w granatowej nicości meteoryty. Na ciągnącej się w kosmiczną nieskończoność wrześnie otchłani jest ich nieprzebrane mnóstwo.

– Daniel, spójrz, ile gwiazd spala się co chwila. – Z rozkoszą wyczuwa bezpieczny ciężar jego ramienia.

– Widziałem, widziałem... – Daniel nawet nie porusza głową, żeby podążyć za jej wzrokiem. Cały czas uparcie przygląda się Justynie. – Lecą tak od zapadnięcia zmroku, bo one są jak my. Nasze życie jest jak ich światło: zamigocze w chmurach przez krótką chwilę, żeby nagle spłonąć w czarnej wieczności – mówi to wszystko bardzo wolno, niemal cedzi słowa, nie spuszczać z twarzy Justyny swoich zielonych oczu.

– Nie chcę, żebyśmy dzisiaj beznadziejnie spłonęli. – Drobne ciało delikatnie wibruje pod ciężarem jego wzroku.

– Wiem, że tylko ktoś taki jak ty... może mnie zrozumieć. – Daniel z trudem zaczyna dobierać polskie słowa, jakby zaschło mu w gardle. Podnosi się szybko i wprawnym ruchem otwiera dwie butelki piwa, zahaczając o siebie kryzami kapsli. Jedną podaje Justynie.

Zimne bursztynowe szkło przypomina tamte wakacje nad Jeziorem Białym. Nie wiadomo skąd, gnana wodnistym podmuchem, przypląwa cyniczna twarz Marka Bednarczyka.

Daniel pociąga ze swojej butelki głęboki łyk piwa i wyjmuje z kieszeni paczkę marlboro. Ciężko siada obok Justyny. Dym z żarzącego się papierosa roztacza woń cerkiewnego kadzidła. Przez niewidzialną, powietrzną kotarę dociera do Justyny jego niski, stłumiony głos:

– Za każdym razem, kiedy wykopię ludzkie szczątki, biorę do ręki najmniejszą kostkę i wyobrażam sobie, kim mógł być ten człowiek, jak żył, kogo

kochał, gdzie spędził ostatnie chwile, zanim po latach moje ręce wyciągnęły na światło dzienne to, co przez wieki zazdrośnie kryła ziemia. Patrzę na czaszkę, oceniam jej wiek, dotykam oczodołów w szalanej nadziei, że zdziwione błysną na mnie niebieską albo brązową tęczę.

Kiedy pędzelkiem strącam pojedyncze grudki ziemi schowane w zagłębieniach bioder, wyobrażam sobie tę kobietę lub mężczyznę, gdy rozkosz kochania przepływała drżącą falą przez ich łono, teraz martwe i nieruchome, które tak zwyczajnie trzeba opisać bezdusznym numerem archeologicznego inwentarza, zanim na miękkim suknie muzealnej gabloty przelotnie ucieszy oczy turystów zwiedzających wystawę... – Znowu ciasnym pierścieniem przygarnia do siebie Justynę, jakby była jego jedyną własnością.

– Znaleziona w grobach biżuteria jest tylko miernikiem dawnego bogactwa. Nic więcej. Tak było, jest i będzie! – Pośpiesznie szuka zrozumienia w jej oczach. – A przecież złoto, srebro, drogie kamienie czy monety, to jedynie dodatek do życia, wymyślony i stworzony przez ludzi. Co za paradoks! Kiedy po człowieku zostaje ledwie marny proch, rozsypane przez czas szczątki, tylko te kawałki ozdobnego metalu wciąż są skarbem i wydarte ziemi, choćby po tysiącach lat, zaczynają żyć kolejnym, innym życiem. Wciąż mają dla kogoś wartość, wzbudzają zachwyty i pożądanie. – Daniel uwalnia szyję i barki Justyny od stalowego uścisku.

– Rozumiem to wszystko – odpowiada mu cicho – bo przez wiele lat nie jeden ludzki szkielet wywarł na mnie niepokojące wrażenie. Dlatego tak niesamowita jest archeologia – przyciąga jak wiedza tajemna, jak magia, jak stawianie horoskopu przez astrologa. I choć tyle można sobie wyobrazić, trzeba ustalić jak najwięcej artefaktów, zbadać, doprecyzować, nie można się spieszyć, żeby niczego nie przeoczyć, nie zniszczyć, poskładać w sensowną całość te puzzle czasu, udowodnić, że zarys kości był kiedyś żyjącym człowiekiem. – Delikatnie dotyka skronią ramienia Daniela. Wystarczy ułamek chwili i zapamiętuje na zawsze profil jego długiego, prostego nosa, ostry zarys rozchylonych warg, oświetlony przez migotliwe płomienie ognia.

– Czy wiesz, jak ciężko żyje się u nas, na Ukrainie? – Daniel nagle zmienia temat i patrzy wyzywająco na Justynę.

– Wiem doskonale, przecież słucham i oglądam wiadomości... – Niepokoi ją zacięty wyraz jego twarzy.

– Myślę, że tak naprawdę nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak tam jest, dopiero gdyby ci przyszło żyć u nas na co dzień, tobyś się przekonała! – Wyraźnie rozgoryczony, podnosi głos, jakby chciał wzbudzić w niej wyrzuty sumienia.

– No chyba nie winisz mnie za politykę twojego kraju? Naprawdę, nie mam z tym nic wspólnego! – Justyna czuje się nieswojo. – Nie jestem rzecznikiem polskiego rządu, ale musisz wiedzieć, że nasza przynależność do Unii Europejskiej też ma swoje plusy i minusy. Moglibyśmy długo o tym dyskutować! – W jej głosie

górze bierze zwykła irytacja. Usłużna pamięć przywołuje prorocze słowa ciotki Zofii.

– Gorzej, że u nas są tylko minusy. Wierz mi, na Ukrainie nie można normalnie żyć, kochać, wychowywać dzieci. Ja w każdym razie już nie mogę. – Agresywny ton Daniela przechodzi nagle w przejmująco smutną refleksję.

– A tobie się wydaje, że w Polsce jest tak pięknie? Zapomnij! My też mamy swoje problemy, widzisz chyba sam, co się tutaj dzieje! – Justyna czuje potrzebę odparcia tego niespodziewanego ataku.

– Ja nie jestem w stanie utrzymać mojej rodziny, a jedyne kobiety, które kocham, dawno mnie opuściły, bo niewiele mogę im dać... – Spogląda na Justynę pociemniałymi z gniewu oczami.

– Wyobrażam sobie... – Justyna przeciąga zdanie z rozmysłem, instynktownie czując, że Daniel właśnie otwiera na oścież swoją duszę.

– Moja historia jest banalnie prosta. Kiedy pieniądze wychodzą drzwiami, miłość ucieka oknem. – Prostuje plecy i szybkim ruchem zapala kolejnego papierosa. Kwaśny mleczny dym owiewa Justynę leniwym obłokiem. – Mam żonę i córkę. Raczej... miałem, bo od kilku lat jestem sam. One obie wyniosły się do Polski, podobno są teraz w Warszawie... Już dawno czułem, że pograżamy się w biedzie, bo mojej muzealnej pensji nie starcza nawet na przeżycie połowy miesiąca. A córka jest zdolna i pięknie gra na skrzypcach. Chce studiować w Akademii Muzycznej, ale wszystko kosztuje, wszystko ma swoją cenę. – Widać, jak ciężko przychodzą mu zwierzenia.

– Żona była nauczycielką języka rosyjskiego, niestety przyszła niespodziewana redukcja etatów i moja Swietłana poszła na bruk. Bardzo to przeżyła, lecz ona nigdy nie załamuje rąk. Jest w niej też coś z dumnej Polki. – Daniel patrzy na Justynę pełnym podziwu wzrokiem. – Wtedy zaczęła imać się każdej roboty: sprzątała w prywatnych domach, pilnowała dzieci, a nawet okopywała buraki. Robiła wszystko, byle nasza Antosia mogła grać na swoich skrzypcach, żeby miała zawsze nowe książki, buty, sukienkę czy płaszczyk. Mówiła, że musi córce dać wszystko to, czego nie zdążyła dostać od własnej matki. Z początku byłem zaskoczony, że Swieta tak szybko poradziła sobie z kryzysem i nawet cieszyłem się, że mam zaradną żonę, która nie wstydzi się podjąć żadnej pracy, bo rodzina jest dla niej najważniejsza. Kochaliśmy się bardzo, Antosia jest owocem naszej późnej miłości. Lecz w pogoni za pieniędzmi nasze małżeństwo zaczęło coraz bardziej kuleć.

Justyna, czy wiesz, że bieda najszybciej odciska swoje piętno na kobiecie? Patrzyłem na moją Swietę i co widziałem? Zniszczone fizyczną pracą ręce, siwiejące coraz bardziej włosy, niemodne ubrania, powykrzywiane buty, bo ona oszczędzała przede wszystkim na sobie. Ciulała każdy grosz dla Antosi, wyrzekając się fryzjera, kosmetyczki, lekarza.

Mojej pensji ledwie wystarczało na skromne wyżywienie i opłacenie czynszu za mieszkanie. Zdawałem sobie sprawę, że powoli zaczynamy tonąć. Nie mogliśmy już znaleźć wspólnego języka, a to, co kiedyś nas łączyło, teraz zaczęło drastycznie różnić. Swieta była zgaszona i nieobecna, a ja coraz bardziej drażliwy na punkcie braku pieniędzy. Kolejne wyjazdy na wykopaliska oddalały nas od siebie jeszcze bardziej i chociaż ja łożyłem na rodzinę zarobione pieniądze, to i tak nic dobrego z tego nie wynikało. Nadal żyliśmy na granicy ubóstwa, a Swieta coraz częściej zniknęła z domu w poszukiwaniu jakiegokolwiek zajęcia, byle zdobyć kilka groszy.

Aż wreszcie stało się – jakiś czas temu spotkała Lenę Krawczuk, koleżankę ze studiów, która „za chlebem” praktycznie na stałe wyemigrowała do Polski. Lena najpierw pracowała w podwarszawskim zakładzie małej gastronomii, lepiąc po tysiąc pierogów dziennie, później układała towar i myła podłogi w budowlanym hipermarkecie. Potem przypadkowo zaczęła dorabiać sprzątaniami nowobogackich domów, szeroką obręczą z każdej strony opasujących polską stolicę. – Daniel nerwowo wysupłuje z paczki następnego papierosa. Kiedy zapala zapalniczkę, Justynie wydaje się, że w jego oczach błyszczą łzy.

– Lena jest tak samo piękna jak moja Swieta. Wykształcona, uczciwa i pracowita. Szybko docenili to nowi pracodawcy, polecając sobie nawzajem jej usługi. Godziwa zapłata za dobrą pracę – i Lena szybko stanęła na nogi. Nie wiem, jak ona to wszystko ogarniała, ale sprzątaniami trzech domów w tygodniu wystarczało jej na godne życie w Polsce i utrzymanie jedyne go syna na studiach medycznych w Kijowie.

Na Ukrainie został mąż Leny – wcześniej inżynier chemik, a teraz bezrobotny alkoholik, szybko staczający się na dno od dnia, gdy po restrukturyzacji przemysłu zamknięto mleczarnię, w której przepracował ostatnie dwadzieścia lat. Inżynier Wadim Krawczuk nie potrafił odnaleźć się w nowej ukraińskiej rzeczywistości, bo wraz ze zwolnieniem z pracy zawałił się cały jego świat. Przecież był doskonałym specjalistą, kierownikiem dużego działu w wielkim zakładzie, a teraz wypadało mu jedynie iść zamiatać ulicę, zostać pomocnikiem piekarza albo zająć się drobnym handlem. To zupełnie nie była jego bajka. Każde z tych zajęć wydawało się Wadimowi być poniżej godności inżyniera z dyplomem niegdyś renomowanej uczelni technicznej.

Wiem przecież, jak to jest, kiedy z dnia na dzień czujesz, że jesteś niepotrzebny, że nic nie znaczysz... – Daniel głęboko zaciąga się dymem. – W ciężkich chwilach górę biorą wszystkie ludzkie słabości, i Wadim, który zawsze lubił strzelić sobie setkę, zaczął życie bezrobotnego inżyniera od przepicia mizernej odprawy, którą dostał na pożegnanie z zakładem pracy. Potem było już tylko gorzej: Lena straciła posadę w urzędzie miasta i we trójkę z nastoletnim synem znaleźli się bez środków do życia. Bywały dni, że w ich domu brakowało jedzenia, ale Wadim pić musiał. A jak wypił, urządzał awantury żonie i synowi.

Kiedy Lena na całe dni wychodziła do cudem zdobytej posady w sklepie ogrodniczym, Wadim potajemnie wynosił z domu jej biżuterię. Potem upłynął na wódkę dwie małej wartości ikony, które dostał od ojca w nagrodę za obronę pracy dyplomowej. Ale gdy usiłował spieniężyć dziewiętnastowieczny kufer – pamiątkę po prababce Leny – ta powiedziała „Dość!”. Zabrała syna, trochę rzeczy osobistych i cudem ocalały kufer i przeniosła się do swojej owdowiałej matki.

Cena spokoju była wysoka: musieli gnieździć się w maleńkiej kawalerce w bloku, gdy tymczasem Wadim urządził w ich dawnym jednorodzinym domu pijacką melinę. Wreszcie mógł bez przeszkód przepijać z kompanami resztę dobytku małżeńskiego. Teraz Lena mogła liczyć już tylko na siebie. Kiedy syn zdał egzaminy na medycynę, ona zdecydowała: „Wóz albo przewóz” i wyjechała do Polski szukać szczęścia.

Daniel patrzy w mrok daleko przed siebie, zupełnie jakby w swoich kocich oczach miał noktowizor.

– Lena spotkała się ze Swietą przypadkowo, kiedy na krótko wpadła do Kijowa. Szybko dogadały się w sprawie pracy w Polsce i moja żona dała się namówić na wyjazd do Warszawy. Lena już miała tam przetarte szlaki. Obiecała, że ulokuje przyjaciółkę w jakimś pewnym miejscu, gdzie będzie mogła spokojnie zarabiać pieniądze. Nie mogłem jej powstrzymać, nie miałem żadnych argumentów. I tak rozstaliśmy się na długie miesiące... – Odwraca się twarzą do Justyny. – Bardzo mi jej brakuje... bardzo... – Jego oczy skrzę się blaskiem płonącego ogniska. – Nie mogę żyć tak jak Wadim. Nie zostawię mojej rodziny na pastwę losu. Kocham żonę i córkę, musimy być razem, musimy wrócić do naszego domu. Zrobię dla nich wszystko, już zdecydowałem. – Daniel przenosi wzrok na majaczące w mroku jezioro.

– Ty to zrozumiesz, Justyna, tylko tobie ufam... Chcę, żebyś to wiedziała ode mnie, proszę, zrozum, musiałem tak zrobić! – Przez rękaw jej niebieskiego swetra przepływa magnetyczny prąd jego długich palców. – Od chwili, gdy się spotkaliśmy, mam wrażenie, że znam cię z innego wymiaru. Gdzieś? Kiedyś? Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Czy masz też to samo wrażenie? – Jest przekonany, że powinna rozwiązać jego wątpliwości.

Lecz w gardle Justyny nagle rozrasta się gąbczasta kula, nie pozwalając wydobyć z krtani żadnego słowa. I czuje się jakoś tak dziwnie... Wypiła niewiele piwa, a w głowie i w uszach szumi rozhuśtane morze, przed oczy napływa gryzący dym z ogniska... nie... to coraz bardziej gęstnieje wieczorna mgła. Skołowana, bezszelestnie wyślizguje się z jego objęć i nie oglądając się za siebie, chwiejnym krokiem wnika coraz głębiej w czarną kurtynę lasu.

Jeszcze przez krótką chwilę Daniel patrzy w rozgwieżdżone niebo, po czym gasi w piasku niedopałek papierosa i przyciągany niewidzialną siłą rusza w ślad za Justyną.

*

Drzewa nad nimi nieprzerwanie szumią swoją liściastą melodię. Drobiny wody z jeziora, pomieszane z migoczącymi odpryskami dopalających się meteorytów unoszą się w zawiesistym powietrzu i niczym przezroczyste łyzy nocy osiadają balsamicznie na ich włosach, rzęsach, ustach.

Ledwie tłące się ognisko wciąż płonie cicho, nieważne gdzieś w dali, za nimi.

Justyna i Daniel idą obok siebie w milczeniu, przecinając wilgotny mrok lasu. Ziarnisty piasek, gęsto oprószony sosnowym igliwem, złośliwie stawia opór ich stopom, jakby chciał na siłę zatrzymać tych dwoje w miejscu, dać im więcej czasu, nim staną naprzeciw nieuchronnego spełnienia.

Do pokonania zostały już tylko trzy chropawe drewniane schodki. Rozchybotana poręcz nie daje rękóm Justyny spodziewanego oparcia. Pod ciężkim butem Daniela bezlitośnie rozpada się zmiażdżona szyszka. W miękkiej ciemności majaczą zielonkawe drzwi, a nad nimi blaszana tabliczka z numerem 11.

To tutaj Justyna w południe zostawiła torbę ze śpiworem i drobiazgami niezbędnymi na nocleg nad jeziorem.

Zmarzniętymi palcami niezgrabnie wyczuwa klucz zalegający na dnie kieszeni spodni. Bolesnie zgrzyta nienaoliwiony zamek. Drżąca ręka rozgrzewa śliski chłód metalu.

Nagle Daniel, niecierpliwy jak dziki kot, całym ciałem przylega do jej karku i pleców. Pewnym ruchem dłoni pomaga docisnąć obłóść klamki. Skrzeczące drzwi otwierają się na oścież, bezwstydnie zapraszając ich cienie do środka. Wygrzane wnętrze domku kusi nozdrza dusznym słońcem odchodzącego lata.

I wreszcie jego wygłodniałe usta drapieźnie spadają na włosy Justyny, biegną zdyszane wzdłuż pulsującej nabrzmiętym oczekiwaniem szyi.

– Chcę kochać najpierw twoje długie włosy... – Płomienny szept przeszywa jej wyostrome zmysły.

Justyna odrzuca bezwładną głowę do tyłu, szukając na piersi Daniela bezpiecznego oparcia. Jasne pasma rozsypują się promieniście w szklistym mroku pokoju.

Sucho trzeszczy paczka papierosów rozgnieciona na sercu jego zielonej bluzy. Nawet tytoń wydziela teraz esencjonalny zapach gwałtownie uwolnionego pożądania.

Pospieszne ręce troskliwie oplatają jej twarz, płynnie opadają na wydatne piersi, gorącą obręczą zagarniają falujący brzuch i rozkołysane biodra.

Przecież od pierwszego lipcowego poranka Justyna czekała właśnie na tę chwilę...

Gdyby nie mocny uścisk, sama nie mogłaby utrzymać równowagi. Jak

dobrze, że Daniel pewnie celebrytuje przed sobą każdy milimetr jej ciała.

Po chwili zwalnia napięte mięśnie i stanowczym ruchem obraca Justynę twarzą do siebie. Wciąż nienasycone usta łakomie przywierają do ust, eteryczny smak wypitego alkoholu szczypie w języki, ręce błądzą po całej długości kręgosłupów, biodra napierają na siebie niecierpliwymi talerzami, usiłując uwolnić się od krępujących dzinsów.

Zimna klamra na pasku od spodni Daniela szybko ogrzewa się żarem jej nagiego brzucha.

On, jak wytrawny wodzirej, z rozmysłem prowadzi swój upojny taniec, a ona poddaje mu się bezwiednie, zdana całkowicie na łaskę tych rozpalonych warg, wścibskich palców i zaborczych ramion, wtóruje mu w takt słyszalnej tylko dla ich uszu muzyki.

Zarzucony jasną pościelą tapczan jęczy przeciągle, kiedy Daniel lekko odpycha od siebie Justynę, żeby na zimnej kołdrze mogła bezpiecznie rozrzucić przed nim swoje ciało.

Zielona bluza, przesiąknięta nutami sosnowego wiatru i ciepłem jego ciała, łąduje niepotrzebna w kącie u stóp pożądliwie skrzypiącego legowiska.

Płowiąca noc niechętnie ustępuje miejsca mlecznemu porankowi.

Na szarzejącym tle okna, tuż nad jego potarganymi włosami, bezszelestnie przelatuje brunatny nietoperz odrzuconej koszuli. Jej bezkarne palce mogą swobodnie podróżować wzdłuż wypukłych arterii żył pulsujących gorącym krwi i pięścić szeroką, grawerowaną splątaniem wzorem bransoletę, która wciąż tak kusi, tak intryguje...

Rozpędzone zmysły każą Justynie pozbyć się błękitnego swetra i obcisłej czarnej bluzeczki. Usiłuje wszystko naraz zsunąć przez głowę, byle szybciej dotknąć gorącym ciałem opalonego torsu Daniela. Chce wtopić się w niego, zatracić, zdążyć, zanim wstanie dzień.

Ściągane w pośpiechu ubrania oplatają bezkształtnym węzłem jej drżące dłonie. Obie ręce są splecione nad głową, nie może ich wyswobodzić, a przecież tyle pieszczot mogłaby dać mu, tyle miłości...

Daniel jednak wydaje się zadowolony, że sweter tak niespodziewanie spacyfikował ruchy rąk Justyny – twardo łączy je razem i lewą dłonią dociska mocno do poduszki. Teraz ma już wolny dostęp do tych wytęsknionych błękitnych oczu, wilgotnych ust, pachnącej białą magnolią szyi.

Wprawnym ruchem myśliwego jedną ręką uwalnia dumne piersi z wnyków czarnej koronki stanika.

W akcie całkowitego oddania Justyna wygina w łuk mostek, łudząc się, że tylko tak na pewno nie uroni żadnego pocałunku Daniela.

Jest już całkiem widno – zamglony ranek bez zenady wdziera się przez szyby jak nachalny intruz. Szmaragdowe oczy patrzą na Justynę z półprzytomnym

zachwytem, gorący oddech znaczy na jej wyprężonym ciele drogę dla rozpasanych pożądaniem, niemal oszalałych ust.

– Kocham cię! Kocham! Wiesz? Już mi nie uciekniesz! Nigdy! – Jego wargi znowu budzą uśpione przez mgnienie oka piersi Justyny.

– Daniel? Daniel! Ja... – Justyna na chwilę traci oddech.

– Nic nie mów, kocham cię, Swietłana, nie zostawiaj mnie już więcej samego! – Mocne szarpnięcie gdzieś w okolicy bioder, krzyk rozrywanego materiału, ostry dźwięk odpadającego na oślep guzika i...

Dopiero to świetliste imię, wrzynające się w mózg niczym zdradzieckie ostrze, sprawia, że Justyna nagle sztywnieje.

– Daniel! Proszę! – Ze wszystkich sił stara się wyplątać zniewolone ręce, by odsunąć nimi głowę Daniela, odepchnąć go jak najdalej, ale on wciąż nie pozwala jej się uwolnić.

– Swieta? Gdzie jest to znamię, które zawsze miałaś tu, pod sercem? Co się z nim stało? Swietłana?! – Zdumiony i przerażony swoim odkryciem Daniel nagle zwalnia uścisk i ciężko pada na plecy tuż obok Justyny.

– Nie jestem Swietą! Nie jestem nią, Daniel! Co się z tobą dzieje? – Justyna siada i oszołomiona smugą dziennego światła wstydliwie obejmuje rękami nagie piersi.

Przez chwilę Daniel patrzy na nią, jakby zupełnie nic nie rozumiał.

– Justyna? To ty? No, tak! A nie było tu nikogo innego? W ciemności wydawało mi się... Jesteś tak bardzo do niej podobna! Tak bardzo! Tylko ta blizna... – Zakrywa twarz dłońmi i zastyga skręcony embrionalnie na pomiętej pościeli.

Justyna boi się przymknąć powieki, żeby wszystko nie okazało się jedynie snem. A może właśnie tak byłoby lepiej, prościej?

– Tak... przecież Swietłana ma teraz krótkie włosy. Mówiła, że w nowej pracy nie ma czasu ich układać, lecz ja znam prawdę: ona chce, żebym zapomniał ją taką, jaką zawsze kochałem, bo teraz zmieniła się dla innego mężczyzny. – Daniel wyciąga rękę w kierunku Justyny. Opuszki długich palców opadają bezradnie wzdłuż pasma jasnych włosów.

Niedzielny poranek nad jeziorem, na przekór rzeczywistości, wróży piękną, słoneczną pogodę.

– Jeszcze dzisiaj jadę do Warszawy, sprzedam te cholerne bransolety i zabiorę stąd moją żonę i córkę. Wrócimy do domu. Znowu będziemy razem. Te świecidełka tyle lat przeleżały w ziemi bezużyteczne, więc najwyższy czas, żeby się na coś przydały! – Daniel nakłada brązową koszulkę, podnosi z podłogi swoją bluzę i zaciska mocno klamrę paska u spodni.

– O czym ty mówisz? Jakie bransolety? Nic nie pojmuję! – Niespełniona Justyna próbuje pozbierać galopujące myśli.

– Brr! Jak zimno! Justyna, muszę ci coś pokazać. Poczekasz chwilę? – Szybko wybiega z domku.

Justyna ubiera się pospiesznie. Roztrzęsiona, zgrabiałymi rękami wkłada zmiętą bluzkę i roztrzepuje kłębowisko niebieskiego swetra.

Niedbale wygładza kołdrę i rozkłada na niej pognieciony brunatny koc. Ze swojej torby podróżnej wyjmuje małą szczotkę i drząc z emocji i niewyspania, odruchowo przeczesuje potargane włosy. Na podłodze obok torby błyszczy niewielki guzik od jej spodni, oderwany razem ze strzępem czarnej tkaniny. Wciąż czuje na całym ciele dotyk jego dłoni i ust. Jest pewna, że te ślady już na zawsze zostaną na powierzchni jej skóry jak niewidoczne blizny.

„Co on kombinuje, ten Daniel? Jakie bransolety chce sprzedać? Komu?”. Dziwny niepokój sprytnie doskakuje do zachrypniętego gardła.

W wewnętrznej kieszeni małego plecaka srebrzy się paczka gumy do żucia. Intensywny zapach świeżej mięty błyskawicznie wymiata z jej ust zawieszisty smak głębokich pocałunków Daniela.

Nad ścianą lasu powoli wstaje cichy, złoty dzień. Przez uchylone drzwi domku wdiera się pierwszy poranny chłód tej jesieni, nadciągający od nieruchomej tafli Jeziora Białego. Wokół panuje zupełny spokój, nie widać żywego ducha. W lewym rogu okiennej futryny błyszczy misternie utkana pajęczyna – niemy świadek minionej nocy.

„Przecież możemy zostać nad jeziorem jeszcze jeden dzień i noc. Tak tu pięknie, naprawdę nie musimy nigdzie się spieszyć, trzeba to wszystko wyjaśnić”.

Głuchy odgłos kroków stacza się po drewnianych schodkach. W drzwiach pojawia się Daniel. Tuż przy biodrze Justyny kładzie na kołdrze niewielkie zawiniątko.

Zielonkawa, kraciasta tkanina bezszelestnie odsłania tajemniczą zawartość – przed nią leży szeroka złota bransoleta! Justyna odruchowo spogląda w kierunku Daniela, żeby porównać obręcz z rysunkiem wytatuowanym na jego przedramieniu. Ale tam, zamiast grafitowych konturów tatuażu, w porannym świetle pobłyskuje... bliźniaczo podobny klejnot! Teraz nie jest już pewna niczego – nawet tego, czy to wszystko dzieje się naprawdę, czy też może jest to jakiś ciężki sen w rodzaju koszmarów, które zdarzają się wszystkim zakochanym kobietom w okolicach jesiennej równonocy...

Przenosi zmętniały wzrok z powrotem na przyniesioną przez Daniela biżuterię.

Wewnętrzna, wygładzona strona jest gęsto usiana pismem runicznym. Czy to jest ta mniejsza? Ta, o której mówił Marek? Ozdoba ręki królowej? Tajemnicę pewnie mogą wyjaśnić te pieczołowicie wygrawerowane w środku runy...

Tysiące pytań przebiega przez głowę Justyny, ale ona nie jest w stanie zadać głośno żadnego z nich. Z niemym pietyzmem odkłada skarb na kwadratowe

poletko zgniecionego materiału.

– ...i co teraz? – Tylko to prozaiczne pytanie przeciska się przez jej zdrętwiałe usta.

Daniel przekłada biżuterię na uda Justyny i ciężko siada tuż obok na skrzypiącym tapczaniku.

– Teraz...? Teraz już wszystko będzie dobrze. W zamian za skarby ruskich królów odzyskam moją rodzinę. Znowu zamieszkamy razem, wszyscy troje: Swieta, Antosia i ja! – Uśmiecha się smutno. – Przyjedziesz do nas, prawda? Już teraz zapraszam cię do Kijowa... – Klęka na kolana przed skamieniałą ze zdziwienia Justyną. – Kiedyś przed wyjazdem do Polski Swietłana opowiadała mi, że ma w Chełmie jakąś rodzinę ze strony matki, ale nikt już na pewno jej nie pamięta, bo przyjeżdżała tu jeszcze jako dziecko. A potem to nie wiem, co się stało, bo nie mówiła nigdy o sobie, ale wiem, że nie miała łatwego życia, zawsze sama musiała bić się o wszystko. Dlatego chce chronić naszą córkę, pozwolić jej, żeby cieszyła się beztroską młodością...

Drżącą ręką sięga po złoty okrąg, jednocześnie zaglądając Justynie w oczy.

– Ja też tak chciałem, tylko, widzisz, nie wszystko od nas zależy. Może tak już jest w życiu, że człowiek musi stale borykać się z losem? Każde pokolenie ma swoje bolączki. Jak nie wojna, to inny kataklizm dziejowy, nieuleczalne choroby albo zwykła polityka – widocznie nie można żyć w oderwaniu od tego wszystkiego, być szczęśliwym, kochać. Sami musimy walczyć o swoje szczęście, bo nikt tego za nas nie robi! – Daniel przez cały czas obraca w rękach obręcz bransolety, jakby z niej odczytywał te słowa, tłumacząc poplątane koleje losu.

W smudze jesiennego słońca wygląda jak średniowieczny astrolog, nawiedzony wschodni wróżbita albo legendarny Wernyhora, który pomiędzy zawiloscią cyzelowanego ornamentu widzi przeblysł szczęścia, przychylny dla siebie los.

Justyna wciąż siedzi bez ruchu, zahipnotyzowana i zdumiona, nie mogąc wydobyć z siebie słowa.

– Coś w tym musi być, że akurat ja znalazłem bransoletę królowej i to chyba nie przypadek sprawił, że profesor Hawryluk na początku wakacji złamał nogę i w tym roku na wykopaliska do Chełma zaproszono mnie... nie sądzisz? – Jak tygrys w zbyt ciasnej klatce nerwowo zaczyna krążyć po całym pokoju. – Widzisz, Justyna, to nie był ślepy traf, tylko przeznaczenie. Poznałem ciebie, znalazłem skarb, a już wkrótce znowu będę razem z moimi kobietami! – Jest dziwnie zmęczony tym wyznaniem, w jego głosie wibruje rezygnacja.

– Chcesz powiedzieć, że z góry ukartowałeś wszystko? Przyjechałeś do Polski, żeby po prostu ubić prywatny interes? Komu w Warszawie chcesz to sprzedać? – Justyna wciąż nie może uwierzyć, że aż tak się pomyliła. Boleśnie zawiedziona, krzyczy mu prosto w twarz: – Od początku byłam jedynie

przykrywką dla twoich prawdziwych zamiarów?! Powiedz! Tak?! – Wzburzone morze szumi w jej głowie.

Daniel zatrzymuje się na środku pokoju w oczekiwaniu na potok kolejnych pretensji.

– A te wszystkie rozmowy, nieme spojrzenia, wspólne wycieczki w miejsca magicznej przeszłości i ostatnia noc tylko temu miały służyć? – Zawiedzione nadzieje i urażona kobieca duma nie pozwalają powiedzieć nic więcej.

– Nie, to nie tak, jak myślisz! Proszę, wysłuchaj mnie! Tutaj mam adres gościa, który w Warszawie kupi ode mnie te cacka, popatrz! – Daniel sięga do wewnętrznej kieszeni miękkiej bluzy i podaje Justynie mały prostokąt.

Znajomy sztywny kartonik, ten sam kremowy papier, masywna czcionka Arial Black w rozmiarze 12. Maczek liter niczym opium uderza Justynie do głowy:

Marek Roman Bednarczyk
Konstancin, ul. Kasztanowa 12
Tel. 510278595
email: maromanbed@onet.eu

Identyczna wizytówka leży przecież od paru miesięcy gdzieś na dnie jej torebki!

– Skąd to wzięłeś? Znasz tego człowieka? – Justyna nie poznaje własnego głosu.

– Znam i nie znam. Przed twoim przyjazdem ten Bednarczyk przychodził często na Górkę Katedralną. Zanim profesor Kowalewski się rozchorował, on całymi godzinami stał nad wykopem i rozmawiał ze wszystkimi. Kilka razy wspominał coś o tym, że też jest archeologiem, ale nie pracuje w swoim zawodzie, że bardzo go to interesuje, bo chciałby, żeby Chełm był słynny z wykopalisk, to kiedyś było ważne miasto pogranicza...

Profesor Kowalewski chyba nie pamiętał go z czasów studenckich, ale był zdumiony niemal naukową wiedzą Bednarczyka, jego zainteresowaniami i ciekawostkami, którymi ten na każdym kroku sypał jak z rękawa. Kiedy okazało się, że z powodu choroby profesor nie pojawi się w najbliższym czasie na wykopaliskach, Bednarczyk zaczął rozmawiać ze mną, ale już nie mówił o archeologii, tylko o tym, jak ciężko jest teraz żyć w Polsce, a co dopiero u nas, na Ukrainie. Aż wreszcie przyszedł dzień, kiedy zrozumiałem, o co mu naprawdę chodziło.

Do czasu twojego przyjazdu z Warszawy przez dwa tygodnie to ja byłem kierownikiem ekspedycji archeologicznej.

Codziennie wieczorami chodziliśmy z Markiem do knajpy na wódkę. On opowiadał mi historię Chełma i wykopalisk na Górcie – tych prowadzonych na

początku XX wieku przez Rosjanina Pokryszkina, tych późniejszych, rozpoczętych w 1966 roku pod kierownictwem archeologów z Uniwersytetu Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie, i tych ostatnich, trwających tu od paru lat.

Z początku traktowałem go trochę jak niespełnionego zawodowo nieszkodliwego wariata, fantastę, lokalnego patriotę, który ze zwykłej próżności chce zabłysnąć przede mną ciekawostkami historycznymi. Potem myślałem, że jest po prostu poszukiwaczem skarbów i sensacji. Wykopaliska zawsze przyciągają takich dziwolągów. Ale kiedy pewnego wieczora popiliśmy ostro i puściły już wszelkie hamulce, okazało się, że on szuka jedynie bransolet Rurykowiczów i jest skłonny dobrze za nie zapłacić. Wtedy wyśmiałem go, że traci czas na odnalezienie czegoś, czego tam może nigdy nie było, lecz on twierdził uparcie, że, owszem, bransoleta króla została wywieziona do Rosji, ale dotąd nie udało się zlokalizować biżuterii królewskiej żony. I właśnie ja jestem jego ostatnią nadzieją. – Daniel zaciąga się głęboko dymem z kolejnego papierosa.

Po krótkiej chwili ciągnie dalej swoją opowieść.

– Oczywiście odmówiłem jego prośbie, ale on był uparty i nie odpuszczał tak łatwo. – Daniel na moment zawiesza głos. Po chwili zrywa się szybko i wzburzony podchodzi do drzwi. – Wiesz, jak piją wódkę dwaj Słowianie? Gdy do tego jeden jest Ukraińcem, a drugi Polakiem? Taka przepaść historii nas dzieli, te wszystkie okropności! – Nie patrzy w ogóle w stronę Justyny, zupełnie jakby mówił do jeziora migoczącego w otwartych drzwiach.

– Wtedy odezwała się jego komórka. Dzwoniła jakaś kobieta, bo pijany Marek najpierw zrobił maślane oczy, potem oblizal się perwersyjnie, aż w końcu powiedział:

„Kochanie, już niedługo się zobaczymy, wytrzymaj beze mnie jeszcze parę dni... tak... dobrze, no, to weź pieniądze i kup wszystko, co potrzeba... zagospodaruj ogród tak, jak chcesz, zostawiam go do twojej dyspozycji... ja też tęsknię, całuję cię, mój skarbie!” – paplał pijackim bełkotem bez cienia żenady, cały czas mrugając do mnie porozumiewawczo.

Kiedy skończył, popatrzył mi prosto w oczy i rzucił bezczelnie:

„Powinieneś brać przykład z twojej rodaczki, Daniel. Zresztą z kobietami zawsze łatwo mi szło... Czy wiesz, jaka piękna Ukrainka prowadzi mój dom w Warszawie? Cacuszko! Do tego zakochana we mnie do szaleństwa! – zaryczał pijackim dyszkantem. – Wreszcie mam do kogo wracać z morza! Ona jest wierna jak pies. No, nie bądź już taki uparty, ty też możesz pracować dla mnie, dobrze zapłacę, nie pożałujesz na pewno!”.

Jednocześnie cały czas grzebał w komórce, sztywnymi paluchami niezbornie bębniąc po klawiaturze.

Chciałem jak najszybciej wyjść z tej knajpy, tym bardziej że w niezrozumiały dla mnie sposób nagle otrzeźwiałem. Kiedy podniosłem się

z krzesła, on wreszcie dopiął swego w manipulacji klawiszami telefonu i krzyknął na cały głos:

„Zobacz moją nową zdobycz! Istna krasawica!” – Zerwał się na równe nogi i balansując wielkim cielskiem na wszystkie strony, podsunął mi pod nos migoczący ekran telefonu.

Spojrzałem...

...i opadłem z powrotem na krzesło.

Na zdjęciu Marek Bednarczyk obejmował swoimi łapskami filigranową blondynkę z krótkimi włosami. A ona roześmiana i wyraźnie szczęśliwa pozwalała mu lubieżnie dotykać swoich dużych piersi.

„Nieeee!” – Wyrwałem mu z rąk aparat, żeby dobrze się przyjrzeć.

Boże, zmiłuj się nade mną! Nie miałem żadnych wątpliwości!

To była... moja Swietłana!

„I co, zatkało cię? Niezła, prawda? A jaka jest w łóżku! He, he, he! – rechotał, dopijając wódkę z kieliszka. – Ach, te wasze kobiety! Nie musiałem jej przekonywać tak długo jak ciebie...” – Wciąż zanosił się pijackim dyszkantem.

Nie wiem już, co było dalej, bo otumaniony tym wszystkim wypilem jakieś cztery kolejki z rzędu. Pamiętam tylko, jak ostatnim strzępem świadomości przystałem na jego propozycję, obiecując, że znajdę tę bransoletę, nawet gdybym miał dokopać się do piekła...

Znużony opowiadaniem Daniel znowu zagłębia wzrok w srebrzystej smudze jeziora błyszczącej w oślepiającym słońcu.

– Jak widzę, dokopałeś się! – Justyna ciętą ripostą wpada złośliwie w jego zwierzenia. – W którym miejscu było to twoje „piekło”? – Czuje się poniżona i zwyczajnie oszukana, jak pierwsza lepsza naiwna gęś, która na bazarze kupuje tombak zamiast złota tylko dlatego, że ma bezgraniczne zaufanie do przystojnego sprzedawcy.

– Tam, w Bielawinie, gdzie zrujnowana ściana wieży schodzi uskokiem w podmokłe łąki. Pamiętasz? Namawiałaś mnie przecież, a ja wcale nie chciałem iść! Znalazłem bransoletę tylko dzięki tobie, bo się wtedy tak uparłaś... – Podchodzi do Justyny, próbując w geście dziękczynienia złowić ją w ramiona.

– A... ta druga? – Sama nie wie, czy ma wystarczająco dużo siły, żeby poznać prawdę.

– Ta druga... to już całkiem inna, o wiele dłuższa historia. Jeśli chcesz, opowiem ci, ale kiedy indziej... – Palcami prawej dłoni delikatnie pociera szeroką obręcz na swojej ręce.

– Nie, nie, Daniel... to wszystko nie ma sensu... cały czas kłamałeś, ale już wystarczy! Rób, co chcesz z tym znaleziskiem, nic mnie to nie obchodzi, nie będę cię zatrzymywać ani skarżyć, możesz być spokojny, tylko... nie chcę cię znać! – Łzy wściekłości napływają jej do oczu, jest bezsilna jak osierocone dziecko.

Z impetem wypada z domku, wściekle dudniąc stopami po drewnianych schodach. Jedyne, co jest w stanie ukoić ten dojmujący ból, to ucieczka jak najdalej od Daniela.



ROZDZIAŁ VIII

Po obu stronach pustej drogi ciągnie się równa ściana włodawskich lasów. Wyzłocona jesiennym słońcem jezdnia przypomina wąski tunel wycięty w litej materii drzew. Na piórze wycieraczki konwulsyjnie drga zaplątane pasmo babiego lata.

„Gdzie jest teraz Daniel? Może powinnam go zatrzymać, zabronić jechać do Warszawy, zagrozić, że zgłoszę całą sprawę na policję?”. Justyna doskonale wie, że nie byłaby w stanie zrobić nic takiego.

Podwójna linia ciągła, szosa stromo pnie się pod górę, dobrze, że jest sama na drodze, bo złota poświata bije migotliwym blaskiem, a jej wciąż kręci się w głowie po nieprzespanej nocy.

Wreszcie zjazd ze szczytu wzniesienia. Auto siłą bezwładu toczy się w dół, lecz Justyna nadal nie potrafi rozluźnić napiętych mięśni.

Pod słońce widać z daleka skupisko samochodów.

„Korek? O tej porze? W niedzielę? Tutaj? Niemożliwe...” – Justynę ogarnia niedobre przeczucie. Chciałaby już być tam, zobaczyć, co się stało. Jeszcze jakieś dwieście metrów, sto, siedemdziesiąt... o, już dobrze widać!

Ogromna ciężarówka z ukraińskimi napisami na plandece skrzycona ukośnie stoi prawie w poprzek drogi. Czerwona naczepa zajmuje większą część prawego pasa jezdni. Srebrny policyjny volkswagen pulsuje pomarańczowymi światłami. Chabrowy pas okalający pojazd niepokojąco przywołuje z oddali.

„Wypadek?”. Jej samochód coraz szybciej zbliża się do celu.

Na środku jezdni dwaj policjanci w jaskrawoseledynowych kamizelkach przeglądają jakieś papiery. Obok nich młody mężczyzna w kraciastej koszuli i niebieskich dzinsach trzyma się obiema rękami za głowę.

Nie wiadomo skąd, pojawiają się na sygnale wóz straży pożarnej i karetka pogotowia.

„Będą ciąć blachę? Na pewno są ranni!”. Justyna zatrzymuje swoją toyotę kilkanaście metrów przed policyjnym autem. Jezdnia jest całkowicie zablokowana i nie wiadomo, ile trzeba będzie czekać na możliwość przejazdu.

Młody policjant z drogówki, będący może w wieku jej syna Maćka, stanowczo nakazuje zjechać jak najbliżej prawej krawędzi pobocza.

„Dlaczego nie można ściągnąć tego wszystkiego ze środka drogi? O Boże! Tam chyba jest jeszcze jeden samochód! Też czerwony?”.

Irracjonalny niepokój podsycany wewnętrznym przymusem pcha Justynę wprost do tarasującej drogę ciężarówki. Wyskakuje z samochodu na grafitowy

asfalt. Jak oszalała gna przed siebie, nie zważając na krzyki policjantów. Musi jak najszybciej zobaczyć z bliska, co się tam stało!

W krwistą szoferkę scanii jest dosłownie wbity samochód osobowy. Można rozpoznać tylko markę i ukraińską tablicę rejestracyjną. Ocalały też tylne koła. To czerwony mercedes 200 D.

Prawdopodobnie kierowca w ostatnim odruchu, instynktownie broniąc się przed zderzeniem czołowym, skręcił gwałtownie kierownicą, wystawiając na pierwszy ogień prawą stronę swojego auta. Ale w starciu z tak rozpędzonym z góry kolosem nie miał żadnych szans.

Jeszcze trzy kroki... dwa... ostatni sus i Justyna już jest przy kłębowskiu czerwonej blachy.

Nigdzie nie ma śladów krwi, więc może jednak... jakimś cudem?

Nie widać kierowcy mercedesa, bo ta część auta po prostu zginęła w czeluści rozoranej ciężarówce, pochłonięta przez gigantyczną szufladę naczepy.

A to?! Znajomy strzęp brązowej bawełny? Tak... Boże... Pod nim fragment lewej ręki z migoczącą złym blaskiem bransoletą, która tak intryguje...

Policjant nie zdążył powstrzymać biegnącej Justyny. Dopada do niej w chwili, gdy ta osuwa się bezwładnie na gładki asfalt, tuż obok tylnego koła mercedesa.

Liliowe bańki mydlane otaczają ją coraz ciasniej, bolesnym ciężarem wypełniając całą głowę. Powietrzne kule rozrastają się bezgłośnie, jest ich wciąż więcej i więcej. Wciskają się do oczu, uszu, gardła, oblepiają ręce i nogi, są wszędzie, pączkują jak drożdże. Został tylko wąski przesmyk siniego światła, a w nim widać plecy odchodzącego Daniela. W mgnieniu oka jego jasne włosy, opalone ciało, brązowa koszula i szeroki tatuaż giną wśród mnożących się nieskończenie jak szarańcza, doskonale kulistych obłoków...

*

Z oparów dusznej mgły powoli formuje się pociągła twarz Jacka Meyera. Długi, prosty nos, ciemne brwi w kilku miejscach złamane srebrną żyłką siwizny, wąskie usta, gładkie policzki muśnięte subtelnym zapachem drzewa cedrowego przenikniętego wetiwerem. Dzisiaj jego oczy są kobaltowo niebieskie, bez tej zimnej, szarej tonacji, jak ostatniego dnia w Warszawie, kiedy się żegnali.

Mąż patrzy na Justynę spokojnie, z uważną troską.

– Dzień dobry. Jak się czujesz? – Niski głos dochodzi do niej zza niewidzialnej ściany.

Ależ stęskniła się za nim! Nareszcie jest tuż obok, na wyciągnięcie ręki! Pewny i stanowczy.

– Wszystko będzie w porządku, to tylko stres i przemęczenie, masz dobre wyniki badań, na szczęście nic się nie stało! Tak mnie wystraszyłaś, kochanie... –

Całuje delikatnie jej drobną dłoń z wbitym pod skórę wenflonem.

– Jacek... Nic nie mogłam zrobić! Dlaczego? – Łzy gwałtowną falą tłumią jej słowa.

– To był po prostu wypadek drogowy. Nie miałaś na to wpływu, nie zdręczaj się, przecież to nie twoja wina. – Jacek patrzy badawczo w jej oczy. – Jutro wyjdiesz ze szpitala, pojedziemy do Warszawy, zbadam cię dokładnie u siebie na oddziale... No, nie płacz, proszę! Tęskniłem za tobą... – Kanciastym ruchem poprawia zwisający z łóżka szpitalny koc.

– Nic nie rozumiesz! Niedługo przed wypadkiem rozmawiałam z nim... z Danielem. Spieszył się do Warszawy, do żony i córki... – mówi zmęczonym szeptem, połykając słowa. – Znałam go, razem przecież pracowaliśmy przez całe wakacje. – Ciężkie, ołowiane powieki zamykają się same, wypuszczając na policzki kryształowe paciorki łez.

Już nic więcej nie może Jackowi powiedzieć. Po co? Jakie to wszystko ma teraz znaczenie? Przez ostatnie dwa miesiące zaledwie raz zadzwonił do niej i to tylko dlatego, by mieć pewność, czy ich syn zdecydował się na wcześniejszy powrót z Niemiec... A ona? Pewnie już niewiele go obchodziła... chyba że tak jak teraz... jako przypadek medyczny...

– Musisz szybko wyzdrowieć, bo przecież za parę dni wyjeżdżamy. Pamiętasz? – Czy jest naiwny jak dziecko, czy tylko z lekarską rutyną bada poprawność odruchów pacjentki, nie mając pojęcia, co tak naprawdę dzieje się w jej głowie?

– No nie wiem, mam jeszcze kilka spraw do załatwienia...

W tym momencie Justyna postanawia, że we wrześniu nie pojedzie z Jackiem na Kretę. Najpierw musi odnaleźć Swietlanę w warszawskim domu Marka Bednarczyka, bo jest to po prostu winna Danielowi. A potem? Co będzie potem? Niech się dzieje, co chce... Dlaczego tylko ona ma wciąż starać się, składać te małżeńskie puzzle...? Pulsujący ból głowy rozsadza obolałą czaszkę, ćmi w zębach, świdruje we włosach.

Jak deska z zatopionego okrętu podpływa do brzegu świadomości natrętna myśl: coś musi zmienić w tym niby poukładanym życiu, w którym z pozoru niczego jej nie brakuje... chociaż może tak naprawdę brakuje jej wszystkiego?

Z perspektywy ostatnich dwóch miesięcy spędzonych z dala od męża, wszyscy Meyerowie są teraz tak odlegli, jakby zostali na innej planecie. Justyna nie pamięta, kiedy czuła się równie lekko i swobodnie, bez uwierającego jej barki ciężaru rodzinnej przynależności.

Naprawdę nigdy nie była sobą w tej pospiesznej, głośniejszej Warszawie, a rodzina Jacka dołożyła przez lata starań, by utwierdzić Justynę w przekonaniu, że cokolwiek by zrobiła, i tak nigdy nie będzie dostatecznie dobra, by dopasować się do ich sfery. Tej wydumanej najwyższej, do której oni wciąż aspirowali.

Teściowa Justyny, Gertruda Meyer, poziom swoich życiowych ambicji mierzyła wielkością niezliczonych kapeluszy. Wychodząc pięćdziesiąt lat temu za mąż za skromnego wówczas lekarza Szymona Meyera, miała na głowie mały toczek z woalką. Przez ponad pół wieku małżeństwa rondo jej kapeluszy urosło do rozmiarów rozłożystych bioder, którymi kołysała ciężko przy każdym ruchu, wypróbując wytrzymałość wstawionych niedawno endoprotez najnowszej generacji.

Szymon Meyer był mężczyzną zdolnym spełnić oczekiwania nawet najbardziej wymagającej kobiety: wysoka pozycja zawodowa, uznanie środowiska lekarskiego i pacjentów, wielki dom, w każdy weekend pełen odpowiednio dobranych gości, luksusowy samochód, wczasy w drogich kurortach i coraz większe kapelusze kupowane starzejącej się żonie. Czego można chcieć więcej od życia? Tylko u boku takiego męża jak Szymon mogło spełnić się wszystko, o czym Gertruda marzyła od chwili, kiedy jako zagubiona młoda pielęgniarka z mazowieckiej wsi zaczynała pracę w wielkiej warszawskiej klinice, a łaskawy los postawił na jej drodze pewnego siebie, ambitnego lekarza.

Spełnieniem marzeń Gertrudy Meyer była pozycja brytyjskiej królowej Elżbiety II, która z poziomu trybuny na wyścigach w Ascott, z dumnie podniesionym czołem znosiła wszystkie życiowe porażki i skandale, porównując gnające ze zmiennym szczęściem konie do lat swojego panowania. Lecz Gertruda Meyer podświadomie zdawała sobie sprawę, że w rzeczywistości zatrzymała się w miejscu Barbary Niechcic z *Nocy i dni* – niespełnionej w miłości, sfrustrowanej własnym zubożałym szlachectwem tonącym w błocie serbinowskiego dworku.

W bezsenne noce, kiedy jej głowy nie chronił żaden kapelusz, jak pirackie okręty podpływały do Gertrudy czarne myśli. Bała się wtedy, że Szymon umrze pierwszy, pozostawiając ją samą z tym papierowym imperium. A wtedy ona, w rzeczywistości bezbronna jak sto lat temu niezatopialny Titanic, szybko pójdzie na dno. Teraz nie miała już wyjścia – musiała być z nim do końca. Trzeba było uciekać, kiedy był na to czas...

Ileż to razy planowała, że odejdzie od męża, zanim zostanie wchłonięta przez jego despotyczne mocarstwo, które sama, dobrowolnie i z pełnym oddaniem pomagała mu przez pół wieku budować? Jak często płakała w poduszkę, upokorzona wieścią o kolejnej kochance Szymona, z którą afiszował się na wyjazdowym sympozjum lekarzy? Jaką rolę wyznaczył jej mąż w domu, pełnym przemocy psychicznej i uzależnienia ekonomicznego? Dla doktora Meyera, męskiego szowinisty, kobieta była tylko tańszym lub droższym dodatkiem do życia mężczyzny. Trzymanej na krótkiej smyczy żonie wystarczyło dawać pieniądze, aby przez lata tańczyła w rytm granej przez niego melodii.

Lęk i kompleksy przed dominacją kobiety były tak silne, że jedyną bronią Szymona był brak szacunku i lekceważenie własnej żony.

Ale było coś, co połączyło ich już dozgonnie – to skrywana od lat straszliwa tajemnica: żadne z nich nie potrafiło bezinteresownie kochać, a wszystko w tej narcystycznej rodzinie kręciło się wyłącznie wokół jej dobrego wizerunku na zewnątrz, „dla ludzi”. Własne problemy i sprawy były przedkładane zawsze nad emocjonalne potrzeby dzieci, bo tu obowiązywała jedynie słuszna zasada „dziel i rządź”, w myśl której pozbawieni empatii rodzice nigdy nie liczyli się z uczuciami innych.

Meyerowie mieli dwóch synów: Jacka i młodszego, Piotra.

Pierworodny Jacek od kolebki był przeznaczony do wypełniania rodowej misji: miał kontynuować zawodowe tradycje, odpowiednio się ożenić, najlepiej z kimś z branży medycznej, przedłużyć ciągłość nazwiska, budzić respekt, podziw i zachwyt wśród kolegów i pacjentów, zarabiać pieniądze i w żadnej dziedzinie nie sprzeciwiać się woli rodziców.

Uczucia, wybory, marzenia, zdolności i predyspozycje starszego syna nie miały dla nikogo najmniejszego znaczenia.

Z celów wyznaczonych przez rodziców Jacek osiągnął dwa główne: został lekarzem i miał męskiego potomka. Reszta planów wciąż czekała na realizację.

Za to Piotr – barwny rajski ptak – żył beztrudnie jako niezaplanowane dziecko podstarzałych rodziców. Menopauzalny wybryk hormonów Gertrudy Meyer okazał się darem niebios, rodzinną maskotką, pieszczochem, który bez przeszkód może robić wszystko, na co tylko ma ochotę. Ród nie wyznaczył mu żadnej ambitnej misji, bo Piotr – uroczy lawirant i spryciarz – wymykał się wszelkim kanonom i nakazom. Spokojnie bujał się po całym świecie z kolejną, coraz to młodszą żoną, zostawiając rodzicom płacenie alimentów na czwórkę swoich dzieci z przelotnych związków. Frustracje zawodowe, obowiązki, stała praca czy brak gotówki nigdy nie były jego udziałem. Pojawiał się w domu rodziców niczym kometa: co jakiś czas radośnie przybijał do bezpiecznej przystani w rodzinnym gnieździe i przedstawiał nową ukochaną albo kolejny wyrok alimentacyjny. Podejmowany z honorami wykwintnym obiadem wydawanym na jego cześć, drwił sobie z drobnomieszczańskiego gustu naiwnych gospodarzy, posrebrzanych sztućców na dębowym stole i mosiężnych kandelabrow zdobących zakurzony biały fortepian, na którym nikt z domowników nie umiał grać. Potem, z wrodzonym wdziękiem, wyciągał delikatną rękę po ojcowskie pieniądze, dostawał zapas gotówki i znikał z pola widzenia na następne miesiące, zaszywając się gdzieś na Madagaskarze, Bermudach czy Seszelach, żeby znów niespodziewanie zachwycić zdziwionych rodziców hucznym powrotem.

Kiedy ostatnio Justyna i Jacek spotkali Piotra w centrum handlowym, paradował z wysoką czarnoskórą piękną w zaawansowanej ciąży. Wyglądało na to, że rodzinne życie państwa Meyerów już niedługo przybierze niespotykane dotąd... zabarwienie.

W przeciwieństwie do ekstrawaganckiego Piotra, który wciąż dostarczał dużej dawki adrenaliny, monotoni i przewidywalni Justyna z Jackiem nie wyzwalali w starych Meyerach żadnych emocji. Jacek, na siłę wtłoczony w rodzinny biznes, miał milczący żal do despotycznego ojca, że ten nie pozwolił mu pójść własną drogą, i zapiekły uraz do matki, że nigdy nie potrafiła skutecznie stanąć w jego obronie. Mimo tego zaglądał czasem do rodzinnego domu, gnany płonną nadzieją, że rodzice wreszcie pokochają go, docenią wszystkie starania, bo choć wbrew sobie, ale przecież spełnił pokładane w nim nadzieje.

Ale odgradzeni murem luksusu, nieświadomi niczego Meyerowie, przekonani o swojej nieomyślności, żyli samotnie w ogromnej pustej rezydencji. W pogoni za pieniędzmi, zdeterminowani mocą nazwiska i budowaniem dobrego wizerunku, nie zdążyli zauważyć, że naprawdę są coraz bardziej ubodzy...

Justynie, wychowanej przez troskliwą, pełną ciepła ciotkę Zofię, nigdy nie udało się nawiązać z nimi szczerzej uczuciowej więzi. Teściowie nie tolerowali żadnych słabości: przy nich nie można było pozwolić sobie na łzy, nie wypadało chorować, prosić o pomoc lub wsparcie, a przede wszystkim nie można było być „nikim”. A tak właśnie czuła się Justyna, której najcięższym grzechem, popełnionym już na wejściu do tego wybitnego lekarskiego rodu, był fakt, że nie jest bogatą dziewczyną z „dobrego domu”, ze znanym nazwiskiem i bajecznym posagiem, co zapewne znacznie podniosłoby również prestiż biorącego ją za żonę Jacka i świadczyłoby o tym, że dokonuje on wyłącznie mądrych i odpowiedzialnych życiowych wyborów, zgodnych z życzeniami rodziców.

Ostateczny rozbrat z rodziną męża nastąpił kilka lat temu, kiedy po maturze Maciek, syn Justyny i Jacka, odważnie oznajmił, że nie czuje żadnego powołania do zawodu lekarskiego i nie zamierza studiować medycyny. Jedynym wymarzonego celem, który chciał osiągnąć, było dostanie się na kierunek informatyczny. Doskonałe wyniki konkursów matematycznych, a także świetna punktacja na egzaminie maturalnym otworzyły mu szeroką drogę do spełniania marzeń na warszawskiej uczelni.

W ten sposób, wśród pełnych pogardy spojrzeń, rzucanych przez rozgoryczonych dziadków niby Zeusowe gromy ze zbocza Olimpu, nieodwołalnie została pogrzebana wizja zbudowania silnej dynastii, podtrzymującej lekarskie tradycje w rodzie Meyerów.

Justyna żarliwie popierała wolny wybór dokonany przez syna, ale – ku jej ogromnemu zaskoczeniu – została na placu boju sama, bo Jacek, choć przed laty sam wtłoczony na siłę w lekarski fartuch, teraz wyraźnie był zwolennikiem tezy swojego ojca, że lekarz to jedyny zawód z przyszłością. W dodatku z „tym” nazwiskiem i to w Warszawie...

*

Do mikroskopijnej sali szpitalnej zagląda młody lekarz w nieskazitelnie białym kitlu. Wysoki, przystojny blondyn zdecydowanie przed czterdziestką wygląda jak posągowy model ze świata seriali *latinowood*. Pokryte żelazem, sterczące „na baczność” króciutkie blond włosy mają orzechowy odcień, idealnie zharmonizowany z barwą jego gładkiej, zdrowej skóry, rozchylonym pod szyją kołnierzykiem bawełnianej koszuli, wąskimi nogawkami spodni i eleganckimi skórzanymi pantoflami. Dwoma susami niebotycznie długich nóg pokonuje odległość od drzwi do łóżka, na którym leży Justyna, roztaczając wokół chłodny obłok przydymionej dębowym mchem miętowo-lawendowej wody po goleniu i szczerząc w obłędnym uśmiechu śnieżnobiałe zęby, zagaja beztrąsko:

– Dzień dobry, jak się pani dzisiaj czuje? Mam wspaniałą wiadomość... – Patrzy uważnie na stojak z kończącą się kroplówką: – Myślę, że jutro zostanie pani wypisana ze szpitala. Są też wyniki badań, które zrobiliśmy po przyjęciu na oddział. Wszystko jest w całkowitym porządku i wobec tego możemy się już wkrótce pożegnać! – Z wdziękiem zawodowego tancerza odwraca się w stronę stojącego przy łóżku Jacka Meyera i w geście powitania wyciąga w jego kierunku długą, szczupłą dłoń z cudownie smukłymi palcami. – Witam pana profesora! Nazywam się Kacper Wiślicki. Pracuję w tym szpitalu od kilku lat. Cieszę się, że znowu mogliśmy się spotkać, choć szkoda, że w takich okolicznościach... – Energicznie potrząsa ręką zdumionego Meyera.

– Dzień dobry... Przepraszam, ale zupełnie pana nie kojarzę, proszę wybaczyć, tyle osób przewija się wokół mnie, że trudno spamiętać... – Spłoszony Jacek szuka pomocy, rzucając w kierunku Justyny trwożliwe spojrzenia.

– Oczywiście, wiem, że nie ma co porównywać naszego małego szpitalika do warszawskiego molocha, to rozumiałe, ale zapamiętałem pana profesora z mojego stażu w klinice trzy lata temu. Koniecznie chciałbym być kiedyś takim specjalistą jak pan... – mówi szybko, składając wdzięcznie mięsiste usta, jakby nakręcał przed kamerą kolejne ujęcie serialowego tasiemca.

„Czy ten przystojniak tak zwyczajnie podlizuje się, żeby zwrócić na siebie uwagę, czy może po prostu taki ma sposób bycia?” – Meyer zadaje sobie w myślach pytanie, a głośno mówi:

– Dziękuję bardzo, że zaopiekował się pan moją żoną i tak szybko poinformował mnie o całym zdarzeniu. Niestety, mogłem przyjechać dopiero dzisiaj, bo akurat wczoraj miałem ciężki dyżur... lecz już teraz sam zajmę się wszystkim, zabieram żonę do Warszawy, niedługo wyjeżdżamy na zasłużony urlop, obydwójecie ciężko pracowaliśmy przez ostatnie miesiące... – Jacek sam nie wie, po co właściwie mówi to wszystkemu młodszemu koledze, ale przecież to on powiedział, że chce się na nim wzorować, więc niech uświadomi sobie, jak wygląda codzienność i prywatne życie „autorytetu”.

– Cała przyjemność po mojej stronie... – Wiślicki wygląda na bardzo

z siebie zadowolonego. Widać, że podziękowania kogoś takiego jak profesor Meyer łechcą w nim wielkie pokłady próżności.

Jacek odwraca się w kierunku opartej o poduszkę Justyny, dając Wiślickiemu wyraźnie do zrozumienia, że powiedzieli już sobie wszystko i teraz chce zostać z małżonką sam na sam.

Tymczasem Justyna znowu zapadła w ten charakterystyczny szpitalny półsen, w czasie którego podłączony do kroplówki pacjent zdany jest wyłącznie na łaskę pracującego tu personelu, a jedyne, czego jest w stanie dokonać samodzielnie, to spokojne leżenie w łóżku.

Na tle jasnozielonej pościeli złociście odcina się jej pozbawiona makijażu, mocno opalona twarz o trochę rozmytych rysach. Długie włosy zalegają w artystycznym nieładzie po obu stronach kształtnej głowy. Seledynowa szpitalna koszula w brązowe cętki przypomina wzorzystą dziecięcą piżamę, ujmując Justynie kilkanaście lat.

Wiślicki przez krótką chwilę przygląda się w milczeniu śpiącej pacjentce, po czym, zniżając ostry głos do szeptu, prosi stanowczo:

– Czy zechce pan profesor wyjść ze mną na słówko? Nie będziemy dłużej przeszkadzać pańskiej żonie w odpoczynku... – Bezszelestnie otwiera drzwi na korytarz.

– Oczywiście... – Jacek czuje się coraz bardziej niepewnie.

– Czy jest coś, o czym nie wiem? – Idzie pierwszy, przepuszczony kurtuazyjnie przez Wiślickiego, niecierpliwie zerkając z boku na jego modelową twarz.

Na korytarzu w długim rzędzie stoją niewygodne szare krzesła, przyśrubowane oparciami do metalowej szyny.

– Porozmawiajmy tutaj, wolę mówić bez świadków, a w pokoju lekarzy na pewno ktoś jest o tej porze. Proszę bardzo, panie profesorze! – Wskazuje ręką pierwsze z brzegu siedzisko.

Jacek jest już tak zaniepokojony tą tajemniczością, że ani myśli tracić czas na wygodne rozsiadanie się. Chce tu, na środku wąskiego szpitalnego holu, osiąść jak najszybciej sekret Konrada Wiślickiego.

– Chodzi o moją żonę? To coś poważnego? – Nie poznaje własnego, podniesionego głosu.

– Tak, chodzi o panią Justynę... hmm, nie wiem, jak poważna jest ta sprawa... zostawiam to państwu do rozwiązania... – Widać, że pospiesznie szuka słów, mogących fachowym językiem w jak najbardziej rzeczowy sposób zdiagnozować problem.

– No, niechże pan wreszcie mówi, kolego, bo tracę cierpliwość! – Ostatnie słowo jest w ustach Meyera prawie krzykiem, który zwraca uwagę zdziwionego pacjenta w pasiastej piżamie, wychodzącego z sąsiedniej sali.

– Otóż... pańska żona trafiła do naszego szpitala nieprzytomna, z objawami hipoglikemii. Ale po wykonaniu zestawu standardowych badań okazało się, że... jest pod wpływem alkoholu. Miała we krwi 0,89 promila. Oprócz tego znaleźliśmy też śladowe ilości opioidów. Być może zażyła jakieś... dopalacze? – Konrad Wiślicki kończy swój wywód z wyraźnym uczuciem ulgi.

Meyer wbija w niego osłupiały wzrok.

– Wiem, wiem, co pan czuje, sam byłem zdziwiony, wprost nie mogłem uwierzyć, niestety badanie wykazało takie właśnie stężenie, więc to całkiem niemało jak na kobietę za kierownicą... i do tego te narkotyki... – Bezczelnie patrzy Meyerowi prosto w twarz, mrużąc szkliste koniakowe oczy.

– Nie mam pojęcia, jak to się stało... taka... straszna nieodpowiedzialność z jej strony... – Jacek z trudem przełyka piekącą ślinę. – Nie widzieliśmy się od początku lipca, żona nigdy nie miała problemów z narkotykami ani z alkoholem... zawsze była rozsądną kobietą i dobrym kierowcą... porozmawiam z nią... tym bardziej że teraz pewnie straci prawo jazdy, a mieliśmy w planie wyjazd na południe Europy... – tłumaczy się chaotycznie jak zawstydzony przez nauczyciela sztubak złapany na braku pracy domowej.

– Proszę się uspokoić, panie profesorze, zadbałem o to, żeby cała sprawa nie ujrzała światła dziennego... – Wiślicki konfidencjonalnie zniża głos.

– To znaczy? – Meyer z niedowierzaniem unosi w górę szerokie brwi.

– Tylko ja znam wynik badania krwi pańskiej żony. Przedwczoraj miałem dyżur na izbie przyjęć. Pani Justyna od razu wydała mi się znajoma. Tak pięknej kobiety nie sposób zapomnieć. W Warszawie widziałem ją kilka razy, jak przyjeżdżała po pana do kliniki. Zresztą przecież miała przy sobie torebkę z dokumentami i włączony telefon. Byłem pewien, że to pan jest jej mężem, dlatego od razu zadzwoniłem na pański numer z informacją o całym zdarzeniu. Od razu też położyłem ją w izolatce, żeby miała w naszym prowincjonalnym szpitalu komfortowe warunki. Lecz dopiero kiedy przyszły wyniki badań i zobaczyłem, co się święci, postanowiłem szybko ratować sytuację... – Teatralnie zawiesza głos.

– I? – Oszołomiony Meyer siada z rezygnacją na pierwszym z brzegu krześle. – Co było potem? – Wciąga w płuca chyba cały tlen, jaki jeszcze unosi się w szpitalnym powietrzu, przeżartym odorem środków odkażających.

– Potem? No cóż... potem szybko zamieniłem próbki z materiałem do badań i do szpitalnej kartoteki wpisano, że we krwi pańskiej małżonki nie stwierdzono śladów alkoholu ani czegokolwiek innego... – milknie na krótką chwilę. – W laboratorium szpitalnym pracuje moja przyjaciółka, która dla mnie gotowa jest zrobić wszystko, dosłownie wszystko... – Dumny z siebie Wiślicki pręży pierś, jakby spodziewał się, że teraz skruszony profesor Meyer przypnie mu co najmniej order *Virtuti Militari* za zasługi na polu bitwy.

– Właściwie nie wiem, co mam powiedzieć. Czy dziękować panu za ten

kamuflaż, czy raczej domagać się odkręcenia tego wszystkiego i niech moja żona poniesie odpowiedzialność za swoje czyny ze wszystkimi konsekwencjami... – Meyer sam nie wie, czy ta rozmowa ma jeszcze jakikolwiek sens.

– Z całym szacunkiem, panie profesorze, ale po co pańskiej rodzinie ten skandal? Wie pan, co zrobią lokalne media? Taki *casus* jak ten, to dla nich śmierzcząca pożywka. Zaraz pojawią się w prasie doniesienia w rodzaju: „*Pijana kobieta za kółkiem*” albo „*Prowadząca tegoroczne wykopaliska na Chełmskiej Górcie profesor Justyna J.-M. z Warszawy prowadziła samochód pod wpływem alkoholu i dopalaczy*”, albo jeszcze gorzej: „*Żona znanego lekarza z Warszawy miała we krwi 0,89 promila alkoholu i substancje narkotyczne... grozi jej utrata prawa jazdy i ileś tam punktów karnych*”. Myślę, że to nie będzie dobre dla nikogo... w dodatku cały smród szybko dotrze też do stolicy... – Młody lekarz patrzy iskrzącymi oczami, jakie wrażenie na Meyerze robią snute przez niego czarne scenariusze.

Między obu mężczyznami zawisa ciężkie milczenie. Po chwili Meyer podnosi opuszczoną dotąd głowę i pyta zwyczajnie, jakby chodziło o darmową naprawę samochodu albo ustąpienie miejsca w zatłoczonym autobusie:

– Jak mogę się panu odwdziaczyć? Ma pan jakieś specjalne życzenie? – Właśnie dociera do niego świadomość, że wszystko już wie o tym narcystycznym piękniśniu.

– Chciałbym wyrwać się z tej prowincji do Warszawy... Sam pan widzi, profesorze, że tu nie ma żadnych możliwości rozwoju kariery dla kogoś takiego jak ja... Zwyczajnie się tutaj duszę... – Wiślicki bierze głęboki wdech.

„Może trzeba się mniej wyzywająco perfumować?” – Meyer ma ochotę usadzić tego wypachnionego eleganta jednym dosadnym zdaniem, ale najchętniej przyrznęłoby mu w ten złocisty wygolony pysk, aż posypałyby się na szpitalną podłogę jego śnieżnobiałe zębiska. Wszystkie, co do jednego. Ale ten macho ma pewnie dentystkę, która również zrobi dla niego wszystko, nawet garnitur nowych zębów za darmo, byle tylko pomóc pięknemu nieszczęśnikowi...

– Jak pan widzi mój udział w tym przedsięwzięciu? – Rzeczowo włącza się do z góry przegranej przez siebie walki.

– Wystarczy kilka słów poparcia z pańskiej strony, gdy będę aplikował na posadę rezydenta do warszawskiej kliniki... Pańska przychylność może mi bardzo pomóc... Z góry dziękuję, profesorze... – Jednym zdaniem wyrzuca z siebie podsumowanie całej misternie przygotowanej strategii działania.

– Dobrze, proszę dać znać, kiedy będzie pan potrzebował mojej opinii w tej sprawie... Dysponuje już pan namiarami... zawsze jestem dostępny pod tym numerem telefonu... – Meyer wstaje szybko z krzesła i nie mając nawet zamiaru podania Wiślickiemu na pożegnanie ręki, zmierza w kierunku sali, gdzie leży Justyna.

– Dziękuję bardzo, grunt to solidarność zawodowa... – rzuca bezczelnie na pożegnanie Wiślicki za odchodzącym Meyerem.

– Tak, tak... chociaż z pańską urodą... cóż, minął się pan zupełnie z powołaniem, wróżę panu karierę raczej w innej branży... – Jacek Meyer chce jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem wonnej chmury perfum tego zadufanego w sobie fircyka.

– To tylko stereotyp, powielany od wieków, że piękny znaczy od razu głupi. Uroda bardzo pomaga w życiu, panie profesorze, bardzo... Zresztą proszę zapytać swoją żonę, jak już się obudzi... Pozdrawiam serdecznie...

Diabli wiedzą, czego w tym ostatnim, niedbale wyplutym przez Wiślickiego stwierdzeniu pobrzmiewa najwięcej: próżności, pychy, kpiny czy zwykłej zazdrości...



ROZDZIAŁ IX

Zwilżone wczorajszym deszczem ciężko złote liście przylepiają się do gładkich podeszew zielonych zamszowych czółenek na płaskim obcasie. Pięciopalczaste blaszki opadłych klonów przypominają Justynie rozcapierzone skórzane zelówki wycięte w „szewski poniedziałek” drżącą z przepicia dłonią starego kamasznika, pokaszlującego suchotniczo na szewskim zydelku w zadymionej suterenie narożnej kamienicy, która widnieje już tylko na starych zdjęciach z Chełma.

„Czemu akurat on przypomniał mi się w tym momencie?” – Stara się pozbyć oślizłych szczątków jesieni, trąc na zmianę raz lewym, raz prawym pantoflem o niski krawężnik.

Zamek w toyocie klika znajomo, dając gwarancję, że dobrze nacisnęła immobiliser.

„To na pewno tutaj?”. Konstancińska przedwojenna willa, ciężko posadowiona w zdziczałym ogrodzie, prześwituje beżowo zza wysokiego metalowego ogrodzenia. Czarne kute żerdzie zakończone ostrymi grotami odważnie zniechęcają amatorów złodziejskiej wspinaczki.

Justyna niepewnie podchodzi do masywnej ażurowej furtki.

„Kasztanowa 12? Tak, to ten dom!”. Mocno naciska duży okrągły guzik dzwonka, uwypuklony na czarnej kratownicy.

Posesja, na której rozsiadła się willa, jest dosyć duża, odległość od furtki do domu to jakieś trzydzieści metrów i mimo panującej dookoła jesiennej ciszy nie słysząc, aby wewnątrz budynku odezwał się naciskany przez Justynę gong. Ponawia sygnał kolejny raz. Potem jeszcze następny.

„Nikogo nie ma?”. W ściśniętym gardle dławi piekące rozczarowanie. Przecież tyle sobie po tym spotkaniu obiecywała! A jeśli Marek nie popłynął w rejs? Jak mu wytłumaczy tę wizytę?

„Przyjadę znowu, trudno!”. Sama siebie oszukuje, bo wolałaby już dzisiaj wyrzucić z siebie ten zalegający na dnie serca ciężar.

Na razie jednak dokoła domu niezmiennie panuje przejmująca cisza.

Kiedy ma już odejść do samochodu, coś porusza się przy brązowych drzwiach willi. Justyna mocniej ściska w rękę pasek miękkiej rdzawej torebki.

Ciemne drzwi otwierają się zaskakująco cicho i na progu staje drobna kobieta ubrana w szare dresy. Krótka ścięta blondynka w średnim wieku, z kolorową opaską na czole, jest wyraźnie zaintrygowana pojawieniem się Justyny.

– Dzień dobry! Słucham? – Te trzy słowa wypowiedziane z wyraźnym

rosyjskim akcentem utwierdzają Justynę w przekonaniu, że trafiła pod właściwy adres.

Oblewa ją gorąca fala, ciśnienie krwi pulsuje w głowie jak młot pneumatyczny.

– Czy może mi pani poświęcić chwilę? – Justyna opiera obie dłonie na chłodnych prętach furtki. Kropelki śliny splecione z jej zbyt głośnym pytaniem zawisają na koronkowej nici babiego lata, rozpiętej misternie po drugiej stronie ogrodzenia.

– Ale pani do kogo?! – Mimo że pytania zadaje z oddali, kobietę wyraźnie coś pcha w kierunku Justyny. Jest już dokładnie w połowie ceglanej ścieżki, ciasno ubitej przez czas.

– Musimy porozmawiać! To ważne! – Justyna boi się, że podnosząc głos, spłoszy tę szarą postać, niepewnie, niczym oślepią ćma, zbliżającą się w jej kierunku.

– Porozmawiać? O czym? Przepraszam, ale pana Marka nie ma, a ja nic nie załatwię!

Tak jak obawiała się tego Justyna, kobieta nagle zatrzymuje się w miejscu. Na szczęście od furtki dzieli ją dwa, może trzy metry i Justyna jest zupełnie pewna, że po tylu latach po raz pierwszy ma okazję zobaczyć Swietlanę. Nie może już dłużej czekać.

– Swieta, nie odchodź, mam dla ciebie ważną wiadomość. To ja, Justyna! Pamiętasz Chełm? Nasi dziadkowie? Rodzina Jankowskich? Swietłana! – Justyna prawie krzyczy, wciskając rozpaloną twarz pomiędzy metalowe żerdzie.

– *Hospodi! Hospodi!* Justynka! Boże mój! – Swieta już jest przy furcie, nerwowo przetrząsa kieszenie burej bluzy w poszukiwaniu kluczy.

Justyna odsuwa się od ogrodzenia. Czuje, że każdy mięsień w jej ciele jest napięty jak struna. Najważniejsze, że w końcu się spotkały! Teraz już nie może się wycofać.

Swietłana niemal równocześnie otwiera dolny i górny zamek, cały czas uważnie przyglądając się Justynie. Wreszcie! Ze szlochem padają sobie w ramiona.

– O Boże! Dlaczego tyle lat milczałaś? Swieta?! – Justyna całuje kuzynkę w oba policzki.

„Jak ja jej powiem, że Daniel nie żyje? Tak od razu?”. Łzy cisną się do oczu ze zdwojoną siłą.

– Co tu robisz, Justynka? – Swietłana ma wciąż tak samo zalotnie wydęte usta, tylko teraz ciemna warstwa brunatnoorzechowej szminki sprawia, że trochę mniej rzuca się to w oczy. Kilka dodatkowych zmarszczek wokół oczu podkreśla błękit obrysowanych ultramaryną tęczęwek.

– Przypadkowo dowiedziałam się, że pracujesz tutaj, a ja przecież mieszkam w Warszawie, niedaleko stąd. – Justyna dopiero teraz uświadamia sobie, że willa

Bednarczyka jest o jakieś pół godziny drogi od jej osiedla.

– Chodź, wejdźmy do domu. Wprawdzie nie jest mój, ale zapraszam cię na herbatę. – Swietłana jest po słowiańsku otwarta i szczerza. – Co za spotkanie! Co cię tu przyniosło? – Swieta niczego nie podejrzewa, kiedy wpatrzone w siebie wchodzą do mrocznego korytarza.

Olbrzymia szafa z ciemnego drewna, brunatna podłoga wyłożona niesymetryczną kamienną kostką i głęboki zapach palonej kawy, cygar, gorzkiej czekolady, ciężkiego piżma i drzewa sandałowego przenoszą Justynę w atmosferę chełmskiego domu Marka Bednarczyka i jego matki.

– Marka nie ma w domu? – Upewnia się, jak cień podążając za Swietłaną do przestronnej, jasnej kuchni.

W bujanym fotelu z białej wikliny wyleguje się smoliście czarny, puszysty kocur. Niedbale rozłożony na plecionym siedzisku wcale nie zwraca uwagi na głośną obecność kobiet.

– Marek popłynął w rejs, jeszcze w lipcu. Być może wróci na Boże Narodzenie... – Swietłana nagle odwraca się twarzą w stronę Justyny.

– A skąd ty znasz Marka? Przecież on nigdy nie mówił... No siadaj, siadaj! – Podsuwa Justynie duże białe krzesło. Sama szybko podchodzi do ozdobionego ażurowym gzymsem kredensu i włącza stojący na szerokiej ladzie elektryczny czajnik. – Napijesz się kawy czy herbaty? – Oszklone grubo ciętym szkłem drzwiczki skrzypią gościnnie. Monotonną szarość i biel kuchni przełamują jaskrawe kolory kilku kanciastych metalowych puszek ukrytych w czeluści szafki.

– Herbatę proszę... – Justyna czuje, że całkiem opadła z sił. A przecież najgorsze dopiero przed nią. Jak ma to zrobić? Może jednak nie dzisiaj? Bo teraz przecież muszą się poznać na nowo... Ciężko osuwa się na podsunięte przez Swietłaną krzesło.

Czarne kocisko lekko mruży seledynowe oczy i leniwie przeciąga się, prężąc najpierw przednie, potem tylne łapy. Z gracją robi koci grzbiet, ziewa bezgłośnie, pokazując jaskraworóżowy język i ostre zęby. W końcu ze stoickim spokojem przewala się na drugi bok, wprawiając fotel w ledwo uchwytnie drgania.

– Mefisto, leniu, mamy gościa, a ty odwracasz się plecami do towarzystwa! – Swietłana głaszcze kruczy aksamit lśniącego futra. – Dziwne, ten kocur jest zawsze taki nieufny, a ciebie przyjął jak swoją. Może byłaś tu kiedyś? – Zdumiona patrzy na Justynę.

– Chyba że w innym wymiarze! – Justyna przywołuje pamięcią kocią rodzinę wylegającą się godzinami na kanapie w stylowym salonie Bednarczyków.

„Wszystkie czarne koty są takie same, to niesamowite!”. Stara się zracjonalizować sytuację, ale mimo wszystko przed sobą widzi jedynie tamtego Baltazara i Balbinę sprzed wielu lat.

– Odkąd mieszkam tutaj, to Mefisto na stałe gości w domu. Wcześniej było

to niemożliwe, bo Marek, który jest ciągle w rozjazdach na coraz innym morzu, nie mógł sobie pozwolić na zostawianie w domu żywej istoty. – Swieta po kobiecemu sprytnie bada stopień zażyłości Justyny z Markiem.

– Marek to mój kolega z czasów młodości. Wiem, że jest marynarzem. Byłam w wakacje w Chełmie i spotkaliśmy się tam pierwszy raz po wielu latach, wtedy dał mi ten adres, tutaj, do ciebie... – Justyna trochę chaotycznie stara się wytłumaczyć swoją obecność w domu Bednarczyka, bezbłędnie wyczuwając niepokój Swiety.

– A skąd wiedziałaś, że ja to... ja? Marek ci mówił, że mieszkam u niego? Przecież mieliśmy tego nie rozgłaszać. – Swieta nagle staje się podejrzliwa.

– Zaraz wszystko ci opowiem, to nie tak, jak myślisz. – Teraz już wie, że przed nią twardy orzech do zgryzienia. Marek i Daniel – oni dwaj i one obie. Całkowity surrealizm sytuacji.

Kłęb pary z czajnika swojsko bulgocze w powietrzu i Swieta wlewa wrzątek do dwóch dużych niebieskich kubków.

– Słodzisz? – pyta, stawiając na stole aromatycznie dymiące naczynia.

– Nie, dziękuję. – Justyna delikatnie porusza nitką ekspresowej torebki. Woda w kubku szybko przybiera głęboko złocistą barwę. Nad stołem unosi się zapach mocnych garbników i momentalnie to stare, obce wnętrze staje się przytulne, gotowe przyjąć wszystkie historie.

– Czym się zajmujesz w Warszawie? – Swietłana pociąga łyk herbaty, parząc przy tym złożone w dzióbek usta.

– Od dawna mieszkam tu i pracuję. – Justyna zdaje sobie sprawę, jak wiele się zmieniło od czasu ich dzieciństwa.

– Masz męża? Dzieci? – Swieta patrzy w bok na śpiącego w fotelu kota.

– Mam dorosłego syna – jeszcze studiuje. I męża. Jest lekarzem. A ja pracuję na uczelni, jestem archeologiem. – Nagle czuje się gorsza, winna, że ona ma to wszystko, a Swieta siedzi kątem u Bednarczyka, teraz jeszcze w dodatku nieświadoma, że jej mąż nie żyje.

– Archeologiem? Ach! To już wiem, co was łączy! – W głosie Swietłany słychać wyraźną ulgę. – Marek niedawno powiedział, że w wakacje, kiedy był u swojej matki w Chełmie, oglądał wykopaliska na tej Wysokiej Górze. Ale nie wiem, o co chodziło, bo nie poruszał więcej tego tematu. Wydaje mi się, że po powrocie stamtąd miał jakieś kłopoty. Może był wściekły na kogoś? Słyszałam, jak kilka razy głośno rozmawiał przez telefon, a potem ze złości rzucał aparatem. On nigdy mi się z niczego nie zwierza. Bo w końcu dlaczego miałby to robić? – Swieta mówi coraz ciszej, z każdym słowem tracąc pewność siebie. Patrzy na Justynę z nieskrywaną zazdrością, stwierdzając bez złudzeń, że w rywalizacji o względy Marka nie ma z nią żadnych szans.

Justyna, wyczuwając te wątpliwości, próbuje spokojnie wyjaśnić:

– Lubię Marka, bo trudno go nie lubić, kiedyś razem studiowaliśmy, ale potem nasze drogi rozeszły się na długie lata i dopiero przypadkowe spotkanie w Chełmie sprawiło, że wróciły wspomnienia. Tylko wspomnienia i nic więcej... – Litość i nagły strach podsuwają jej myśl, że w tych okolicznościach mówienie dzisiaj o śmierci Daniela będzie wobec kuzynki zwykłym barbarzyństwem.

– Tak, Marek to dobry człowiek. Zawdzięczam mu bardzo wiele. Doglądam jego domu i cierpliwie czekam na każdy powrót z rejsu. Płaci mi dobrze. To bardzo ważne dla mnie. Mam na utrzymaniu Antosię. – Święta załzawionymi oczami spogląda załzawioną na Justynę. – To moja jedyna córka. Teraz jest w szkole. Marek pozwolił nam tu mieszkać. Ale nie wiem, co zrobię, gdy przyjdzie wrócić do Kijowa... – Wbija szklisty wzrok w gałęzie wiązu, migoczące złością za szybą starannie umytego kuchennego okna. – Tam nie mamy już nic... – Zdanie kończy ledwie słyszalnym szeptem.

– Wiem, że jest ci ciężko... – Justyna powoli stara się naprowadzać Świętę na temat Daniela. – Twoi rodzice nie żyją, a co z ojcem Antosi? – Delikatnie sonduje temat.

– Długo by mówić. Stare dzieje. – Święta niechętnie wraca do przeszłości.

– Opowiesz mi coś o sobie? – Justyna wstaje od stołu i cicho podchodzi do wyplatanego fotela. Ostrożnie wyciąga dłoń i delikatnie przesuwa nią po smolistym grzbiecie Mefista. Kot nawet nie otwiera oczu, nie robi żadnego ruchu, tylko głębokim mrużeniem przez sen z lubością przyjmuje jej pieszczoty.

– Całe życie uciekam przed kimś albo przed czymś. Taki już widocznie mój los... – Święta ciężko siada za stołem.

Justyna obiema rękami ostrożnie podnosi rozspanego zwierzaka i układa go na zmarzniętych kolanach, rozsiadając się wygodnie w fotelu.

Dobrze odżywiony Mefisto jest bezwolny i ospały jak pluszowa zabawka.

– Oj, Mefisto, skoro ty zaufałeś Justynie, to i ja też mogę... – Święta obejmuje drobnymi rękami błękitne ścianki parującego naczynia. – Wiesz, kto to jest alkoholik? – Niespodziewanie rzuca pytanie bardziej w stronę szarego kredensu niż w kierunku Justyny.

– No, pewnie, że wiem. – Zaskoczona Justyna przytakuje bez przekonania.

– A spędziłaś z kimś takim choć kilka dni w życiu? Kiedy był w ciągu? – Święta wyraźnie liczy na przeczącą odpowiedź.

– Raczej nie... nikogo takiego nie znam... – Justyna mówi wolno, chociaż jest tego całkowicie pewna.

– Wobec tego możesz się uważać za szczęśliwą osobę. – Święta nerwowo pociera dłońmi grubą porcelanę.

Justyna nie ma teraz czasu, żeby zastanowić się nad definicją swojego szczęścia.

– Ale kto wie, na czym naprawdę polega szczęście? – Świętłana prostuje

skulone plecy, wzrokiem szukając odpowiedzi w błękitnych oczach kuzynki.

– Myślę, że to, czy jesteś szczęśliwa, zależy tylko od ciebie samej. – Justyna zdaje sobie sprawę, że życie ich obu toczy się w dwóch różnych wymiarach.

– Miałam wspaniałych rodziców. – Swietłana upija mały łyk herbaty. – Kochali mnie. Byliśmy dla siebie wszystkim. Do czasu śmierci ojca. Wiesz, Justyna, że mój tato stale był na rauszu? Podpity dzień w dzień. Zawsze. Ale mamie i mnie nigdy to nie przeszkadzało. Czasami niepokoił mnie tylko ostry zapach jego potu i drżące ręce. Wtedy wszyscy mężczyźni byli dla mnie tacy sami: hałaśliwe olbrzymy z szerokimi twarzami zasnutymi poplątaną siatką naczyń krwionośnych, rubasznym śmiechem pluający na wszystko przez złote zęby.

Ojciec nie chodził do lekarza, nigdy się nie badał, bo wierzył, że jest zdrowy, skoro codziennie może pić. Nie miał czasu na słabości. Konserwował się samogonem. W partyjnej książeczce mnożyły się pochwały roboty wykonanej ponad plan, szuflada pełna była medali, a coraz większe kwoty premii pozwalały nam żyć na dobrym poziomie.

Pewnej marcowej nocy pękła misterna woal z czerwonych nici i cała krew uderzyła mu do głowy. O szóstej rano mama znalazła sztywne ciało ojca na drugim schodku naszej werandy. Z głową odrzuconą na wschód leżał prawie nagi, jedynie czarne slipki bezwstydnie odsłaniały pasmo sztywnych włosów łonowych. Prawe ucho i policzek były granatowo-sine. Lekarz powiedział, że wysokie ciśnienie rozerwało mu wszystkie tętnice w głowie. Kiedy w nocy źle się poczuł, nie obudził nikogo, tylko sam wyszedł na dwór ochłonać. Ostatni wieczór spędził na urodzinach wujka Miszy Aleksandrowicza, kolegi z pracy. Jak zawsze pili dużo, jedli tłusto, śmiali się szczerze. Późnym wieczorem wrócił do domu mocno wstawiony i od razu położył się spać. Dziwne było to, że mama nawet nie była na niego zła.

„Ot, upił się papka, do rana będzie trzeźwiął, a potem znowu do roboty...” – powiedziała do mnie z rezygnacją, może przeczuwając nadchodzącą tragedię?

Towarzysze z zakładu maszyn rolniczych trzymali straż wokół otwartej trumny, w której Iwan Fiodorowicz Karpow odbywał ostatnią drogę przez swoje miasteczko. Potem był szaro otynkowany dom kultury – w korytarzu stalinowskiego gmaszyska na kulawym stojaku pysznił się przepasany kirem retuszowany portret, nijak niepasujący do leżącej w trumnie postaci. W tle wybrzmiało kilka pogrzebowych mów: sekretarza partii, przodownika pracy i jakiejś szychy z „naczalstwa” w *obłasti*. Aż do bram cmentarza żałobna orkiestra zakładowa fałszywie grała monumentalne komunistyczne marsze.

Pod lasem, w pośpiesznie rozkopanym piachu, czekał niezbyt głęboki grób wypełniony do połowy wodą z marcowych roztopów. Chlupot topionej w dole trumny do dzisiaj śni mi się po nocach. Nie lubię wiosny, nigdy nie przynosi mi nic dobrego... – Swietłana kurczy się na krześle. Jej drobna postać nie wygląda teraz

na więcej niż piętnaście lat. – Właściwie to nie lubię już żadnej pory roku. – Wbijają martwy wzrok w jakiś bliżej nieokreślony punkt na ścianie.

Zawieszony nad masywnym kredensem okrągły zegar tyka równo, odmierzając nieubłagany czas. W kompletnej ciszy głośno upływa każda sekunda ich spotkania.

Pod ręką Justyny pulsuje tętno kociego serca. Z szarych poduszek przedniej łapki Mefisto wysuwa lekko zakrzywione pazury.

– Mama upiła się już trzeciego dnia po pogrzebie ojca. Kiedy rozjechała się rodzina, rozeszli sąsiedzi i znajomi, a ja poszłam do szkoły, ona nie umiała zostać sama. Odtąd piła codziennie, wszędzie, w każdym miejscu: na cmentarzu, nad grobem ojca, na werandzie, w łóżku, w kuchni, w piwnicy, na ulicy, na stacji kolejowej, w ogrodzie, na melinach.

Dyrektor fabryki konserw bez skrupułów wysłał ją na wcześniejszą emeryturę, pozbywając się kłopotu. Wtedy życie zupełnie straciło dla niej sens. Zapita i obdarta poniewierała się na trawnikach w parku miejskim, pokładała na śniegu przed domem, skomlała na klęczkach przed zdjęciem ojca na nocnym stoliku, a kiedy tylko zaczynała trzeźwieć, bolesny powrót świadomości kazał jej znowu się upijać. Potem zaczęła wynosić z domu wszystko, co można było wymienić na samogon. Zapięła w swoim bólu, że mną nie liczyła się wcale, jakby nie chciała widzieć, że wciąż przy niej istnieje. Jedyne, czego potrzebowała, to pić, stale pić...

Nienawidziłam jej wtedy tak bardzo! Bezzębna, poobijana, brudna i cuchnąca przynosiła mi niewyobrażalny wstyd! Szybko stała się niechlubną wizytówką naszego miasteczka. Ludzie mówili o niej z pogardą „Polaczka-Pijaczka” i w zamian za butelkę mętnego, niedojrzałego bimbru bez skrupułów wzięli od niej w lutowy mroźny wieczór nawet szeroką złotą obrączkę. Samogon był jej wtedy bardziej potrzebny niż pamiątka po mężu...

Na krótką chwilę Swieta zakrywa twarz rękami, po czym rzuca rzeczowe pytanie:

– Czy wiesz, że kobietę o wiele trudniej jest wyprowadzić z nałogu? – Smutno zagląda do pustego kubka.

Justyna przecząco kręci głową. Mefisto zwinął się w ciasny kłębek i nie wiadomo, gdzie są jego spiczaste uszy, a gdzie puszysty ogon.

– W maju, na pięćdziesiąte szóste urodziny mojej matki, zrozumiałam, że trzy lata wcześniej straciłam nie tylko ojca. Wtedy straciłam wszystko: rodziców i dom. Zostałam sierotą. Nie mogłam tak dłużej żyć. Czułam, że muszę coś zrobić, bo inaczej źle skończę.

Moja przyjaciółka Lena namówiła mnie na wyjazd jak najdalej od tego miejsca. Razem zdałyśmy maturę i egzaminy na uniwersytet w Kijowie. Na ten sam kierunek – język rosyjski. Zamieszkałyśmy w akademiku. Po raz pierwszy

w życiu poczułam smak wolności. Już nie towarzyszył mi strach o matkę: wróci, nie wróci? W jakim będzie stanie? Co tym razem wyniesie z domu?

Wreszcie zajęłam się wyłącznie sobą. To był wspaniały czas! Nigdy więcej w życiu nie byłam tak pewna siebie! – Swieta odsuwa się od stołu na wyciągnięcie ręki.

– Postanowiłam, że więcej nie pokażę się w moim miasteczku, bo i po co? – Szuka w oczach Justyny zrozumienia, poparcia dla swojej decyzji.

– Myślę, że zrobiłaś wtedy to, co było najlepsze dla ciebie. Nie wiem, jak zachowałabym się na twoim miejscu. – Justyna czuje wielką ulgę, że nie musiała nigdy dokonywać takich wyborów.

Swietłana snuje swoją opowieść zupełnie tak, jakby przedstawiała Justynie kolejny odcinek rodzinnej sagi. Siedzą przy herbacie niczym dwie przyjaciółki, które dawno się nie widziały i teraz muszą nadrobić stracony czas.

– Na ostatnim roku studiów poznałam Daniela. Pochodził z Kijowa. Kończył właśnie archeologię. Mieszkał z rodzicami w jednorodzinny domku pod miastem. Jego ojciec był inżynierem w fabryce silników lotniczych, a dwie starsze siostry nauczycielkami, podobnie jak ich matka. – Na moment zawiesza głos. – Wtedy zawód archeologa miał wielką przyszłość. Zresztą jak każdy inny w Związku Radzieckim. To były czasy! Życie miało sens! Ja zaczęłam uczyć rosyjskiego w kijowskiej szkole średniej. – Swietłana wyraźnie się ożywia. – Rodzina Daniela przyjęła mnie do swego grona z otwartymi rękami. W jego matce znalazłam prawdziwe oparcie. Wreszcie przestałam się czuć okaleczona przez los. Dzięki Danielowi miałam wrażenie, że żyję w pełnym słońcu. Rozkwitłam...

Wbrew wypowiedzianym słowom Swietłana smutno spogląda na Justynę.

– Jacy byliśmy zakochani! Jacy szczęśliwi! Miłość... Wiesz, jak to jest, Justyna, prawda? Kochać mężczyznę całą sobą, przeżyć z nim to, co najpiękniejsze. – Swietłana bezszelestnie podchodzi do kuchennego okna, jakby za szybą, w zdziczałym ogrodzie, chciała wypatrzeć tamte dobre dni. – Ślub w urzędzie, małe mieszkanko w wielkim bloku, które władza dała na początek drogi rozwojowego naukowca. Z pomocą jego ojca zaczęliśmy budować własny dom na podmiejskim osiedlu. Szybko kupiliśmy nowe Żiguli/Łada 1200 – wymarzony samochód dla takich jak my.

Piekielnie zazdrosny Daniel nie opuszczał mnie nawet na krok. Przez pierwsze kilka lat praktycznie nie rozstawaliśmy się na dłużej niż trwał jego dzień pracy i moje lekcje w szkole. Każde wakacje spędzaliśmy na Krymie. Tam był nasz raj. Dobry czas mijał tak szybko! Mieliśmy po trzydzieści lat i praktycznie wszystko, co można sobie było wymarzyć w tamtym ustroju. Wszystko... oprócz dziecka.

Widziałam, jak Daniel szaleje za czwórką swoich siostrzeńców. Co sobotę kupował im całe mnóstwo zabawek i słodyczy. Był dla nich ukochanym, dobrym

wujkiem. Wkrótce każde spotkanie z jego rodziną zaczęło być dla mnie koszmarem. On, jak mały chłopiec, w najlepsze bawił się z dziećmi, od czasu do czasu posyłając mi rozpaczliwe, pełne tęsknoty spojrzenia. A ja nic nie mogłam zrobić.

Matka i siostry Daniela na zmianę polecały mi dobrych lekarzy. Przeszłam mnóstwo badań, Daniel zresztą też. I choć z medycznego punktu widzenia oboje byliśmy zdrowi, dziecka wciąż nie było. – Święta obejmuje rękami poręcz białego krzesła. – Pierwszy poddał się Daniel. Zaczął coraz później przychodzić z pracy i coraz częściej był pijany. Szybko stwierdził, że jedyną osobą winną wszystkiemu jestem ja... – Widać, że każde słowo zaczyna sprawiać jej ból. – A ja miałam wrażenie, że to kara boska: zostawiłam matkę, zerwałam kontakty z własną rodziną. W końcu musiałam za to zapłacić. Ale jaka kara boska? Przecież nie wierzyłam w żadnego Boga! W kościele byłam ostatnio jako dziecko, kiedy z rodzicami przyjechałam do dziadków w Chełmie.

Wpędzana przez Daniela w poczucie winy myślałam coraz częściej o tym, czy to Bóg nas opuścił, czy my opuściliśmy Boga? Przez całe życie nikt nie potrzebował ode mnie wiary. Nawet ja sama. Może tak nie można żyć? Może tego mi brakowało? Pomocy opatrności? Cudu?

Któregoś dnia po pracy, gnana niewyjaśnioną siłą, poszłam prosto do małej cerkwi, którą dotąd codziennie obojętnie mijałam. W świątyni nie było nikogo. Duszne majowe piwonie amarantowymi obłokami spowijały kapiący złotem ikonostas. Uklęłam w marmurowym przedsionku, z rezerwą chyląc głowę przed majestatem. Przecież nawet nie umiałam się modlić! Na ugiętych kolanach wyrzuciłam z siebie cały mój ból:

„Boże mój, nie karz mnie dłużej, pozwól mi mieć dziecko! Przysięgam, będę najlepszą matką, zniosę wszystko, tylko pozwól mi je mieć!”

Nie wiem, ile czasu błagalnie klęczałam na zimnej posadzce, w każdym razie zrobił się wieczór i dwie staruszki trzymające w pomarszczonych dłoniach cienkie świece uklęły obok mnie z cichym zgrzytaniem wyschniętych stawów. Modliły się bezgłośnie, zerkając z wymownym zrozumieniem na moją zalaną łzami twarz.

Przed ikonostasem zabłysły światła i bezszelestnie pojawiło się jeszcze kilka starych kobiet w czarnych chustkach na głowach. Ruch powietrza wywołany falowaniem ich ciemnych, długich płaszczy na krótką chwilę rozrzedził mdlącą atmosferę. Młody, brodaty pop rozpoczął odprawianie nabożeństwa. Jego piękny, niski głos drgał akustyczną basową falą. Gęste, wonne kadzidła narkotycznym dymem wypełniły każdy zakątek cerkwi. Chóralna pieśń przeniknęła mnie na wylot:

„Niechaj uciszy się wszelkie ludzkie ciało (...), niech oddali każdą myśl ziemską...”

W otwartych na oścież dwuskrzydłowych drzwiach zapachniało majowym

deszczem. Przepelniona niewidzialną mocą wyszłam ze świątyni pewna, że moje prośby zostaną wreszcie wysłuchane... – Swietłana mówi coraz ciszej, zupełnie jakby wciąż kłęzczała w cerkiewnym przedsionku.

Justyna nawet nie podnosi wzroku. Czuje, że najgorsze dopiero przed nią.

„To twoja wina! – Daniel wreszcie wykrzyczał mi w twarz tamtej nocy, po powrocie z pijackiej libacji. – Dlaczego nie możesz urodzić mi dziecka? Nie kochasz mnie? A może masz kogoś innego?”

Miotał się wściekły po całym pokoju. Nigdy wcześniej nie widziałam go w takim stanie. Zielone oczy świeciły diabelskim blaskiem. Śmierdział wódką, papierosami i tanim jedzeniem. Alkohol unifikuje pijących. Każdy człowiek, czy to kobieta, czy mężczyzna, wydziela tę samą woń. Dawno zapomniany odór przypomniał mi zapitą, nieszczęśliwą matkę.

„No, powiedz, z kim się łajdaczysz? Byłem po pracy w domu, ale ciebie nie zastałem! Czekałem kilka godzin! Gdzie byłaś? Dokąd chodzisz, jak mnie nie ma? Kto to jest?! – Stał przy naszym małżeńskim łóżku jak kat gotowy do wykonania wyroku. – Z kim byłaś? Mów!” – wrzeszczał coraz głośnie.

„Uspokój się, Daniel!”. Pierwszy raz w życiu bałam się go, jak nigdy dotąd nikogo.

„Kto to?! Kto to jest?! – Rozwścieczony odrzucił kołdrę i zwałił się na mnie całym ciężarem. – Dowiem się wreszcie czy nie? – Dyszał mi w twarz z tępych pijackim uporem. – Nie pozwolę, żebyś mnie zdradzała, nie dam ci odejść! Nigdy! Jesteś tylko moja! Znajdę go i zabiję, swolocz!”

Był coraz bardziej brutalny, ze ślełą furią wgniał mnie w łóżko, gdzie tyle razy uwielbiałam się z nim kochać.

„Daniel, błagam, przestań! – Przywalona jego twardym ciałem prawie nie mogłam już wydobyć z siebie głosu. – Poszłam do cerkwi pomodlić się o cud, Daniel!”. Byłam pewna, że udusi mnie nachalnymi, jadowitymi pocałunkami.

„No to cudu nie będzie, cerkiew ci nie pomoże, żaden bóg ci nie pomoże, bo go nie ma. Słyszysz?! Nie ma! Ale ja jestem i tylko ja sprawię ten cud! – Rwał w strzępy błękitną koszulę nocną, którą sam podarował mi na ubiegłoroczną gwiazdkę. – Jesteś moja! Zapamiętaj sobie! Zawsze już tak będzie! Pamiętaj! Kocham cię!” – wył jak dzikie zwierzę, rozprawiając się bezwzględnie z moim ciałem na wszelkie możliwe sposoby.

Swietłana odwraca się twarzą w stronę poblądłej Justyny.

– Tamtej nocy umarłam. Moja dusza wyszła z ciała i zawisła bezsilnie nad poniewieranymi przez Daniela doczesnymi szczątkami jego żony. Widziałam, jak on na siłę bierze w gwałtowne posiadanie tylko bezwolną materię, zagarnia ją pod siebie niczym marny strzęp i w końcu odrzuca na skraj łóżka jak zużyłą ścierekę...

Błękitne oczy patrzą zimno na zalaną łzami twarz Justyny.

– Płaczesz za mnie, Justyno, prawda? – Swieta drżącym ciałem przytula się

do ramion kuzynki. Niewzruszony kocur wciąż mruczy leniwie na kolanach Justyny.

– Niewyplakane łzy tamtej nocy zostały we mnie do dzisiaj. Mam je tu, w środku, przy sercu, niczym drogie kamienie, wciąż zalegają we mnie diamentowym ciężarem...

Daniel zrujnował nasze życie i małżeństwo. Nie mogłam już dłużej z nim być. Sam jego widok napawał mnie wstrętem. Postanowiłam, że jak najszybciej znajdę pracę w innym mieście i po cichu wyjadę. Ucieknę tak samo, jak kiedyś wyniosłam się od matki.

Ale tamta noc nie powtórzyła się nigdy więcej. Bo tamtej nocy jednak stał się cud – nareszcie byłam w ciąży! Na wieść o tym mój mąż oszalał! Przestał pić, nie spotykał się z kolegami, po pracy wracał prosto do domu. W trosce o dobro dziecka, ciąża stała się dla mnie doskonałą wymówką do całkowitej separacji od łóżka.

Daniel wyremontował najmniejszy pokój, do którego przenieśliśmy się z naszej sypialni. Kupił łóżeczko i małe mebelki. Codziennie chodził do rodziców, dzwonił do sióstr, wypytywał o wszystko, co może pomóc w urodzeniu zdrowego dziecka. Biegał ze mną do lekarza, kupował witaminy, niecierpliwie czekał na rozwiązanie.

A ja? Już z całego serca kochałam to maleństwo, które żyło we mnie. Za to nienawidziłam Daniela. Chociaż mijały miesiące i żadne z nas nigdy nie wspomniało tamtego zdarzenia, ja wciąż nie mogłam uporać się z przeżyciami majowej nocy. Zranił mnie tak, że nie byłam mu w stanie wybaczyć. Już nigdy nie byliśmy razem.

Antosia urodziła się pod koniec ósmego miesiąca ciąży. Przyplątało się zatrucie ciążowe i lekarze musieli przed terminem zrobić mi cesarskie cięcie. Na szczęście dziecko było zdrowe i silne. Daniel chciał, żeby na pierwszy miesiąc życia małej wprowadziła się do nas jego matka. Ale ja nie potrzebowałam niczyjej pomocy. Chciałam sama zajmować się malutką córeczką. Może to sprawiło, że jesteśmy tak bardzo zżyte do dzisiaj? I nierozłączne. – Swietłana tęsknym wzrokiem spogląda na zegar. – Niedługo Antosia wróci ze szkoły. Zjemy obiad, a potem ona pojedzie na lekcję gry na skrzypcach. Musi jak najwięcej ćwiczyć, bo ma wielki talent. – Twarz Swiety wygładza się i nagle ubywa jej co najmniej dwadzieścia lat.

„Tak, przecież Daniel mówił, że ich córka jest uzdolniona muzycznie i Swieta zrobi wszystko, żeby tylko umożliwić jej granie – Justyna przypomina sobie strzępy historii zasłyszanej przy pożegnalnym ognisku nad jeziorem. – Niemożliwe, żeby on był zdolny do takiej podłości, to wprost do niego nie pasuje!”. Nie może pogodzić się z myślą, że człowiek, z którym spędziła dwa wspańskie miesiące, był tak brutalny wobec własnej żony.

– Córka stała się moim całym światem. Całkowicie poświęciłam się jej wychowaniu. Mąż był tylko obcym, straconym człowiekiem. Nigdy więcej nie kochaliśmy się, mimo że wiele razy próbował zbliżyć się do mnie, szukając bezpowrotnie utraconej bliskości. Moje ciało, sparaliżowane panicznym lękiem, reagowało wstrętem na jego spojrzenie i dotyk. Nie było już tamtego Daniela, którego kiedyś tak kochałam. Zniknął bezpowrotnie z mojego życia. – Swieta wyjmując z lodówki mały, zielony garnek i stawia go na ceramicznym blacie elektrycznej kuchenki. Jakby nigdy nic, zmienia całkowicie temat rozmowy:

– Podgrzeję zupę, bo Antosia będzie miała mało czasu na obiad. A może zjesz z nami, Justyna? Ugotowałam ogórkową. – Wyjmując z kredensu trzy głębokie talerze i ustawia je na słomianych serwetkach rozłożonych na stole.

– Nie, dziękuję, nie jestem głodna. – Justyna wbrew sobie kłamie z premedytacją, bo przecież od zjedzonego w pośpiechu śniadania minęło już kilka godzin.

– Oj, posmakujesz trochę mojej kuchni. – Czyżby Swieta wyczuła w jej głosie oszustwo?

– Dobrze, ale malutko! – Justyna w głębi duszy jest wdzięczna za tę propozycję.

Odwrócona tyłem do niej Swietłana miesza zupę srebrzystą łyżką wazową. Po kuchni powoli rozchodzi się przyjemny zapach domowego jedzenia, do złudzenia przypominający ten z kuchni ciotki Zofii.

„To feromon naszej rodziny, naszego stada...”. Justyna przymyka oczy, pewna, że za chwilę przy stole pojawi się też ciotka Zofia, a może i, zwabieni familijną atmosferą, dziadkowie Jankowscy?

Na małym talerzyku do ciasta ciemnieją trzy kromki razowego chleba.

– Antosia lubi jeść zupę z pieczywem, zupełnie jak jej ojciec. – Obok talerzy Swieta kładzie stołowe łyżki. Mają malachitowe uchwyty, jakby wykonano je z wody morskiej, zastygłej w podłużnych formach. – Szybko mijały lata i chociaż Antosia zorientowała się, że nasze małżeństwo to tylko gra pozorów, my dalej udawaliśmy przed całym światem normalną rodzinę. Dla niej. – Swieta znowu zerka na zegar. – Pewnie byłoby tak do dzisiaj, ale w nasze życie wkroczył kryzys gospodarczy. Wkrótce też obydwójce straciliśmy pracę. To był prawdziwy cios!

Ja starałam się zarobić dorywczo w różnych miejscach: przez pewien czas pracowałam w sklepie spożywczym, potem było ogrodnictwo, a potem opieka nad dzieckiem, ale to wszystko nie trzymało się kupy.

Może, w przeciwieństwie do mężczyzn, kobiety mają w sobie silniejszy instynkt samozachowawczy, dzięki macierzyństwu? – Patrzy pytającym wzrokiem na Justynę. – Daniel długo nie potrafił się pozbierać po utracie pracy. Jego znajomi wyjeżdżali za granicę i namawiali go, żeby jechał razem z nimi, lecz on zawisł w otępiełej niepewności. Całe godziny spędzał, leżąc jak kłoda przed telewizorem.

Były dni, kiedy nie odezwał się do nas ani słowem. Znowu zaczął popijać. Czasami nie pojawiał się w domu przez tydzień. Nie wiem, gdzie i z kim był, ale w końcu wracał brudny i skacowany, napawając nas obie wstrętem.

Pewnego majowego dnia zniknął, a w półotwartych drzwiach jego pokoju zobaczyłam puste szkielety wieszaków, dyndające w szafie na ubrania. Na malutkiej szafce przy łóżku bieląca kartka papieru, zapisana jego równym, pochyłym pismem:

„Wyjeżdżam do Polski. Oleg Rybakow załatwił mi pracę na budowie. Jak tylko jakoś się urządzę, dam Wam znać. Pilnuj Antosi. Wybacz mi wszystko, proszę. Kocham Was. Daniel”. – Łzy duszą jej łamiący się głos.

– Znam na pamięć każde słowo tamtego listu. Mam go zawsze przy sobie, razem z najważniejszymi dla mnie dokumentami: paszportem, kartą Polaka i aktem zgonu Daniela... – Bezgłośny płacz wstrząsa ramionami Swiety jak atak żółtej febry.

Trzy ostatnie słowa są dla Justyny niezrozumiałym bełkotem.

– Aktem zgonu Daniela?! Co ty mówisz?!

Krzykliwe pytanie podrywa śpiącego Mefista. Zjeżony kocur boleśnie wbija ostre pazury w jej uda i z głośnym miauknięciem czmycha pod stół.

Swietłana, zaskoczona tak emocjonalną reakcją Justyny, patrzy na nią z pełnym niepokojem zdziwieniem.

– Daniel zginął w wypadku samochodowym tutaj, w Polsce – mówi wolno, podkreślając każde słowo. – W tym roku minęło już pięć lat. To się stało po drodze do Warszawy, dokładnie w rocznicę pamiętnej majowej nocy, której nigdy mu nie wybaczyłam... – Swieta milknie, oszołomiona własnymi słowami.

Justyna czuje w głowie kompletną pustkę. Dobrze, że obydwie mają łzy w oczach i nie musi niczego tłumaczyć Swietłanie.

– Jak do tego doszło? Możesz mi opowiedzieć? – Sama nie wie, dlaczego zadaje to pytanie.

– Spieszył się do pracy. Pewnie był zmęczony wielogodzinną podróżą bez odpoczynku. W nocy zderzył się z ukraińską ciężarówką na prostej, pustej drodze. Młody kierowca powiedział policji, że samochód Daniela zjechał nagle na lewy pas jezdni, wprost pod koła ogromnej naczepy. Zupełnie jakby chciał zginąć... – Swieta ociera ręką łzy.

Kotłowanina myśli przewala się przez głowę Justyny niczym kłębowisko jadowitych węży. Coraz większa kula rośnie jej w gardle, wypełniając niemal całą tchawicę. Resztkami powietrza wypycha ze ściśniętej krtani nachalne pytania:

– Widziałś Daniela po śmierci? To na pewno był on? Gdzie jest pochowany? – Na jednym wydechu wyrzuca z siebie serię wątpliwości.

– Justyna! Dlaczego pytasz o takie rzeczy? Co ci przychodzi do głowy? – Odruchowo wyłącza kuchenkę. W garnku z cichym bulgotem gotuje się zupa.

– Powiedz, proszę, wiesz na pewno, że tam, wtedy, w nocy, zginął twój mąż? Kto go zidentyfikował?! – Justyna teraz już po prostu krzyczy.

– Tak naprawdę, to nie było czego zbierać. Po nim i jego samochodzie została tylko przemieszana miazga ciała, krwi, szkła i blachy. Polska policja miała kłopoty z rozszyfrowaniem pokrwawionych dokumentów, ale z punktu granicznego przyszła wiadomość, że Daniel Waszczenko przekroczył tego dnia granicę ukraińsko-polską... No i jeszcze zostało po nim coś, co sprawiło, że nie miałam już żadnych wątpliwości. – Święta patrzy Justynie prosto w oczy. – Od pewnego czasu miał na lewym przedramieniu oryginalny tatuaż – taką dziwną, szeroką bransoletę. Zrobił sobie ten rysunek w czasie ekspedycji archeologicznej na Powołżu, zafascynowany odkryciem wspaniałej, dotąd niespotykanej nigdzie biżuterii. Znaleźli wtedy kurhan z pochówkami jakiegoś tajemniczego ludu Rhos, osiadłego w tamtych stronach przed tysiącem lat. Daniel wrócił z wyprawy odmieniony. Był jeszcze bardziej zamknięty w sobie, niewiele mówił, raz czy dwa niechętnie wspominał coś o etyce asatryjskiej, która tak bardzo mu się spodobała, ale ja nie miałam do tego głowy... nie umiałam już, a może nie chciałam go słuchać... – W jej głosie pobrzmiwają wyrzuty sumienia. – I właśnie ten fragment jego ciała z tatuażem zachował się nienaruszony. Policjant pokazał mi zdjęcie do identyfikacji, kiedy przyjechałam zabrać do Kijowa zaplombowaną trumnę z ciałem Daniela. – Widać, że bardzo osłabiły ją te straszne wspomnienia. – Jak wróci Antosia, to proszę, nie rozmawiajmy przy niej o tym, dobrze? Bardzo przeżyła śmierć ojca. – Swietłana znowu spogląda na kuchenny zegar. – Powinna już być, bo spóźni się na lekcję muzyki.

Zdziwienie, niedowierzanie, niepokój – wszystkie te uczucia spływają ciężką falą po ramionach Justyny. Posłusznie wiotczeją naprężone mięśnie, nagle uwolnione od nadludzkiego wysiłku. Myśli nie są już takie ostre, wspomnienia przestały ranić.

Tylko jedno pytanie głucho kołacze się po głowie: kim był mężczyzna, którego tak niespodziewanie poznała, pokochała i straciła? A może to wszystko było zwykłym *déjà vu*? Trzecim wymiarem? Dziurą w czasoprzestrzeni? Wytworem wyobraźni? Niemożliwe...

Kogo ma zapytać o człowieka, który zginął w słoneczny poranek na drodze z Jeziora Białego do Chełma? Policję? Prokuraturę? Kto i komu udziela takich informacji? Nawet Swietłana uzna ją za niepoczytalną, tym bardziej że i tak patrzyła podejrzliwie, gdy Justyna pytała ją o pewność co do identyfikacji zwłok męża.

A może Marek Bednarczyk będzie coś wiedział? Przecież on też znał Daniela!

„Tak, tylko Marek może wyprowadzić mnie z tego błędnego koła! Ale muszę poczekać do Świąt Bożego Narodzenia, aż wróci z rejsu. To już nie tak

długo”. Justyna zrywa się z miejsca.

– Idziesz już? Nie chcesz poznać mojej córki? – Swietłana patrzy na Justynę wilgotnymi oczami.

– Niestety, dłużej nie mogę zostać, przepraszam, ale obiecuję, że niedługo się spotkamy, przyrzekam! Już teraz zapraszam ciebie i Antosię do nas, daj mi swój numer telefonu, umówimy się i przyjadę po was. Swieta, naprawdę muszę już iść. – Justyna wycofuje się szybko z kuchni, ściskając nerwowo torebkę.

Nagle w tym starym, zimnym wnętrzu robi się zbyt gorąco, zbyt dla niej ciasno. Rozedrgana duszącym pośpiechem, potrąca błyszczącą miskę z resztkami kociego jedzenia. Naczynie przewraca się do góry dnem, przykrywając blaszaną kopułą kilka grzechoczących chrupek. Owładnięta niewidzialną siłą Justyna jest już w przedpokoju. Przez lekko uchylone drzwi brązowej szafy bacznie obserwuje ją zielone oko Mefista.

„Ach, to tutaj jest kocie królestwo! Muszę jak najszybciej wydostać się z tego domu! Co się ze mną dzieje?” – Nie jest w stanie logicznie myśleć.

Swietłana przekręca motylek zamka w drzwiach i naciskając mosiężną klamkę, jednocześnie przytula się do Justyny, jak mała osierocona dziewczynka. Trwają tak chwilę w ciszy mocnego siostrzanego uścisku. Nagle szalona myśl przychodzi Justynie do głowy. Odsuwa od siebie kuzynkę na wyciągnięcie ręki i patrząc w jej błękitne oczy, rzuca odważnie:

– Możesz mi coś powiedzieć? Czy... czy ty...? – I nie czekając na przyzwolenie, wyrzuca z siebie jednym tchem pytanie: – Czy masz w okolicy serca znamię, coś charakterystycznego, po czym można byłoby ciebie rozpoznać?

Justyna czeka w napięciu na reakcję Swietłany. Ale cisza, która szczerym zdziwieniem wypełnia coraz większą odległość między nimi, wydaje się być jedyną sensowną odpowiedzią.

W otwartych na oścież drzwiach z cichym szelestem wirują brzoźowe liście, oświetlone refleksami złotego słońca.

Justyna łapie głęboki oddech. Zaraz wejdzie w tę jesień oplecioną ciepłymi niemi babiego lata, rozgarnie kanciaste klonowe bursztyny, odejdzie szybko, byle dalej stąd! Już prawie się udało... co za ulga... Wierzy nawet, że ma to za sobą.

Na nierówności połowy alejki magiczna moc odwraca ją w stronę posępnego domu Bednarczyka. Stojąca w uchylonych drzwiach Swietłana z kamienną twarzą wysyła w jej kierunku zdecydowany komunikat:

– Tak, od urodzenia mam na sercu znamię. Wygląda jak blizna po cięciu nożem. Daniel zawsze całował to miejsce, mówiąc, że dzięki niemu jestem wyjątkowa, jedyna i należę tylko do niego!

Szum zgniatanych liści zagłusza wszystkie te bezsensowne słowa. Justyna jak opętana biegnie do bramy, bezwiednie podbijając stopami opadłe z drzew woskowożółte truchła. Byle tylko nie słyszeć już nic więcej, nie czuć, nie oglądać

się za siebie...



ROZDZIAŁ X

Poranny przymrozek chowa się we wszystkie zakamarki żałośnie więdnącego lasu, ścigany przez ledwo już ciepłe promienie odchodzącego października. Tego roku wyjątkowo, w przeciwieństwie do kilku ostatnich lat, wyklarowała się bliska nie tylko poetom złota polska jesień.

Obojętne słońce szklistą kulą białej platyny wisi nisko nad grzebieniem lasu. Postrzępione firany liści dojrzały brzemieną żółcią klonów i burgundem jeżynowego wina. Twarde igliwie na sosnach i świerkach ściemniało niemal do granicy morskiej czerni, podobnie jak milcząca tafla Jeziora Białego.

To już koniec sezonu urlopowego w naszym klimacie. Trzeba jeszcze tylko przygotować domki wczasowe na nadejście zimy.

Dzięki temu Łysa Jaćka właśnie podłapała dobrą fuchę. Już piąty dzień sprzęta opustoszały ośrodek wczasowy. Wygarnia śmieci, rozdrapuje pajęczyny, zagląda w każdy kątek, sprawdzając, co też pozostawili po sobie roztargnieni turyści.

Pomaga jej w tym osobisty konkubent Buhaj z pobliskiej Woli Małej. Ten jednoznaczny skrót wziął się stąd, że Buhajowi przypisywane są wyjątkowe zdolności zapładniające i posiadanie w rodzinnej wsi i okolicy łącznie dziewiątki nieślubnych dzieci. Ale on sam z czystym sumieniem przyznaje się tylko do autorstwa ostatniej dwójki chłopaków, którzy urodzili się z wolnego związku z Łysą Jaćką. No i do tego, że jak nikt dotąd, naprawdę ją kocha.

Bo też i podpasowali sobie z tą Jaćką nawzajem! Dla niej, owdowiałej matki czterech córek, Buhaj jest nowym, lepszym modelem po rodzonym mężu, Bolku Waliłce, który przepił całe swoje wiejskie życie, kończąc je marnie szybkim obaleniem flaszki metanolu pod ścianą dawnego geesowskiego sklepu. A zrobił to wszystko pospołu z dwoma kumplami w Wielki Piątek Anno Domini 1993.

I choć prokurator z Włodawy oficjalnie stwierdził w urzędowych papierach, że przyczyną całkowitego oślepięcia, głębokiego szernienia skóry i w efekcie błyskawicznego zgonu trzech rosnących chłopów był nabyty pokątnie skażony alkohol, to mądrość ludowa mieszkańców Woli Małej i tak głośno namacałny udział w tym zdarzeniu czynnika boskiego jako sprawiedliwej kary za grzech opilstwa, popełniony w Dniu Męki Pańskiej.

Życie na wschodzie Polski nikogo nie rozpieszcza. Upadek przemysłu, bezrobocie, wyludnienie wsi, emigracja młodych i brak zapotrzebowania na drobne usługi od lat generują biedę i mizериę zarobkową w tej części Unii Europejskiej.

Łysa Jaćka, wielka, zwalista jak wieża obłącznicza baba „pod wąsem”,

o rzadkich brązowych włosach, przyzwyczaiła się już do codziennej walki o byt. Szóstka dzieci, nieobliczalni mężczyźni spotkani na wyboistej drodze życia i permanentne niedostatki zahartowały ją niczym ciągle wojny mityczną Amazonkę.

Jeszcze całkiem niedawno, kiedy miała w miejscowej szkole etat woźnej, to jakoś się im wszystkim żyło. Niestety, przyszedł niż demograficzny i – mimo wcześniejszej wydajności samej Jaćki i Buhaja, nie urodziła się wystarczająca ilość uczniów – więc w ramach oszczędności lokalny samorząd zlikwidował wiejską szkołę. Nie pomogły strajki i dwumiesięczna okupacja budynku przez rodziców. Pracę stracił nie tylko tuzin dyplomowanych nauczycieli – na zieloną trawkę poszła także Jaćka, pracownik nigdy niewykwalifikowany.

Buhaj – przy Jaćce mały, niepozorny chłopina, chudy jak etiopski maratończyk – jest wiejską złotą rączką, bo od urodzenia ma w rękach techniczny dryg: potrafi fachowo naprawić zarówno zegarek, jak i kombajn. Tylko że forsa wcale się go nie trzyma, bo Buhaj za kołnierz nie wylewa i zaraz zamienia każdy zarobek na butelkę taniej ruskiej wódki.

Na szczęście Łysa Jaćka, doświadczona tak boleśnie przez swego Bolka, teraz umie ogarnąć w porę to Buhajowe pijaństwo. Od kiedy zamieszkali razem, ona nie pozwala mu na przetupanie niewielkich zarobków. Pilnuje niczym Cerber, żeby nie zalewał się w trupa, i troszczy się o niego, jakby był jej siódmym dzieckiem.

Na samodzielne prowadzenie nadbużańskiej agroturystyki są za biedni, bo ich drewniany domek z przekrzywionym gankiem odziedziczony po dziadkach Jaćki nie spełnia wygórowanych unijnych standardów. Ale sprzątanie ośrodków wczasowych nad Jeziorem Białym to ostatni dzwonek, żeby zarobić na turystach, którzy już dawno rozjechali się na wszystkie strony świata, a tegoroczne wakacje są jedynie mglistym wspomnieniem udanych imprez z fociami wrzuconymi na Facebooku, Twitterze lub Naszej Klasie.

Wprawdzie takie porządki jak te bardziej przypominają pucowanie trupa tuż przed pogrzebem, lecz w tych ciężkich czasach parę groszy piechotą nie chodzi, bo wcale nie tak łatwo dostać dobrą fuchę. Dzięki Bogu, że młodsza siostra Buhaja pracuje gdzieś w lubelskim urzędzie i może szepnąć słówko komu trzeba, aby zdobyć zlecenie dla bezrobotnego brata z prowincji. A przecież nie tak dawno temu Sabina Buhajczuk-Złamas nie miała roboty, bo straciła biurowy etat i sama przez długie miesiące bezskutecznie szukała pracy, ze zwinnością rudej kotki w ostatniej marcowej rui ocierając się na wyborczych wiecach o rękawy prominentnych kolegów.

Lecz niezbadane są wyroki boskie! Oto, ku radości całej rodziny, jej zaradny życiowo mąż, bezpartyjny Józek Złamas, tym razem wiedział, z kim ma trzymać w ostatnich wyborach samorządowych. Miało to wielce szczęśliwe przełożenie na

ich sytuację, bo zaraz po dojściu do władzy tej właściwej opcji, Józek został dyrektorem strategicznego wydziału w województwie, a Sabina objęła funkcję kierownika ważnej komórki organizacyjnej, w nie mniej ważnej administracji samorządowej. I dzięki Bogu, przez ostatnie cztery lata mogli spokojnie i dostatnio żyć.

Sprzątania jest huk, a czas leci tak szybko, że Jaćka i Buhaj wczoraj nie zdążyli się wyrobić. Został im jeszcze ostatni domek, numer 11, całkiem schowany w głębi sosnowego lasu.

Buhaj z technicznym zacięciem doświadczonego inżyniera sprawdza szczelność kranów, udroźnia rury, przetyka sedes, dokręca śrubki, spuszcza wodę, dobija wystające gwoździe, dopasowuje spaczony listwy.

Przed zimą trzeba dokładnie pozamykać okna, naoliwić zawiasy, skontrolować zamki. Wszystko musi być dopięte na ostatni guzik. Już niedługo powieje mrozem, spadnie śnieg, jezioro zamrznie i trzeba będzie czekać ponad pół roku, aż wraz z nadejściem lata pojawią się turyści. Łysa Jaćka zbiera pościel, ściąga wypłowiałe zasłony, zamiata podłogi, wyciera stolik i półki w szafach.

Na środku pokoju panoszy się czerwone plastikowe wiadro z zimnymi mydlinami; wśród motłochu białych, wilgotnych szmat leży brązowa szczotka na kiju i trzy czarne foliowe worki na odpady. Wszystko jest zgodne z najnowszymi wymogami ustawy śmieciowej – trzeba uważnie rozdzielać każdy asortyment.

W miniaturowej łazience Buhaj miarowo postukuje kluczami przy ciekącym kranie. Na krawędzi lewego kąca ust młocznie dymi papieros, przyklejony do wąskiej dolnej wargi.

– „La, lalalala...” – podśpiewuje sobie wesoło discopolowy przebój popularnego zespołu.

W południe muszą oddać klucze kierownicze ośrodka, rozliczyć się ze środków czystości i zainkasować zapłatę za wykonane zlecenie.

Jaćka bardzo lubi swoją robotę, bo tu zawsze można znaleźć coś fajnego po wczasowiczach. Niby to nic wartościowego, ale przez te kilka dni weszła już w posiadanie czerwonych koronkowych stringów w rozmiarze XS, dwóch brązowych kubków z pokraccie namazanymi imionami *Kamil* i *Kasia*, nierozpoczętej fioletowej paczki gumek Durex, porzewiałego noża do otwierania konserw, książki pt. *Zmierzch* z pieczęcią biblioteki miejskiej w Sosnowcu, porwanych laczków nr 43 w kolorze turkusowym, resztki rozmiękłych paluszków cebulowych i kilku kolorowych babskich czasopism.

Na razie nie ma sumienia pozbywać się tych znaleźsk, bo właściwie każde z nich może się jeszcze na coś przydać. No, chyba z wyjątkiem rozmęczonych paluszków o zwiędłym smaku zgniłej na przedwiośniu cebuli. Tylko wyspany z mlekiem matki szacunek do pieczywa nie pozwala Jaćce wpakować ich do czarnego worka. Może później rzuci się je leśnym ptakom na piasek przed

domkiem? Niech sobie dziobią...

Pod ścianą, na blacie małej szafki, leży otwarta paczka papierosów marlboro bez polskiej banderoli akcyzowej. Ze srebrzystego wnętrza wyglądają jeszcze trzy fajki.

Obok wąskiego tapczanika przycupnęło nieforemne, skłębione zawiniątko. Jaćka zahacza szczotką o coś miękkiego i przysuwa znalezisko bliżej, do samych stóp. Szeroki nosek jej wygodnego trzewika ze skóry „eko” brutalnie rozgarnia zakurzone rogi tkaniny. Zielona kraciasta szmata kryje w środku jakiś przedmiot.

– A to co?! – Zdziwiona odkryciem pochyla się aż do podłogi z mimowolnym jękiem, jak przystało na kobietę po sześciu porodach fizjologicznych. – Patrz, co mam, Byczku! – W kanciastych dłoniach Jaćka trzyma szeroką bransoletę z brudnego złota. Ciężko zasiada na brzegu tapczanu i ciekawie ogląda niemodną biżuterię.

– Co to za badziewie? Skąd się wzięło? – Buhaj kończy właśnie dokręcanie śrubek przy umywalce, petując kiepa w wiadrze z resztkami brudnej wody.

– A no tu to leżało, przy łóżku! Co to może być? Jakies takie byle jakie... a ciasne, że kurwa mać! – Spocona Jaćka usiłuje wcisnąć bransoletę na przegub lewej ręki.

Na wszystkie strony fajtają się długie girlandy kolczyków z czerwonej modeliny przyczepione do obwisłych płatków jej nienaturalnie odstających, karmazynowych uszu. Masywna obręcz jest jednak zbyt krótka w obwodzie i mało plastyczna, toteż mimo kilku prób Jaćce nie udaje się włożyć bransolety na szerokie, niemal męskie przedramię. Na bladej, upstrzonej piegami skórze, w paru miejscach ciemniej równo odcisnięte, szerokie pasma.

– Rzuć to, Dziunia, przecież to tandeta jakaś, ktoś chyba toto wyrzucił! Patrz, tu brakuje nawet zapięcia! – Buhaj wskazuje śrubokrętem na przerwę w zmatowiałej obręczy.

– No, tak! Ciemne to jakieś, zaśniedziałe, może zwykły tombak? O, i do tego w środku całe podrapane czy pokłute?! – Jaćka jeździ grubym paluchem po gęsto wyżłobionych znakach runicznych. Kwadratowe, połamane paznokcie z resztkami bordowego lakieru zahaczają o rowkowaną powierzchnię biżuterii.

– Dziunia! Wywal tu do wora tę blachę i już! Na chuj ci to targać?! – Buhaj jest bardziej zainteresowany leżącą na szafce paczką marlboro. Po kolei wacha każdego papierosa, głęboko delektując się kwaśnym aromatem wilgotnego tytoniu.

– Oooo, ruskie! Przecież to całkiem dobre fajki! Trochę mokre, no leżą tu pewnie od lata. Trza będzie podsuszyć na grylu i można spokojnie jarać! – Zadowolony, chowa paczkę do kieszeni poplamionych smarem spodni.

– To co w końcu z tym? – Rozdrażniona Jaćka rzuca bransoletę na tapczan. – Gdzież to dać? Śmieci teraz musowo sortować, a nie mam tu żadnego żelastwa na złom! – Posapuje rytmicznie, przy każdym wydechu wzdymając poblądłe

z wysiłku wargi. – No i masz, człowieku, zostawią takie coś i chuj jego śmiertelny wie, co z tym tera robić?! – Patrzy bezradnie na Buhaja, rozcierając obolały nadgarstek.

– Dziunia! Może daj toto do puszek amelinowych i niech już na wysypisku oni se robio z tym co chco! – Buhaj jest na dobre zniecierpliwiony. – Zmęczony jestem. Bedzie fajrant. Która to godzina? – Zapala kolejnego papierosa.

– Dochodzi jedenasta. Zaraz przyjedzie kierowniczką, klucze sie zda, niech daje nam kasę i finito. – Łysa Jaćka pośpiesznie wrzuca nieprzydatne nikomu znalezisko do środkowego worka, w którym grzechocze już kilka aluminiowych opakowań po piwie i napojach izotonicznych. Zadowolony z takiego obrotu sprawy Buhaj pomaga jej wytaszczyć z domku wszystkie manele.

Worki stawiają w jednym rzędzie pod wysoką sosną o niesymetrycznie wyliniałej ze starości koronie. Z tymi, które dołożyli dzisiaj, uzbierało się razem sześć okazałych tobołów. Zabierze je chyba jakaś firma z Włodawy. Ale o to niech już martwi się ta młoda kierowniczką, co tu przyjeżdża z Lublina. Oni przecież swoje zrobili.

Kłapią drzwi i Jaćka, ciężko sapiąc, przekręca klucz w zamku. Odwraca się w kierunku lasu, wznosi podpuchnięte oczy do nieba i bogobojnie kreśli w powietrzu znak krzyża.

– No, to do lata mamy spokój! – mówi właściwie nie wiadomo do kogo, bo Buhaj, objuczony skrzynką z narzędziami, idzie szybkim krokiem w kierunku dużego białego budynku mieszczącego biuro ośrodka.

Łysa Jaćka z trudem targa przed sobą stertę brudnej pościeli i czerwone wiadro, z którego wprost pod drewniane schodki wychlupnęła brudną wodę. Zatrzymuje się na chwilę i z nabożnym szacunkiem wysypuje pokruszone paluszki na piasek, tuż pod bezlistnymi brzoźkami.

Potem, kolebiąc się ciężko na boki, powoli, niczym wielka siodłata gęś, podąża w ślad za konkubentem.

Za kilka minut w obecności kierowniczką z województwa położą na jej biurku klucze od domku nr 11, symbolicznie kończąc tegoroczny sezon urlopowy nad Jeziorem Białym. Buhaj nieczytelnie podpisze się pod wykonaną fuchą, z już utraconym podatkiem. Nie będzie tego zarobku wiele, ale zawsze na ulicy nie leży, bo w końcu to mizeria ściany wschodniej, a nie szklarnie w Holandii czy zmywak w Londynie.

*

Szare sfilcowane chmury zalegają ołowianym grudniem nisko nad ziemią. Są zbite tak ciasno, że nawet silny wschodni wiatr nie jest w stanie rozpedzić gęstwiny ciężarnego kłębowiska. Jak w filmach grozy gną się ku ziemi odarte do żywego kościotrupy drzew, które jeszcze nie tak dawno tworzyły prześwietlony słońcem las

wzdłuż trasy wiodącej do Jeziora Białego – turystycznej mekki Pojezierza Łęczyńsko-Włodawskiego. Wściekle podmuchy wichury co chwila uderzają w samochód Justyny, cudem sunący do przodu na przekór huczącej nawałnicy. Wygląda na to, że mimo wczesnego popołudnia pusta droga została o tej porze roku zapomniana na dobre.

Justyna nawet sama sobie nie jest w stanie wytłumaczyć, po co wybrała się właśnie tutaj. Dlaczego jedzie nad jezioro na kilka godzin przed opadami pierwszego grudniowego śniegu? Czyżby monotony ból od miesiący ćmiący w jej głowie dawał podświadomości sygnał, że tylko obecność w tym miejscu może ukoić rozedrgany niepokój, wypełnić przerwane sny, domknąć złowroźnie uchylone drzwi?

Przez migoczący szpaler ażurowego szkieletu lasu widać idealnie czarną płytę wody. Milczące bryły domów wczasowych tkwią w ciężkim letargu apokaliptycznie nadchodzącej zawieruchy. Zamknięte na głucho bramy ogrodzeń odpychają błyszczącym chłodem cyfrowych kłódek. W sukurs idą im kolorowe tablice, wieszczące troskliwą opiekę ze strony lokalnego BSI. Wąska piaszczysta droga podmarzniętym pasmem kolein prowadzi wprost do połyskującej w oddali głębiny.

„To musi być gdzieś tu...”. Niezawodna pamięć podsuwa zakodowany na zawsze obraz: dyszące łakomym pocałunkiem usta, szeroko otwarte szmaragdy źrenic, samowolną bezkarność dłoni.

Rozwichrzone korony ostatnich w szeregu sosen wirują konwulsjami paralytyka zamroczonego nagłym atakiem szału. Pomędzy metalowymi prętami ogrodzenia, u szczytu zielonkawych drzwi, na blaszanej tabliczce rozmywa się numer 11.

Wichura z upiornym wyciem uderza w otwarte drzwi auta, wtłaczając Justynę z powrotem do ciepłego, bezpiecznego wnętrza. Wciśnięte brutalnym podmuchaem ostre drobiny piasku sięgają załzawionych oczu, gorzkim kwarcem trzeszczą pomiędzy nerwowo ściśniętymi zębami.

Lecz ona lekceważy te ostrzeżenia wysyłane przez żywioł ku przestrodze i rozpalona niecierpliwie podchodzi najbliżej, jak tylko można, do metalowego ogrodzenia dzielącego ją od miejsca, w którym ostatni raz widziała żywego Daniela. Przez cienki błękit za krótkiej kurtki przenikliwie zimno chropawym jęzorem liże jej plecy, opasuje biodra, mrozi szybko bijące serce. Kolejny wściekły atak nawałnicy rzuca Justynę na kolana, podsuwając miękkie oparcie na sienniku z wyschniętej trawy, zrudziałymi kępami porastającej łagodną skarpe przy ogrodzeniu.

Przygnana świdrującym wiatrem ciemność zagarnia całe niebo. Nad lustrem jeziora kołują wielkie, kryształowe gwiazdy śniegu. Gnana ślepą furią dziewczyna śnieżycą spada obłokiem trupio białych frywolitek na odsłoniętą głowę Justyny,

mokrym całunem oblepia zimno rozpuszczone włosy, balansuje na długich rzęsach, zwilża posiniałe usta.

Znajomym jękiem skrzypią powoli otwierane drzwi, drewniane schody dudnią głuchym odgłosem pośpiesznie zapamiętanych kroków.

– Ktoś tu jest? Kto to? – To pytanie wydaje się tak samo bezsensowne jak dzisiejsza wizyta. Mglista zamieć firaną gęstych frędzli zawęża pole widzenia do kilku kroków. Justyna ledwie widzi własne dłonie, kurczowo pełzające po lodowatych żerdziach.

Na tle ciemnego przepastnego wnętrza lasu pojawia się Daniel.

– Wiedziałam, wiedziałam, że tu cię znajdę! – Na klęczącą Justynę spływa uczucie niewysłowionej ulgi. Tak właśnie kończą się złe sny, przerwane muśnięciem kochających ust, dotknięciem bezgranicznie oddanych rąk. – Jesteś, nareszcie! – Stara się wykrzyczeć z siebie pokłady zastygłej rozpacz.

Daniel, nieruchomy jak kamienny posąg, stoi wciąż w tym samym miejscu. Szalejący dookoła żywioł jakimś cudem omija jego jasne włosy, opaloną twarz, zieloną bluzę, brązowe spodnie, odbijając się bezsilnym wyciem od niewidzialnego klosza rozpostartego wokół całej postaci.

– Proszę, podejdź bliżej, chcę cię dotknąć, błagam, tylko ten ostatni raz, musimy się pożegnać... nie zdążyliśmy... – Justyna przez smugę wąskiego światła, prześwietlającą pomiędzy masywnymi prętami, wyciąga ręce w żebraczym geście.

Rozdzierająca kakofonia wiatru i niewidzialna kurtyna broniąca dostępu do Daniela pochłaniają pęczniejący w krtani krzyk. Odepchnięte głuchym milczeniem dłonie opadają bezwładnie, zamiecione przez skrzydło wichury. Wrogi zimowy zmrok zdecydowanie wygrywa z jasnością śnieżnej burzy, dając pierwszeństwo zapadającej ciemności.

W szklanym korytarzu przed nią nie widać już nic – na zamkniętych drzwiach metalicznym blaskiem matowieje numer 11.

Przenikliwie zimno bezlitośnie szarpie obolałym ciałem, sprowadzając na Justynę powolne otrzeźwienie. Jest ono równie dotkliwe jak wybudzanie z narkozy po wielogodzinnej operacji. Powoli wraca do życia każda najmniejsza cząstka jej ciała: głośno strzelają stawy w prostowanych kolanach, palce u rąk pieścą się nawzajem, pobudzając zastygłą krew. Wiatr cichnie całkowicie, a kobaltowa poświata nad płytą jeziora migocze srebrem śniegu, ginącego na wieczność w bezkresnej otchłani.

Przyjazny kokpit auta już po krótkiej chwili otula Justynę zbawiennym ciepłem. Silnik mruczy cicho, gotowy ponieść ją jak najdalej stąd.

Ostatnie spojrzenie w kierunku niewidocznego lasu. Reflektory długich świateł rzucają wachlarz sinego blasku na zatrzaśnięte na głucho zielonkawie drzwi.

Justyna zamyka piekące mrozem powieki. Przezroczyste lzy nocy mgliście wypełniają całe pole widzenia.

„Jacek ma rację – muszę zimą częściej nawilżać oczy, bo nawiew gorącego powietrza z ogrzewania zawsze tak wysusza spojówki”.

Zdejmuje niebieską kurtkę i rzuca ją na tylne siedzenie. Jeden ruch, powtarzalny jak codzienny pacierz, i już znajomo klika zapięty pas bezpieczeństwa. Sięga dłonią do małego schowka przy kierownicy i po chwili w kieszeni odtwarza chybliwie wiruje płyta – jedyny prezent, który dostała od Daniela.

„*Niechaj uciszy się wszelkie ludzkie ciało (...) niech oddali każdą myśl ziemską...*” – strzelisty grzechot cerkiewnej muzyki z ukraińskich monastyrów szybko wypełnia ciszę.

Wąska ścieżka daje możliwość wyjazdu autem jedynie do tyłu. Lekko wskakuje bieg wsteczny i przed zaparowaną szybą migają bezkształtne kontury pohukującej dziko zamieci.

W drodze powrotnej wszystko wydaje się mniej straszne, nawet nieprzyjazny wcześniej krajobraz nabiera swojskiego klimatu. Trasa Okuninka-Chełm zimą wygląda zupełnie inaczej. Nad fioletowym asfaltem krążą perłowe wiry, bezładnie rozdmuchiwane w nicość przez tańczący wiatr. Śnieżne motyle, klaszcząc muślinowymi skrzydłami, odbijają się od przedniej szyby i spłoszone skrzypiącym piórem wycieraczek, odfruwają w mrok migotliwym obłokiem srebrnych cyrkonii.

„Jednak dobrze, że tu przyjechałam...”. Nerwowe napięcie już nie rozsadza jej głowy jak kilka godzin temu, gdy podążała w kierunku jeziora.

– Pokój jego duszy... – Półgłosem wymawia pobożne życzenie, miękko utulone przez harmonijną, chóralną muzykę, sączącą się leniwie z membrany głośników.

„Kimkolwiek był”. Ostatnie dwa słowa dodaje w myślach, uważnie wpatrując się w nieskazitelną otchłań bielejącego przed nią tunelu oprószonych dziewiczym puchem drzew.



ROZDZIAŁ XI

W pustym korytarzu Instytutu Archeologii Uniwersytetu Warszawskiego panuje kompletna cisza. Kilkuosobowa grupa studentów drugiego roku zdała ostatni w tym semestrze egzamin. W lutowy piątek wieczorem w wielkim gmachu nie ma już nikogo z pracowników naukowych. Jedynie kierownik Zakładu Archeologii Późnego Średniowiecza i Czasów Nowożytnych profesor Justyna Jankowska-Meyer zasiedziała się nad spóźnionym raportem z wykopalisk w Chełmie.

Już wcześniej uporządkowała chronologicznie przebieg prac wykonanych przez ostatnie cztery lata, pogrupowała referaty poszczególnych autorów, a dzisiaj najwięcej czasu zajęła jej edytorska obróbka całości wydawnictwa, przygotowywanego przez redakcję „Roczników Archeologicznych”. Zaaferowana, kolejny raz przegląda notatki, fotografie i rysunki, kompletując dokumentację, która wciąż boleśnie przywołuje wspomnienie Daniela.

„Niesamowite! Nie ma go na żadnym zdjęciu, a przecież wykonano tyle fotografii”. Zdziwiona własnym odkryciem automatycznie segreguje materiał w szarych teczkach opisanych datami.

Początkowo nie zwraca uwagi na ciche pukanie do drzwi. Szelest przekładanych papierów wydaje się jedynym dźwiękiem dochodzącym do jej uszu. Kiedy zawiązuje na małą kokardkę tasiemki ostatniej teжки z napisem „*ROK 2014*”, kołatanie do drzwi jest już bardzo wyraźne.

– Proszę! – Justyna nawet nie ma czasu zdziwić się, że ktoś może jeszcze o tej porze być w budynku uniwersytetu.

Ciężkie drzwi otwierają się bezgłośnie i na progu jej gabinetu staje... Marek Bednarczyk.

Zdziwienie i nerwowy niepokój podrywają Justynę zza wielkiego biurka.

– Marek? Co tu robisz o tej porze? Coś się stało? – W jej głosie przeważa niecierpliwa irytacja.

– Dobry wieczór, Justyna... – Bednarczyk wciąż stoi przy drzwiach, dziwnie onieśmielony.

– Nie miałam pojęcia, że spotkamy się tak szybko. – Sama jest zaskoczona narastającym w niej poziomem niechęci, a może nawet wrogości.

– Justyna, musimy porozmawiać, jest wiele spraw do omówienia... Nie uciekaj od tego, proszę... – Marek stoi tuż przy jej biurku. Niczym Kolos Rodyjski wypełnia sobą całą przestrzeń miniaturowego gabinetu.

– Dobrze, zapraszam... – Justyna uwalnia stylowe, tapicerowane wiśniowym

pluszem krzesło, zrzucając stos grubych książek na podłogę przy oknie.

W mdłym świetle rzucanym przez żółty klosz biurowej lampki twarz Marka wygląda jak woskowa maska pośmiertna. Jest jakiś inny, obcy, na pewno schudł kilkanaście kilogramów.

„Może jest chory?” – zastanawia się gorączkowo Justyna.

– Jestem ci winien pewne wyjaśnienia... – Bednarczyk siada ciężko na starym, niemodnym krześle.

– Tylko błagam: mów prawdę, bo ostatnio mam za dużo tajemnic do strawienia. – Jej oschły ton w połączeniu z masywnym dębowym biurkiem profesora Kowalewskiego stanowią bezpieczną granicę dzielącą ich od siebie.

– Nie wiem, od czego zacząć. – Marek w niczym nie przypomina teraz pewnego siebie macho sprzed paru miesięcy.

– Najlepiej od początku. – Justyna wygodnie sadowi się za biurkiem.

– To... początek jest taki, że... – Dziwnie zawstydzony swoimi słowami opuszcza w dół mleczo-siwą głowę. – Jestem nieuleczalnie chory. Prawdopodobnie zostało mi już tylko kilka miesięcy życia. Ten rodzaj nowotworu nie poddaje się żadnym dostępnym terapiom. Mam świadomość, że muszę zdążyć rozliczyć wszystkie moje sprawy. Postanowiłem, że spotkam się też z tobą, bo jesteś dla mnie ważna. Bardzo ważna... – Z trudem łapie oddech, jakby wypowiedzenie kilku zdań było dla niego katorżniczym maratonem.

– Może napijesz się herbaty? – Wobec tak porażającej wiadomości Justyna nie potrafi zadać żadnego sensownego pytania.

– Nie, dziękuję, mam przy sobie butelkę wody do popijania lekarstw. – Szczupłą dłonią wskazuje na prawą kieszeń czarno-niebieskiej kurtki z kapturem. Chociaż ubranie jest rozpięte, widać, że Marek zeszczupłał o co najmniej dwa, trzy rozmiary.

– Zapewne znasz historię śmierci Czesława Kornilczuka, mojego prawdziwego ojca? – Rzuca przelotne spojrzenie w kierunku Justyny i nie czekając na odpowiedź, ciągnie dalej: – Pewnie słyszałaś o tym od swojego taty, bo przecież nasi ojcowie znali się dobrze, chodzili do jednej klasy w szkole średniej. Potem ich drogi rozeszły się – twój ojciec studiował historię, ożenił się z dziewczyną z Zamościa i w końcu wyjechał z Chełma. Lecz dawna znajomość przetrwała, obydwaj byli specjalistami od staroci. Tylko że twój ojciec był nieprzyzwoicie uczciwy, dlatego nie nadawał się do kręcenia jakichkolwiek interesów. – Marek głęboko wciąga powietrze. – Mój staruszek zawsze pokpiwał sobie z niego, powtarzając:

„Ten Edmund do niczego nie dojdzie, ma za miękkie serce, dlatego musi mieć twardą dupę. A szkoda, bo zna się na swoim fachu jak mało kto i mógłby nieźle z tego żyć”.

Właśnie ta rzetelna wiedza Jankowskiego połączona z niespotykaną

uczciwością sprawiły, że mój ojciec traktował go z szacunkiem i niemal czią, licząc się z jego opinią.

– Nie wiedziałam o tym. – Justyna jest mile zaskoczona słowami Marka.

– Kontaktowali się sporadycznie: albo w sklepie twojego ojca w Zamościu, albo w chełmskiej knajpie Pod Firankami. Ojciec kilkakrotnie podrzucił Edmundowi do sprzedania jakiś trefny towar, ale Jankowski brzydził się takimi szwindlami i w końcu wolał zerwać wszelkie kontakty niż wplątywać się w ciemne sprawy Czesława Kornilczuka... – Marek pociąga duży łyk wody z butelki. – I okazało się, że miał świętą rację, bo mój ojciec w końcu przyplacił życiem wikłanie się w nieczysty biznes... – Sińce okalające jego wielkie, wypukłe oczy sprawiają, że kiedyś pełne bursztynowego blasku tęczówki są dzisiaj brunatno-ziemiste.

Justyna jest coraz bardziej zaciekawiona tą opowieścią.

– Pamiętasz wykopaliska na Górcie Chełmskiej pod koniec lat siedemdziesiątych? Ganiałiśmy w to miejsce z chłopakami, bo wieczorem, kiedy archeolodzy pozostawiali teren bez żadnych zabezpieczeń, można było tam swobodnie pomyszkować. Do dzisiaj czuję dreszcz emocji, który towarzyszył mi, kiedy w zarośniętym chaszczami dawnym ogrodzie biskupów chełmskich weszliśmy we dwóch z moim kolegą Piotrkiem Winiarskim do przepastnej, na wpół zrujnowanej studni.

Starzy chełmianie opowiadali, że na Górcie jest takie tajemne miejsce, z którego labirynt podziemnych korytarzy prowadzi do wież w Stołpiu i Bielawinie. Miała to być droga ucieczki dla mieszkańców w razie ataku lub oblężenia któregoś z tych miejsc przez wroga. Do dzisiaj nikomu nie udało się sprawdzić, jak jest naprawdę, nie ma też w tej kwestii wiarygodnych źródeł pisanych. Jednego jestem pewien: na dnie kamiennej studni znajduje się wejście wiodące do podziemnych korytarzy. Byłem tam razem z Piotrkiem, ale dzisiaj tylko ja mogę ten fakt potwierdzić... – Marek nerwowo kręci się na krześle. – To miał być dla nas chrzest bojowy, bo obydwaj, mając wtedy po kilkanaście lat, zamierzaliśmy w dorosłym życiu zostać zawodowymi grotolazami. – Marek ciężko wdycha, wbijając wzrok w ciemną podłogę. – Podziemny kredowy tunel był dosyć starannie wysklepiony, ale wąski na wyciągnięcie dziecięcych rąk i tak niski, że nawet my musieliśmy schylać głowy. Kiedy ma się dwanaście, trzynaście lat wszystko jest takie ekscytująco proste! Człowiek nie bierze na poważnie żadnych niebezpieczeństw. A zdrowy rozsądek? Niektórym brakuje go przez całe życie... – Marek milknie, urywając nagle w pół zdania.

Justyna dyskretnie zerka na monitor cicho pomrukującego komputera. W prawym dolnym rogu ekranu elektroniczny zegar wskazuje godzinę dziewiętnastą dwie.

„Niedługo pojawi się ktoś z administracji budynku, żeby sprawdzić,

dlaczego w szatni nie ma kluczy do mojego gabinetu”. Właściwie sama nie wie, czy bardziej jest przytłoczona wiadomością o nieuleczalnej chorobie Marka, czy boi się, że wróci znowu wspomnienie Daniela, które powoli dogasało już w niej jak niepodsypany płomień.

– Nie wiem, jak długo przeciskaliśmy się tym przejściem, aż błyskający latarką Piotrek, idący jakieś dwa metry przede mną jako nieformalny dowódca tej ekspedycji, krzyknął, że droga przed nami rozwidła się w dwóch kierunkach.

„Idziemy razem w lewo, czy rozdzielamy się i ty idziesz drogą w prawo?! Masz swoją latarkę?!” – wrzeszczał Piotrek, przesuając się w bok, wyraźnie gotowy do penetracji czeluści ziejącej z lewej strony.

Zatrzymałem się w miejscu i zacząłem wyciągać latarkę, którą z trudem wcisnąłem do zbyt wąskiej kieszeni krótkich spodni, zanim weszliśmy do studni.

„Marek, lepiej bierz ten drugi korytarz! Ale heca! To dopiero będziemy mieli co opowiadać chłopakom! Ciekawe, gdzie dzisiaj wylądujemy? Może pod wieżą w Stołpiu albo w Bieławinie, albo Bóg wie gdzie?”. Piotrek był tak podniecony sytuacją, że jego drgający kogucią mutacją głos zdawał się wypełniać diabolicznym akordem całą przestrzeń dusznego podziemia.

„Idę tutaj!” – krzyknął, nie odwracając się do mnie, i w ułamku sekundy w korytarzu zapanowały egipskie ciemności.

Stałem zbaraniały w miejscu, wciąż usiłując wysupłać tę cholerną latarkę, zakleszczoną w stebnowanej podwójnym ścięciem kieszeni popelinowych szortów. Lepka ciemność kredowego sklepienia przytłoczyła mnie klaustrofobicznym przerażeniem. Nie wiem, ile czasu szarpałem się z tymi spodniami, aż wreszcie trzasnął rozrywany materiał i latarka sama wypadła, uderzając mnie boleśnie w prawą stopę. W wacianej ciszy usłyszałem, jak bezgłośnie odbija się od mojej nogi i upada gdzieś obok, przy pionowej ścianie tunelu. Czułem, że nie potoczyła się daleko i jak najszybciej muszę ją znaleźć, bo inaczej przed odważnym Piotrkiem wyjdę na zupełnego idiotę i tchórza. Pełzając na kolanach, po omacku zacząłem przesuwać dłonie po śliskim i wilgotnym podłożu. Instynkt mówił mi, że muszę kierować się bardziej w prawo, bo tam na pewno leży moja zguba. I rzeczywiście! Już po krótkiej chwili, tuż przy półokrągłym złączeniu ściany z podłożem wyczułem pod palcami jakiś chłodny metalowy przedmiot.

„Uff! Co za ulga!”. Zmęczony ciemnością, przysiadłem na stopach i jak ślepiec zacząłem obracać w rękach znaleźisko, szukając okrągłej szybki osłaniającej żarówkę i podłużnego przycisku włączającego światło latarki.

Niestety, to, na co natrafiłem w atramentowej ciemności, na pewno nie było moją nowiuteńką latarką. Owszem, na tym półokrągłym kawałku metalu było coś wypukłego i rowkowanego, ale na pewno nie był to ten najbardziej pożądany przeze mnie wtedy przedmiot.

„Piotrek, Piotrek, wróć na chwilę, nie mogę znaleźć mojej latarki!

Piotruś!...” – zrozpaczony, krzyknąłem w bezkresną ciemność, lecz mój krzyk albo wsiąknął w skłębioną czerń, albo wrócił niemym rykoszetem do piekającej krtani.

Po krótkiej chwili z lewej strony wyrobiska, w którym zniknął Piotrek, dał się słyszeć jakiś głuchy, tępy odgłos. Miałem wrażenie, że całe masy miękkiej kredy przesunęły się z góry na dół z przytłaczającym tąpnięciem. Rzuciłem się całym ciałem do przodu i leżąc płasko na dnie korytarza, sunąłem przed siebie jak pływak, podążając do jakiegoś nieznanego mi celu. Wreszcie prawą ręką natrafiłem na coś, co teraz już na pewno było moją latarką. Leżąc jak rozdeptana żaba, wymacałem rowkowany włącznik światła i przesunąłem go w dół. Świdrujący ból oczu, oślepionych jadowitym blaskiem, przywrócił mi nadzieję, że teraz już wszystko będzie dobrze: jako odkrywca mogę iść dalej, przecierając nieznaną szlak. Wstałem z kolan i przygarbiony ruszyłem odważnie do przodu. Już po paru krokach dotarłem do rozwidlenia korytarza – miejsca, w którym po raz ostatni widziałem i słyszałem mojego kolegę. Zaciekawiony, poświeciłem w głąb skręcającego w prawo tunelu: był tak samo ciasny jak ten, w którym się znajdowałem, a z dusznej głębin wiało zatęchłym powietrzem. To był dobry dla mnie omen – wentylacja oznaczała, że gdzieś tam dalej ta droga miała ujście na powierzchnię, skąd płynął niezbędny do oddychania tlen. Zanim ruszyłem w tym kierunku, zerknąłem też w lewo, do korytarza, który Piotr wybrał na swoje poszukiwania. Z przerażeniem stwierdziłem, że nie wydobywa się stamtąd nawet najmniejszy powiew, a w odległości dwóch, trzech metrów od wejścia światło tunelu wypełniało rumowisko zawałonej kredowej skały!

Włosy zjeżyły mi się na głowie. Przecież tam jest Piotrek! Czy zdołał uciec przed obsuwającymi się zwałami?... Uciec?... Dokąd?

„Piotruś, Piotruś! Jesteś tam? Błagam, Piotrek, odezwij się!”. – Rozdygotany, zawyłem żałośnie, ale mój głos znowu ugrzązł w mazistej kredowej hałdzie, uświadamiając błyskawicznie, że to wibracje dźwięków mogą powodować obsunięcie się ściany wyrobiska. Gnany panicznym strachem zrobiłem na kolanach zwrot w tył i niesiony przerażeniem najszybciej, jak to było możliwe, zacząłem iść z powrotem do wyjścia na dnie studni.

Nagle w skaczącym świetle latarki tuż pod moimi stopami coś nieśmiało zamigotało przygasłym blaskiem. Tym, co wcześniej w ciemności wpadło mi w ręce zamiast latarki, była szeroka, grawerowana bransoleta. Podniosłem to dziwne znalezisko i przyciągany przez coraz silniejszy strumień powietrza, wpływający do kiszkiowego tunelu, po krótkiej chwili znalazłem się we wnętrzu studni, od której zaczęliśmy naszą wyprawę. Kiedy wydostałem się z niej po porowatej kamiennej ścianie, na dworze zapadła już letnia, bezgwiezdna noc.

Przestraszony, nie wiedziałem, co mam ze sobą począć. Jak wytłumaczyć w domu tak późny powrót i co zrobić z Piotrkiem Winiarskim? Jak się przyznać, że myszkowaliśmy na Wysokiej Górcie, skoro było to zabronione...?

„Może jednak nic mu się nie stało, szczęśliwie przebył podziemną drogę i teraz siedzi spokojnie przy wieży w Stołpiu, rechocząc na myśl, jakiego dokonał odkrycia?” – Łudziłem się płonną, dziecięcą nadzieją.

Po powrocie do domu okazało się, że ojciec od rana jeszcze nie wrócił, a mama najspokojniej w świecie ogląda telewizję, popalając papierosy. Nawet nie wyjrzała z pokoju, żeby się ze mną przywitać. Krzyknęła tylko coś o naleśnikach w kuchni i o tym, że czas się kąpać i iść spać, bo jest już późno. Wszystko tak świetnie się złożyło – nikt o nic mnie nie pytał i niczego nie podejrzewał.

Dopiero w łazience uważnie przyjrzałem się sobie w lustrze; cały byłem pokryty smugami zaschniętej kredy, urwana kieszeń spodenek zwisała żałośnie, do kolan przywarła gipsowa skorupa, za paznokciami u rąk miałem białe kilogramy gliniastej mazi, a potargane włosy sterczały na wszystkie strony, sztywne jak badyle. Moje znalezisko też nie prezentowało się o wiele lepiej – oblepiona warstwą tłustego marglu bransoleta nie wyglądała na specjalnie drogocenną biżuterię i gdyby nie wścibskie światło latarki, na pewno spokojnie leżałaby pod ziemią nadal.

Napuściłem pełną wannę gorącej wody, z galaretowatej szyszki wysypałem całą zawartość pudrowo-pomarańczowego proszku do kąpieli i wraz z moją bransoletą zanurzyłem się po uszy w cudownie pachnącej sosnowej pianie. Mięśnista warstwa białego błota najmocniej przywarła do moich kolan i wewnętrznej strony bransolety. Kiedy energicznymi ruchami, przy użyciu szczoteczki do rąk udało mi się wszystko do czysta wyszorować, zobaczyłem na zewnętrznej powierzchni złotawej obręczy małe wypukłe guzki, a przez środek przechodził wygrawerowany grubym rylcem splątany szlak misternie splecionych węży czy pasków. Wewnętrzna część była pokryta dziwnymi, głęboko rytymi wzorami, przypominającymi rzędy tajemniczych znaków pisarskich. – Zmęczony opowiadaniem Marek opiera się o poręcz krzesła i przymyka oczy.

Justyna wsłuchuje się w każde wypowiedane przez niego słowo, jakby chciała zapamiętać na zawsze nie sens tej opowieści, ale tembr płynącego głosu, łagodną tonację poszczególnych zdań i urywany wysiłkiem oddech narratora.

Po krótkiej przerwie Marek wraca do przerwanej historii:

– Mama zbudziła mnie z samego rana, mówiąc, że byli u nas rodzice Piotrka Winiarskiego, który nie wrócił na noc do domu. Pytali, czy ja mogę coś o nim wiedzieć. Byłem śmiertelnie przerażony, tym bardziej że oni już powiadomili o zaginięciu syna milicję, ponieważ jakaś kobieta, idąca na wieczorną mszę do kościoła, widziała z daleka dzieciaki kręcące się w okolicy zrujnowanej studni.

Wtedy niespodziewanie do akcji wkroczył mój ojciec. Nie wiem, jak rozpoznał po mojej minie, że coś ukrywam, w każdym razie po śniadaniu, które zresztą w ogóle nie chciało mi przejść przez gardło, tuż po tym, jak mama wyszła do miasta po zakupy, wszedł do mojego pokoju i zapytał wprost:

„Synu, co się stało? Gdzie jest ten twój kolega? Ty dobrze wiesz, prawda?”. Mówił to wszystko z taką pewnością, że natychmiast się rozpląkałem, dając upust nagromadzonym w ciągu ostatnich godzin emocjom. W parę minut opowiedziałem mu całą historię naszej wczorajszej wyprawy zakończonej zaginięciem Piotrka.

„Co teraz będzie? Co będzie? Może on jeszcze żyje?”. Płakałem z głębi serca, bo dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że być może już nigdy nie zobaczę mojego kolegi.

„Myślę, że on nie żyje. Nie miał żadnych szans w tym ciasnym korytarzu. To cud, że ty się uratowałeś! Co wam strzeliło do głowy, żeby tam włączyć?! Po co?! Czego szukaliście?!” – warknął wściekle, jakby jego złość mogła coś w całej tej sytuacji zmienić.

„Szukaliśmy drogi ucieczki z Górki do tych kwadratowych wież pod Chelmem. Chcieliśmy tylko przetrzeć szlaki... – Powoli zaczynałem się uspokajać, zdradzając niedawne plany. – Zamiast tego zaginął Piotrek, ale ja przynajmniej znalazłem to... Popatrz, tato!”. Wyciągnąłem z szuflady złote znalezisko.

Na widok biżuterii ojciec podskoczył jak oparzony.

„Pokaż! Pokaż! Ale cudo! Muszę wszystko dokładnie obejrzeć! Gdzie to znalazłeś?”. Niecierpliwie obracał w wielkich dłoniach tajemniczy skarb.

„No, tam, w podziemiach...”.

Chciałem mu dokładnie wszystko opowiedzieć, ale on był tak urzeczony bransoletą, że zdawał się w ogóle mnie nie zauważać. Kręcił nią na wszystkie strony, wkładał na przegub ręki i z trudem zdejmował, kilka razy dociskając do siebie szerokie brzegi. Wreszcie, jakby sam do siebie, powiedział:

„To jest bardzo, bardzo stare i na pewno ma wielką wartość, ale dla pewności muszę skontaktować się z Mundkiem Jankowskim z Zamościa. – Niewyraźnie zamruczał pod nosem, głośno zaś stwierdził: – Zabieram to, synu, i ani słowa nikomu! Od dzisiaj mamy jedną wspólną tajemnicę. A nawet jak tego twojego kumpla odszukają, to jemu życia nie wrócisz, więc lepiej milcz, bo wszyscy będziemy mieli cholerne kłopoty”. Położył mi na ustach wskazujący palec prawej ręki, niczym pieczęć sygnującą straszną tajemnicę, pozostawiając pod nosem ciężką woń wilgotnego złota.

Więc ja milczałem. Do dzisiaj. Jesteś pierwszą osobą, której opowiedziałem o tym wszystkim. – Marek uważnie wpatruje się w jej kamienną twarz w oczekiwaniu na okrzyk gniewu albo oburzenia z jej strony.

Lecz Justyna jest nienaturalnie spokojna, zupełnie jakby właśnie tego spodziewała się po Bednarczyku – nie okazuje zdziwienia ani zgorznienia. Po krótkiej chwili przerywa ciszę całkowicie zwyczajnym pytaniem:

– I co, mój ojciec wiedział, co to za biżuteria i skąd się tam wzięła? – Przecież Marek musi wiedzieć, czy Edmund Jankowski miał coś wspólnego z tą tragiczną historią. A przy okazji może wreszcie dowie się, co łączy go z Danielem

Waszczenką i królewską biżuterią, która trafiła w jego ręce?

Marek kilkoma łykami wody popija dwie białe tabletki, wytrąsnięte z plastikowego pudełeczka. Wyraźnie widać, jakie spustoszenie poczyniła w jego organizmie choroba – jest osłabiony, ma spocone czoło i drżące ręce, w ciągu kilku miesięcy postarzał się o jakieś dziesięć lat.

– Wtedy, w tym podziemnym tunelu, na pewno znalazłem jedną z bransolet pochodzącą z tajemniczych regaliów księcia Daniela Romanowicza. Szeroka, masywna obręcz ze złota mogła być zrobiona tylko dla władcy Wikingów, który był rośłym, potężnym wojownikiem, toteż wszystkie precjoza musiały mieć stosowny rozmiar. Mój ojciec też był ogromnym, postawnym mężczyzną, więc biżuteria pasowała na jego rękę jak ulał, a po przymierzeniu okazało się, że miał trudności z jej ściąganiem. Tamtego fatalnego dnia w ruinach krupskiego pałacu był umówiony z kimś, kto miał obejrzeć to cudo i upewnić go co do oryginalności pochodzenia. Tą osobą mógł być jedynie Edmund Jankowski. Zresztą miejsce ich spotkania – Krupe – leży na trasie Zamość–Chełm, więc wszystkie drogi prowadzą do ruin pałacu Orzechowskich, gdzie dopadła go śmierć. – Marek z uwagą przygląda się Justynie. – Nie sądzę jednak, by twój ojciec tam wtedy dotarł, bo wiem, że jako człowiek wystarczająco podpadnięty politycznie bał się pokazywać u boku Czesława Kornilczuka... – Szorstki głos Marka milknie z chropawym skrzypnięciem. – Dzisiaj już wiem, kto i dlaczego to zrobił, ale nigdy tego nie udowodnię... – Zrezygnowany, nisko zwiesza posiwiałą głowę.

Justyna jest coraz bardziej niespokojna – opowieść Marka, zamiast dawać spodziewane wyjaśnienie, jeszcze bardziej komplikuje i tak trudne relacje. Dotąd nie miała pojęcia o zażyłości ich ojców. Edmund Jankowski nigdy o tym nie wspominał, nigdy też nie wyrażał się źle o Kornilczuku.

– Kto to mógł zrobić? Zwyczajni złodzieje skuszeni łatwym zarobkiem?

Nawet jej samej to pytanie wydaje się całkiem nedorzeczne.

– Oczywiście, że nie. Pospolity rzezimieszek obrabowałby mojego ojca ze wszystkiego, co było do zabrania, i nie strzelałby z radzieckiej broni palnej wprost w serce. Pewnie było zupełnie inaczej... – Marek przymyka zmęczone oczy, ale po chwili znowu wraca do tematu: – Jakiś czas po śmierci mojego ojczy, kapitana milicji Romana Bednarczyka, kiedy matka pogodziła się już z faktem podwójnego wdowieństwa, zaczęliśmy w domu porządkować pokój, który kolejno zajmowali jej mężowie. Wśród sterty przemieszanych papierzysk, na dnie szuflady w starej komodzie znalazłem zawiniętą w kratkowany papier kancelaryjny złotą omegę – zegarek, z którym mój ojciec nigdy się nie rozstawał. Więcej szczegółów odkryłem w szarej kopercie, zaklejonej luszczącym się klejem, którą ojczym przymocował do spodu dębowej szuflady. Tkwiły tam dwa ponumerowane czarno-białe zdjęcia z pieczętką Komendy Wojewódzkiej Milicji w Chełmie. Na obu wyraźnie widać było podwinięty rękaw białego popelinowego płaszcza i prawie całkowicie zdartą

skórę z lewego nadgarstka i dłoni mojego ojca. Na prawym przegubie, blaskiem odbitym od flesza milicyjnego aparatu fotograficznego, błyszczała dumna omega, którą miał na rękę w chwili śmierci.

Na szczęście matka nie zobaczyła obu tych znalezisk, bo akurat wyszła przed dom zapalić papierosa. W trosce o nią, przemilczałem sprawę zegarka i zdjęć, i aby nie zadawać jej więcej bólu, nie mnożyć domysłów ani nie wzbudzać żalu po zmarłych, schowałem wszystko w moim pokoju, biorąc na siebie rozwikłanie tej tajemnicy.

Po raz pierwszy na ślad związany ze śmiercią ojca trafiłem ponad dwadzieścia lat temu. Wtedy też zrozumiałem, co znaczy wyświechtane powiedzenie, że świat jest mały. Pływałem po Morzu Północnym kontenerowcem pod liberyjską banderą. W ciągu trzymiesięcznego rejsu zaprzyjaźniłem się bardzo z inżynierem pokładowym – Rosjaninem Dymitrem Pawłowiczem Jegorowem, który opowiedział mi arcyciekawą historię.

Pewnego razu, na wieść o tym, że pochodzę z Chełma, mocno podпиты Jegorow zaczął gorączkowo rozpytywać mnie o fakty dotyczące Stalagu 319 B. Wiedziałem, że w latach 1941–1944 istniał tam hitlerowski obóz jeniecki przeznaczony głównie dla pojmanych w czasie wojny żołnierzy radzieckich, ale nigdy specjalnie nie interesowałem się szczegółami. Dopiero Dimka uświadomił mi ogrom rozgrywającej się tam ludzkiej tragedii. Po walkach na froncie wschodnim w roku 1942 do Stalagu 319 B trafił jego dziadek, dwudziestoczteroletni wówczas Paweł Pawłowicz Jegorow. Lecz rodzina Jegorowów dowiedziała się o tym dopiero po roku 1991 od ówczesnego prezydenta Rosji Borysa Jelcyna, który ujawnił bolesną prawdę.

Paweł Pawłowicz Jegorow, jak tysiące innych jeńców radzieckich, został przez Stalina uznany za zdrajcę ojczyzny i pamięć o nim wymazano w Związku Radzieckim na prawie pół wieku. Poczucie krzywdy, które przez te lata wyrosło na gruncie komunistycznej mistyfikacji, było szczególnie dotkliwe dla jedyne go syna Pawła Jegorowa – Mikołaja Pawłowicza, późniejszego ojca Dymitra. Kiedy w 1941 roku wybuchła Wielka Wojna Ojczyźniana, Mikołaj Pawłowicz miał zaledwie kilka lat i właściwie nie pamiętał swojego młodziutkiego ojca idącego na front. Ale zapamiętał dobrze, że jako dziecko nigdy nie mógł pochwalić się przed kolegami jego bohaterstwem w szeregach Armii Czerwonej. Podczas gdy inni ojcowie wracali z wojny obwieszeni medalami, on nie miał czym zaimponować, bo swojego ojca nigdy więcej nie zobaczył.

To sprawiło, że zawsze czuł się gorszy od rówieśników, a wstydliwie skrywane kompleksy wczesnego sieroctwa i brak ojcowskiego autorytetu pchnęły go na drogę kariery w szeregach KGB. Szybko został gorliwym komunistą i wzorowym oficerem wywiadowczych struktur radzieckiej władzy. W nagrodę za nienaganną służbę młody, inteligentny pułkownik Jegorow został wysłany do

Polski w celu rozpracowania sprawy ukraińskiej o kryptonimie „Wareg”, związanej z zaginioną biżuterią średniowiecznych władców księstwa halicko-włodzimierskiego. W ten sposób w roku 1976 znalazł się w Chełmie, gdzie przez kilka miesięcy prowadził tajne działania operacyjne. Wtedy jeszcze nie miał pojęcia, że przyjechał do miejsca, w którym, dwukrotnie zhańbiony, zginął jego ojciec. Sprawa chełmskiego Stalagu 319 B została ujawniona dopiero po rozpadzie Związku Radzieckiego, akurat niedługo po tym, jak Mikołaj Pawłowicz Jegorow przeszedł na zasłużoną emeryturę. Wieść o tym, co się stało z tysiącami radzieckich jeńców i niezbite dowody na to, jak zostali potraktowani przez Stalina, wstrząsnęły emerytowanym KGB-owcem. Twardy i bezwzględny w pracy, której poświęcił najlepsze lata swojego życia – po odkryciu bulwersujących faktów całkowicie się załamał. Przeświadczenie, że był takim samym jak jego ojciec nic nieznaczącym trybikiem w tej barbarzyńskiej komunistycznej maszynie, dobiło go zupełnie. W krótkim czasie zdiagnozowano u niego inwazyjny nowotwór płuc, nierokujący żadnej nadziei na wyzdrowienie. Przeczując nadchodzącą śmierć, wyjawiał swojemu synowi Dimce dręczącą go tajemnicę: Kiedyś na tajnej misji w Polsce musiał zabić zupełnie nieznanego człowieka, będącego w posiadaniu złotego skarbu Rurykowiczów. Wszedł z nim w kontakt wcześniej, podając się za Ukraińca z Krymu, który chce pokątnie nabyć cenną biżuterię. – Marek łapie głęboki oddech, żeby móc wykrzyczeć najgorsze: – No i po prostu dla kawałka złotej blachy zastrzelił mojego ojca, bo miał taki rozkaz, a z jeszcze ciepłej ręki zdarł razem ze skórą ciasno przylegającą bransoletę. Potem, nie niepokoiony przez nikogo, wywiózł skarb do Związku Radzieckiego i oddał do rąk własnych swojego zwierzchnika. Taki miał rozkaz, rozumiesz, Justyna? W podziękę za wykonanie zadania przyczepili mu jakiś komunistyczny medal i uhonorowali go wysoką premią... – Marek w zamyśleniu ogląda swoje szczupłe dłonie. – Ale sprawa ma jeszcze drugie dno: zadaniem polskiej milicji było zatarcie wszelkich śladów mogących naprowadzić kogokolwiek na sowiecki trop tej zbrodni, poprzez upozorowanie napadu rabunkowego. Tym zadaniem dowodził mój ojczym: Roman Bednarczyk – Markowi wyraźnie zaczyna brakować sił do dalszego opowiadania.

Justyna zdaje sobie sprawę z coraz większego ciężaru przeszłości, którym tak niespodziewanie została obarczona. Boi się zapytać o cokolwiek w obawie, że usłyszy o kolejnej ludzkiej tragedii. Lecz w końcu zwykła kobieca ciekawość i mentalność archeologa bierze górę nad lękiem i Justyna niepewnym głosem rzuca jakby od niechcenia:

– A twoim zdaniem, jaki związek z bransoletami Rurykowiczów miał Daniel Waszczenko, ten Ukrainiec, który w ubiegłym roku pracował przy wykopaliskach w Chełmie?

– No właśnie! Może ty mi powiesz? To w ogóle był jakiś dziwny facet! Miał ogromną wiedzę historyczną, ale zachowywał się, jakby był nie z tej ziemi,

dosłownie nie z tego świata! – Marek stawia na biurku otwartą butelkę z resztkami wody mineralnej i prostuje zgarbione od emocji plecy.

– Jednak zrobię herbatę... – Justyna stara się ukryć wrażenie, jakie zrobiły na niej ostatnie słowa Bednarczyka.

– Dobrze, bo już mi się kończy woda. Nie wiedziałem, że tak dużo czasu zabierze moja spowiedź, ale dzięki temu mogę być dłużej z tobą. Może ostatni raz?

– W jego ciemnych oczach pojawiają się na chwilę jaśniejsze, bursztynowe ogniki, dające złudne wrażenie, że czas się cofnął, a oni mają znowu po dwadzieścia lat i są studentami archeologii. – Daniel Waszczenko wiedział chyba wszystko o księstwie halicko-włodzimierskim, insygniach koronacyjnych Daniela Romanowicza, powiązaniach genetycznych Rurykowiczów z Wikingami, a w dodatku miał na przedramieniu niemal dokładnie odwzorowaną bransoletę, identyczną jak ta, którą znalazłem w podziemnym tunelu. Zanim przyjechałaś do Chełma, obaj spotykaliśmy się codziennie. Coś niewytłumaczalnego pchało mnie ku temu człowiekowi, czułem, że tylko on pozwoli mi wyjaśnić tajemnicę śmierci mojego ojca i znajdzie bransoletę królowej. Lecz w nim było coś dziwnego, coś, czego w ogóle nie rozumiałem. Jaki był cel, dla którego pojawił się w Chełmie? Czego tak naprawdę szukał w ruinach pałacu księcia Daniela? Czy coś znalazł? Może ty wiesz więcej, bo byłaś z nim do końca wykopalisk? I gdzie on jest teraz? Numer telefonu, który mi zostawił, nie odpowiada od września ubiegłego roku. Czy jesteś z nim w kontakcie? Bardzo mi zależy na spotkaniu. Nie zdążyłem też opowiedzieć mu historii znalezionej przeze mnie bransolety, a czasu zostało niewiele... – Marek znowu milknie wymownie.

– Wygląda na to, że Daniel nie skontaktuje się z tobą – ze ściśniętego gardła Justyny wydobywa się nienaturalnie cichy głos. – To jest po prostu niemożliwe, bo...

Marek wyraźnie się ożywia.

– Bo zginął w wypadku samochodowym tuż po zakończeniu wykopalisk. I wszystkie tajemnice zabrał ze sobą tam... – Justyna wymownie podnosi w górę błękitne oczy.

– Widocznie dane nam będzie zobaczyć się w innym wymiarze. Już niedługo... – Marek mówi to wszystko niemal z radością osoby oczekującej na spotkanie dawno niewidzianego przyjaciela.

Justyna zaparza wrzątkiem dwie torebki miętowej herbaty, lejąc ukrop do mlecznobiałych filiżanek.

„Nie, nie powiem mu, że Daniel w końcu znalazł bransoletę królowej, że mam wątpliwości, kim był naprawdę i dlaczego pojawił się w naszym życiu, że odwiedziłam moją kuzynkę Swietlanę w jego willi i że sama nie wiem, co mam naprawdę myśleć o tym wszystkim...”. Przesuwa pękatą filiżankę na brzeg biurka, stawiając dymiący napój tuż przed Markiem.

On, zupełnie jakby czytał w jej myślach, nagle zmienia temat:

– Postanowiłem pozostawić po sobie chociaż dobre wspomnienie. Mój dom w Gdyni przepisałem córce. Moja matka załatwiła z nią też sprawy spadkowe, dotyczące domu w Chełmie. Byłej żonie zostawiam letnisko nad Jeziorem Białym, do którego nie zdążyliśmy razem dotrzeć, a Konstancin... Konstancin podarowałem Swietłanie. Ona jedna dała mi wreszcie szczęście, na które zawsze czekałem. Szkoda, że tak krótko byliśmy razem... – Ogrzewa zmarznięte dłonie, oplatając nimi gorącą filiżankę. – Mam do ciebie prośbę, Justyna: przyrzeknij, że kiedy już mnie nie będzie, spotkasz się ze Swietłaną i pomożesz jej, jeśli będzie tego potrzebowała. – W jego oczach skrzą się łzy.

– Dobrze, ale ja... – przeciąga słowa, zwlekając z przyznaniem się do niedawnego spotkania ze Swietłą.

– Swietłana to Ukrainka, która przyjechała do pracy w Polsce. Ma polskie pochodzenie, po matce. Sama wychowuje córkę, bo jej mąż parę lat temu zginął w wypadku samochodowym. I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno wściekłem się na jej widok... ale... ona jest tak niesamowicie podobna do ciebie, że nie mogłem się oprzeć i dlatego została. Zawsze, gdy brałem ją w ramiona, wyobrażałem sobie, że to jesteś ty... – Marek powoli sący aromatyczną herbatę. – Początkowo, raz w tygodniu przychodziła sprzątać mój dom Ukrainka Lena, do której miałem pełne zaufanie, więc gdy pewnego deszczowego dnia po półrocznym rejsie niespodziewanie wcześniej wróciłem do domu i zamiast Leny z odkurzaczem w ręku zastałem Swietę, trafił mnie szlag. Jak mogła wprowadzić kogoś obcego bez mojej zgody? Ale widok tak pięknej kobiety błyskawicznie mnie rozbroił i choć początkowo zamierzałem urządzić Lenie awanturę, że nie poinformowała o zmianie pomocy domowej, szybko zaakceptowałem Swietę, tym bardziej, że... no, wiesz dlaczego. – Milknie, znowu przygryzając wargi. – Przypominała mi bezpowrotnie straconą miłość sprzed lat... – Odważnie patrzy w oczy Justynie. – Kiedy odeszłaś z Jackiem, myślałem, że zwariuję... i żeby wyleczyć się z nieszczęśliwego uczucia, wziąłem szybki ślub z Magdą, która zawsze mi się narzucała i zaszła w ciążę zaraz pierwszej nocy po twoim wyjeździe... Nigdy nie byliśmy razem szczęśliwi, wymuszone małżeństwo nikogo przecież nie połączy, i kiedy nasza córka skończyła pięć lat, wystąpiłem o rozwód. Tak naprawdę byliśmy tylko fikcyjną parą – ja ciągle w rejsach, ona nie należała do wiernych Penelop. W czasie mojej nieobecności związała się z rozwiedzionym prawnikiem i właściwie rozwód był jej bardzo na rękę, ale po co ja to wszystko ci opowiadam? To już stare dzieje... – zniechęcony, urywa w pół zdania.

– Zrobię wszystko, o co mnie prosisz... możesz być pewien... – Głos Justyny cichnie, zdławiony przez niespodziewanie napływające łzy. – A może zdarzy się cud, przezwyciężysz chorobę i wszystko się jakoś ułoży? – Sama nie wierzy we własne słowa.

– Daj spokój, nigdy jeszcze niczego nie byłem tak pewien, jak tego, że nie mam żadnych szans. Ale dzięki, kochana. – Marek podnosi się z krzesła, jednocześnie zasuważąc zamek w kurtce.

– Marek! – Justyna rzuca się w jego kościste, nienaturalnie wychudzone ramiona.

– Wspomnij mnie dobrze, choć czasem. – Niezgrabnie gładzi jej długie blond włosy, wtapiając pobladłe usta w pachnące olejkiem arganowym pasma. – Pamiętaj, że zawsze cię kochałem, zawsze... – Drzwi gabinetu zamykają się z miękkim klapnięciem.

Justyna przez dłuższą chwilę stoi jak wryta w miejscu, w którym Marek wypuścił ją z objęć. Oszołomiona, próbuje się skupić, żeby ogarnąć to, co przed chwilą się wydarzyło. Rozpierzchnięte myśli krążą bezładnie, trudne do uchwycenia. Czuje się identycznie jak w chwili, gdy zobaczyła odchodzącego w liliowej poświacie Daniela. Wyraźnie widzi zielone oczy, tajemniczy uśmiech, słyszy gorący szept, czuje subtelny dotyk jego dłoni...

Zapamiętany obraz wymyka się spod zaciśniętych powiek, przybierając realny kształt...

– Daniel... ty też jesteś tu?! – Silny zawrót głowy każe Justynie odruchowo poszukać oparcia na ciemnej płaszczyźnie zamkniętych drzwi. Nie wie, jak długo trwa zastygła w bolesnym wspomnieniu, aż w końcu szeroko otwiera pełne łez oczy i zdumiona, z nadzieją rozgląda się po pokoju:

„Nie, nie ma nikogo, przecież zostałam sama...”. Wierzchem zmarzniętej dłoni przeciera pałające gorączką policzki. I wtedy, jak błyskawica, przychodzi olśnienie:

– Wiem, czego tak mi brakowało! Już wiem! Nareszcie! Ale... czy to możliwe?! – mówi głośno sama do siebie, okrężnymi ruchami palców z niedowierzaniem pocierając pulsujące skronie. – Marek nie pozostawił po sobie żadnego zapachu! On, zawsze tak intensywnie oznakowany esencjonalnym męskim kodem, dzisiaj był nierozpoznawalny, bezwonny, a może w ogóle nieobecny? Ale... przecież... tak samo było z Danielem! On był po prostu nieuchwytny! – Wreszcie dociera do niej świadomość, że chociaż tak długi czas byli z Danielem blisko siebie, ona nie potrafiła nazwać, wytłumaczyć tego zjawiska. Zapamiętała wszystkie szczegóły rysów twarzy, labirynt tatuażu, tonację śmiechu, strzelistość spojrzenia, gładkość skóry, ale nie dane jej było nigdy poznać zapachu jego obecności!

Drżącymi z emocji rękami włącza komputer, wrzuca do torebki komórkę, paczkę chusteczek higienicznych i ulubiony cienki długopis, przezroczysty jak ciało jeziornej rozwielitki. Wprawnym ruchem, bez użycia lusterka, kilkakrotnie na pamięć obrysowuje ciemnoróżową szminką kontury ust. Jest tak zaaferowana swoim odkryciem, że sama nie wie kiedy – w niedbale narzuconej na ramiona

błękitnej kurtce, z ciepłym szalikiem i niezamkniętą torebką w ręku – zbiega ze schodów i kładzie klucz na ladzie w pustej szatni.

Zza węgła po lewej stronie kontuaru wychyla się niespodziewanie rumiana twarz pani Nataszy, sympatycznej emerytki – Klucznicy, jak nazywają ją od lat wszyscy pracownicy instytutu. Kobieta pewnym ruchem przysuwa do siebie srebrzysty klucz z numerem gabinetu wytłoczonym na metalowej zawieszce i niemal z matczyną troską rzuca w kierunku wychodzącej Justyny dobre rady, mówiąc:

– Dobranoc, pani profesor! Proszę nałożyć czapkę i zapiąć kurtkę, bo mróz się bierze na noc jak diabli!

– Dziękuję i dobranoc! – Justyna posłusznie zatrzymuje się dwa kroki od osłaniającej drzwi wejściowe ciemnobrązowej kotary, chroniącej wewnątrz budynku przed bezpośrednim wtargnięciem zimnego powietrza. Z kieszeni kurtki wyciąga włóczkową czapkę w kolorze bluemarine i niedbale wciska ją na głowę, odrzucając na ramiona pasma długich włosów. Kurtki nie zamierza zapinać, bo przecież zaraz wsiądzie do swojej zaparkowanej przed budynkiem srebrzystej toyoty, która przyjaźnie pobłyскуje w kulistym świetle pomarańczowej ulicznej latarni.

– Pani Nataszo... przepraszam, ale... czy nie pytał o mnie dzisiaj wieczorem wysoki mężczyzna, w moim wieku... szczupły, przystojny, w czarno-niebieskiej kurtce...? Ma taki miękki, radiowy głos... Wiedziała pani, że cały czas jestem w gabinecie, prawda? – Uff, co za ulga, że jednak wyrzuciła z siebie to pytanie i wreszcie usłyszy sensowną odpowiedź.

Natasza musiała widzieć Marka, bo ona jest uważnym strażnikiem, nawet mysz się nie prześliznie bez zameldowania u niej swojej obecności, a co dopiero Marek...

Dobroduszną, rumiana twarz Nataszy w jednej chwili przybiera wyraz bezgranicznego w swojej pulchności zdumienia:

– Nie, pani profesor, nikogo nie było do pani... nikt też o nic nie pytał. Siedzę tu kamieniem od paru godzin, bo czytam interesującą lekturę... o, proszę zobaczyć! – Natasza macha zza lady grubą książką w szarej okładce, na której z daleka pobłyскуje doskonale widoczny wielki kuchenny nóż, ociekający krwawymi smugami wypukłego nadruku. – Ależ wciągający ten kryminał! Trzyma w napięciu, aż mnie szczęki bolą! Już prawie skończyłam, ale rozwikłanie zagadki zabójstwa znanego pisarza zostawiam sobie dzisiaj na nocne godziny! I tak nie mogę spać! Będę dawkować rozkosz! Dobrze, że pani pracowała tak długo, to mogłam oddać się lekturze, nikt mi nie zawracał głowy bzdurami, jak to zawsze w domu. Człowiek nie może spokojnie czytać, bo stary zaraz woła: „Jeść!”, córka chce, żeby narobić jej pierogów z kapustą, a wnuki przylatują ze spodniami do skrócenia albo z zepsutym zamkiem do wymiany. I tak w kółko! Niestety, kobieta nie ma życia nawet na emeryturze, dopiero tutaj jest trochę luzu. Ot, los! A ten

kryminał polecam gorąco! W poniedziałek oddam go do naszej osiedlowej biblioteki, więc można będzie od razu przepisać na pani konto, bo czeka długa kolejka! – Takiej promocji książki mogą pozazdrościć nawet największe wydawnictwa na polskim rynku upadającego czytelnictwa.

Dzięki pani Nataszy Justyna uświadamia sobie, że nie pamięta, kiedy ostatnio czytała „coś pięknego”. Zakręcona obowiązkami na uczelni od dawna nie znajduje czasu na wytchnienie przy dobrej powieści, strofach wiersza czy mrożącej krew w żyłach sensacji. I choć już wie, że koniecznie, jak najszybciej musi to zmienić, odpowiada niby komputer zaprogramowanym językiem:

– Och, niestety, nie skorzystam z oferty, mam mnóstwo zaległej służbowej pracy: raporty, wydawnictwo, sprawozdanie z wykopalisk... i właśnie czekałam na tego człowieka, o którego pytam... miał przynieść resztę materiałów. – Sama nie wie, po co właściwie tak nieskładnie się tłumaczy.

– Nie, nie było nikogo, na pewno! Zresztą w taki ziąb, w piątek wieczorem, kto by tam chciał lecieć z jakimiś papierami! Pewnie przyjdzie w przyszłym tygodniu. Może to i lepiej? Niech sobie pani profesor odpocznie przez weekend od tego wszystkiego! Trzeba poczytać coś lekkiego, ot, choćby taki kryminał! Albo serial meksykański obejrzyć o miłości. Tam są tacy przystojni aktorzy, po prostu ciacha! Mniam! Niechże się pani oderwie od tych wykopalisk, grobów, czerepów, umarłych i duchów! Od tego człowiekowi w głowie się mąci! Nie można tak ciągle stać na progu dwóch światów! Po niedzieli też jest czas na pracę! Dobranoc! – Pani Natasza chowa książkę do dużej czarnej siatki na zakupy.

– Może podwieźć panią do domu? Jest już dosyć późno... – Justyna właśnie pojęła, że to przecież przez nią starsza kobieta musiała zostać dłużej w pracy.

– Nie, nie, ja mieszkam tu niedaleko, przejdę się, żeby rozprostować nogi po całym dniu. Mąż zaraz ma przyjść po mnie, bo nie pozwala, żebym sama wracała po nocy, a przy okazji też będzie miał spacer, ale dziękuję pani, bardzo dziękuję! Ooo, to na pewno mój Franciszek dzwoni... – Pani Natasza wyciąga spod lady jakiś wiekowy model telefonu komórkowego i przykłada głośno brzęczący aparat do ucha. – Tak, tak, czekam na ciebie. Nie... nie ma już nikogo w budynku... gaszę światło i wychodzę... Będiesz tu za pięć minut? To dobrze! – Pożegnalnie potrząsa w kierunku Justyny jaskrawą aureolą mocno skręconych włosów, nierównomiernie, domowym sposobem zabarwionych liliową płukanką.



EPILOG

Przez dziewięć długich lipcowych dni i krótkich nocy roku 1015 zmarły tragicznie wódz ludu Rhos – szlachetny i dobry Ari – zajmował tymczasowy, przykryty dachem drewniany grób w ziemi, czekając, by wypełnił się magiczny czas potrzebny na przejście drogi pomiędzy światem żywych i umarłych.

W owym czasie cała społeczność Powoźza, której za życia przewodził, czyniła przygotowania do ostatecznego pożegnania jego doczesnych szczątków. Zgromadzone przez zmarłego mienie skrupulatnie podzielono na trzy równe części: pierwsza przypadła najbliższej rodzinie, druga posłużyła do uszycia stroju niezbędnego wodzowi w ostatniej drodze, a z pozostałej przygotowano rytualny trunek, odurzający nabid, bez umiaru spożywany w dniach żałoby na cześć nieboszczyka.

Nad wszystkim czuwała kapłanka magów, złowroga wiedźma Malusza, zwana Aniołem Śmierci, która wraz z trzema równie posępnymi córkami wiele już razy sprawowała tajemne ceremonie pogrzebowe.

Pod jej czujnym okiem ze stu łokci bawełnianej materii uszyto Ariemu spodnie wiązane nad kolanem, długą, powłóczystą tunikę i satynowy kaftan ze złotymi guzami. Całości dopełniła brokatowa czapka z sobolim futrem.

Zmarły władca, złożony w komorze grobowej wraz z zapasem owoców i trunków, mógł jeść, pić i grać na lirze, po raz ostatni na równi z żywymi biorąc udział w tych samych obrzędach, którym oddawali się jego ziemscy towarzysze.

Na tamten świat miała odejść wraz z nim także jego wierna niewolnica, piękna mleczolnica Ormiga. Ona doskonale wiedziała, co oznacza słowo „Ja”, potwierdzające przed rodziną zmarłego, że nie wycofa się już z tego zobowiązującego przyrzeczenia. Tym jednym krótkim przyzwoleniem, będąc w kwiecie wieku, w pełni sił i zdrowia zgadzała się dobrowolnie odejść w zaświaty wraz ze swoim ukochanym panem.

Zgodziła się bez wahania, bo i po co miała żyć tu, na ziemi, kiedy jego istnienie w tragicznych okolicznościach tak niespodziewanie dobiegło końca? Z kim dzielić strawę, łoże, śmiech i łzy, gdy Ari na zawsze zastygł w śmiertelnym grymasie, wykrwawiony od ran poniesionych w bitewnej potyczce z jakimś mało znanym przeciwnikiem? Rozmiłowana, nieutulona w żalu Ormiga postanowiła pójść u jego boku do krainy wiecznej szczęśliwości, do bram szeroko otwartych w niezmiernych przestworzach, by spełniło się przesłanie wyryte runami w środku złotych bransolet, co je sobie spleceni miłości uściskiem włożyli na ręce wrześnieową chłodną nocą niecałe dwa lata temu.

„Z miłości do ciebie to wszystko” – szczere wyznanie uczucia odcisnięte na jej bransolecie zyskało inny wymiar, by dzisiaj już dozgonnie połączyć się z życzeniem wypisanym we wnętrzu noszonej przez niego ozdoby: „*Bądź zawsze w mocy miłości*”.

I choć przeszły już trzy pełne zimy tego szalonego kochania, to syn następcy nie zdążył zrodzić się z ich gorącej namiętności i sama na świecie pozostawała tylko jedna, jedyna cząstka wspólnej pamięci – płowowłosa córeczka Groa.

Pilnowana dzień i noc przez córki wiedzy Ormiga, połykając łyżę rozpacz, czyniła na pozór radosne przygotowania do odejścia ze swym panem w wieczną podróż. Miała dziewięć długich letnich dni na to, aby czas żałoby stał się dla niej niepomahowanym weselem: wystrojona w najlepsze szaty, przyozdobiona kunsztownej roboty biżuterią, każdego dnia ze śpiewem na ustach, przy wtórze chordofonu wstępowała do szałasów krewnych zmarłego władcy i pijąc pospołu z nimi narkotyczny nabit, wszystkim dobrowolnie oddawała w ofiarne posiadanie swoje jasne, gibkie ciało.

Tak nadszedł dla alabastrowej Ormigi dziesiąty poranek chłodnego powołańskiego lipca, a z nim ostateczny kres ziemskiej wędrówki wodza i początek wyprawy do królestwa Odyna – opiekuna poległych wojowników w niebiańskiej Walhalli. Nie darmo zaś zwano Rhosów „ludem wiosłującym na łodziach” – całe ich życie upływało bowiem i kończyło się na wodzie.

Żałobnicy wyciągnęli na brzeg rzeki statek zbudowany na tę okoliczność z drzewa hadank i postawiwszy go na czterech masywnych podporach, otoczyli rusztowaniami wielkich pomostów. Na środku pokładu umieścili drewniany szałas pokryty mieniącymi się bizantyjskimi brokatami, które w pełni oddawały rangę i poważanie dla zmarłego przywódcy.

Wtedy z nabożną czcią wyjęli swego wodza z jamy grobowej i oddając mu najwyższą cześć, ubrali pośmiertnie szerniałego w ostatnie, skrojone na tę okoliczność bogate odzienie, a z jego martwego jestestwa nie wydobywał się żaden, choćby najłżejszy odór śmierci ani też powiew życia.

Był to widomy znak, że zmarły wciąż jeszcze trwa niepewnie, zawieszony w szczelinie czasu pomiędzy dwoma światami – tu, na ziemi, niepożegnany, tam, w niebiosach, niepowitany.

Ormiga widziała, jak przybrany w piękne szaty Ari został wniesiony do szałasów, a jego sztywne ciało, podparte wzdętymi poduszkami, osiadło ciężko na miękkiej kołdrze. Przed jej zamglonymi oczami jak we śnie przesunął się orszak krewnych, dźwigających chleb, wonne zioła, nabit, owoce, cebulę i mięso, zaś tuż przed zmarłym wierni wojowie rozłożyli wszystką jego broń, co władał nią tak zręcznie w swoim zbyt krótkim bohaterskim życiu.

Kiedy już wódz został wyposażony w strawę i ulubione przedmioty, przyszedł czas na zabranie w krainę wieczności bliskich jego sercu żywych istot.

Jako pierwszy za swoim panem wyruszył mały rudy piesek, nieodłączny towarzysz wszystkich wojennych wypraw – rozcięty na pół przez jednego z wojowników, z żalnym skowytym padł martwy do zimnych nóg Ariego. Tuż po nim ten sam los podzieliły złożone w krwawej ofierze ręce wierzchowce wodza – kary i kasztan, a także dwie łaciate krowy, pstrokaty kogut, który budził go co rano, i biała gdakliwa kura.

Wielki statek, kołysząc ciężko burtami na szmaragdowej tafli wody, szybko został załadowany wszelkim jadem i ciałami zwierząt. Wówczas Ormiga, mimo zamroczenia trunkami zrozumiała, że oto czas tutaj już się wypełnił, a Ariemu do pełni szczęścia w pozaziemskiej podróży brakuje tylko jej obecności.

Przed zamkniętą bramą prowadzącą na statek stanęła więc wyprostowana, z wysoko podniesioną głową, gotowa na wszystko, co miało się za chwilę zdarzyć.

Jakby na dany znak, grupa rosnących mężczyzn splotła ze sobą silne, szerokie dłonie zaprawionych w walce wojowników i Ormiga zajęła miejsce na tym żywym podeście. Potem, niczym bojowy porządek trzykrotnie wynoszona ponad drewnianą bramę, opadała z powrotem i znów górowała, drżącym z przejęcia głosem wypowiadając przy tym magiczne zaklęcia obrzędu przejścia między krainą żywych i umarłych:

– Widzę ojca mego i matkę moją... i wszystkich moich bliskich, którzy dawno pomarli... i pana mego w rajskim ogrodzie. Jakże pięknie jest tam, jak zielono... zaś Ari, pan mój, przyzywa mnie do siebie. Idę już, idę, kochany!

Wówczas oni, w odpowiedzi na ten chrapliwy rozkaz, podtrzymując pod rękę piękną Ormigę, posłusznie powiedli ją przez otwartą bramę ku statkowi, gdzie w szałasie wciąż samotnie czekał ukochany wódz. Wreszcie, dzięki zgodzie na śmierć u boku Ariego, dostąpiła zaszczytu bycia jego oficjalną żoną, on zaś przed kremacją ciała niemo wołał ją do siebie, tym samym uznając za prawowitą małżonkę, z którą stanie u wrót Walhalli.

Tuż przed wejściem do namiotu jeszcze odwróciła się bezwiednie i wśród zebranej ciżby ludzkiej zobaczyła jasną główkę maleńkiej Groi, która zdawała się patrzeć za nią pełnymi łez błękitnymi oczami osieroconego dziecka. Ale dla Ormigi nie było już odwrotu. Zanim weszła do szałasu, powoli zdjęła złote bransolety przez ostatnie dni zdobiące jej smukłe ręce i zgrabne nogi, po czym posłusznie oddała ozdoby Kapłance Śmierci. Malusza zaś, zniecierpliwiona przedłużającym się oczekiwaniem, ukryła je w przepastnej kieszeni zgrzebnej sukni, aby potem przekazać Groi tę jedyną pamiątkę po rodzicach, i od razu po tym gardłowym głosem nakazała Ormidze opróżnić, jeden po drugim, dwa kielichy nabidu, aby dobrowolnie idącej na śmierć kobiecie pomieszało się w umyśle i przed czekającym ją ostatnim w ziemskim życiu okrutnym rytuałem nie próbowała stawiać najmniejszego choćby oporu.

Gdy mocno oszołomiona trunkiem dziewczyna skończyła śpiewać smutną

pieśń pożegnalną, starucha brutalnie rzuciła się na nią, wciągając za długie włosy do środka szałas. Tam, w obecności zmarłego wodza, dla nawiązania kontaktu z mocami bogów płodności, sześciu jego najbliższych krewnych połączyło się cieleśnie ze świeżo poślubioną żoną Ariego, który sam nie mógł już spełnić małżeńskiego obowiązku.

Najdłużej i najgorliwiej wypełniał swoją misję Arnvald, młodszy brat zmarłego. On zawsze pragnął posiadać ukochaną niewolnicę wodza tak, jak każdą rzecz po nim. Od lat durzył się w Ormidze, skrycie zazdrościł bratu charyzmy, władzy i miłości. Wreszcie teraz miał jedyną okazję, by w rytualnym zawłaszczeniu jej bezbronnościami ciała zaspokoić nieokielznane żądze, zemścić się za swoje nieudane życie w cieniu brata, za to, że zawsze był tylko drugi, następny, mniej ważny.

Ale ona, zmęczona nieludzko tym dziewięciodniowym pożegnaniem, odurzona ilością wypitych trunków, uśmiechała się tajemniczo, nie mogąc jasno rozeznaczyć, kto jest kim... zmarły... czy żywy... ziemia... niebo... rzeka... Nawet zdawało jej się przez mgnienie chwili, że to sam Ari znowu tuli ją w silnych ramionach, całuje jej powieki, zaciśnięte w spazmatycznej ludzkiej rozkoszy, dławi osiadły w gardle pomruk oddania... Bo przecież bracia byli podobni do siebie: obaj rośli, wysocy, mieli ten sam zapach krwi i ostrość potu, ten sam niski, gorący szept spełnienia wypływał z ich ust, więc nie czuła już żadnej różnicy, nie broniła się przed przeznaczeniem, nie oponowała, kiedy trzymali ją za ręce i nogi, a Arnvald, z żeglarską wprawą zaciskał na jej długiej, delikatnej szyi pętlę szorstkiego powrozu, by nadchodzącej ku Ormidze śmierci torować przystępniejszą drogę...

Następnie uczynił się wielki hałas: to na brzegu rzeki kilkunastu mężczyzn rytmicznie biło pałkami w tarcze, zagłuszając rozdzierający krzyk Ormigi, dźganej przez Anioła Śmierci ciosami ostrego noża z szeroką klingą, wbijanego pomiędzy żebra oszalałej z bólu dziewczyny. Po kilku chybionych sztychach, trafne uderzenie wiedźmy sięgnęło wreszcie jej spłoszonego serca i Ormiga oddała niewinnego ducha bogom.

Wówczas, jakby po kolejnym pchnięciu sztyletem, nastąpiła głucha, przejmująca cisza. Znak to był wymowny dla wszystkich zgromadzonych: nowo poślubiona żona połączyła się ze swoim mężem.

Aby jak najszybciej, bez najmniejszej zwłoki, oboje znaleźli się w rajskiej Walhalli, brat Ariego, Arnvald, pierwszy podpalił złożone pod statkiem drewno. Za jego przykładem poszli zaraz milczący żałobnicy, toteż w mgnieniu oka gorliwy płomień ogarnął drewniany stos, z niego przerzucił się krwiożerczym jęzorem na statek, po czym wessał w piekielną głębinę strojny w brokaty szałas, Ariego, Ormigę i wszystko, co było w zasięgu pożogi zamienił w spopielony kurhan.

Zdawać się wtedy mogło zgromadzonym, że dnia dziesiątego dokonało się wreszcie przeznaczenie Ariego i Ormigi, i wódz Rhosów – „ludu wiosłującego na

łodziach” – wraz z nowo poślubioną żoną odszedł do Krainy Wiecznej Szczęśliwości.

Miłosierny Odyn, z bladego nieba niecierpliwie spoglądający na ziemię, zlitował się nad swoim najlepszym wojownikiem, wymownym skinieniem boskiej dłoni dając znak straszliwym wichrom, aby rozwiały w pył zasnute ciężkim dymem ognisko. Ale czy znak jego łaski był za słaby, czy podmuch wichru tego dnia powstał zbyt lekki, bo popiół długo dymił jeszcze, żarzył się migotliwie, nie chcąc obrócić się w proch.

Jedynie Kapłanka Śmierci, Malusza pewna była najgorszego: oto zmarły i jego małżonka nigdy nie będą przynależeć do raju, a dusze ich nieszczęsne błąkać się będą już zawsze, zawisłe między krainą żywych i umarłych.

A kiedy minie magiczna liczba lat dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć i nastanie rok 2014, wrócą na dłużej na ziemię, z utęsknieniem szukając niespełnionej miłości...

NOTA AUTORSKA

Przy opisach postaci i faktów historycznych najczęściej skorzystałam z materiałów źródłowych zawartych na kartach:

Adamus M.: *Tajemnice sag i run*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław–Warszawa–Kraków 1970.

Barczyński J.: *Bazylika zdradza kolejne tajemnice*, „Dziennik Wschodni” 2014, nr 147, s. 6.

Barczyński J.: *Pozostały po nich odciski palców*, „Dziennik Wschodni” 2011, nr 78, s. 7.

Barczyński J.: *Szukali ojca, znaleźli syna*, „Dziennik Wschodni” 2015, nr 107, s. 9.

Bartnicki M.: *Sprawa insygniów koronacyjnych króla Daniela Romanowicza*, „Zamojsko-Wołyńskie Zeszyty Muzealne”, t. 5 (2008-2010), s. 37-46.

Buko A.: *Bóg wspomagał księcia*, „Rzeczpospolita” 2010, nr 229, s. A20.

Buko A.: Dzieńkowski T., Gołub S.: *Rezydencja książęca na „Wysokiej Górcie” w Chełmie w świetle wyników badań archeologicznych z lat 2010-2012*, „Rocznik Chełmski”, t. 16 (2012), s. 293-304.

Dąbrowski D.: *Daniel Romanowicz. Król Rusi (ok. 1201-1264). Biografia polityczna*, Wydawnictwo Avalon, Kraków 2013.

Duczko W.: *Ruś wikingów*, Wydawnictwo TRIO, Warszawa 2007.

Fituła M.: *Średniowieczne bransolety szklane ze stanowiska Chełm-Bielawin*, „Archeologia Polski Środkowowschodniej”, t. 8 (2008), s. 145-162.

Gołub S.: *Polsko-ukraiński projekt badań cerkwi Bogurodzicy wybudowanej w Chełmie przez Daniela Romanowicza w XIII wieku. Wstępne wyniki badań*, „Rocznik Chełmski”, t. 17 (2013), s. 293-299.

Gurewicz A.J.: *Wyprawy wikingów*, Wiedza Powszechna, Warszawa 1969.

Kurzatkowski M.: *Rezydencje obronne w Krupem i Sielcu – rówieśniczki Zamościa*, „Biuletyn Historii Sztuki” 1968, nr 4, s. 508-511.

Landau M.: *Wikingowie z Kijowa*, „Wprost” 2008, nr 15, s. 80-82.

Lubaszewski Z.: *Zamek w Krupem: rzekoma siedziba sławnego banity*, „LAJF magazyn lubelski” 2015, nr 2 [26], s. 52-53.

Prożogo K.: *Chełm. Przewodnik*, Centralny Ośrodek Informacji Turystycznej, Warszawa 1993.

Prożogo K.: *Chełm i okolice*, Sport i Turystyka, Warszawa 1981.

Puzio P.: *Książę Daniel pilnie poszukiwany*, „Dziennik Wschodni” 2013, nr

124, s. 4-5.

Puzio P.: *Szukają grobu księcia Daniela*, „Dziennik Wschodni” 2013, nr 117, s. 6.

Roesdahl E.: *Historia wikingów*, Wydawnictwo MARABUT, Gdańsk 2001.

Ruszkowska U.: *Średniowieczna osada z wieżą murowaną w Chełmie-Bielawinie*, cz. 1, [w]: *Badania archeologiczne o początkach i historii Chełma*, Lublin 2002, s. 37-57.

Rybak A.: *Stalag 319 B w Chełmie – generalny plan obozu*, „Rocznik Chełmski”, t. 8 (2002), s. 283-291.

Skrzypek J.: *Studia nad pierwotnym pograniczem polsko – ruskim w rejonie Wołynia i Grodów Czerwieńskich*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa 1962.

Auerbach L.: *Wikingowie i Germanie: sagi ludów północy*, Wydawnictwo Amber, Warszawa 1998.

Wyrozumski J.: *Kazimierz Wielki*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 2004.

Zimmer B.: *Miasto Chełm. Zarys historyczny*, Państwowe Wydawnictwo Naukowe, Warszawa-Kraków 1974.

